

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 6/609

1998



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

**A. KORASZEWSKI: NOWE WCIENIE
EUROLEWICY**

**A. GAŁKOWSKI: RADIO FRANCE INTER-
NATIONALE. ROZMOWA Z K. PIEKARCEM**

G. GÖMÖRI: MOI POLSCY POECI

E. BERBERYUSZ: KARTKI ZE SKAŻONEJ STREFY

SPIS RZECZY

Andrzej Koraszewski:	<i>Nowe wcielenie eurolewy</i>	3
Andrzej Stach:	<i>Powiew Weimaru?</i>	11
Mariusz Wilk:	<i>Zapiski sołowieckie (X)</i>	19
Włodzimierz Odojewski:	<i>W drodze</i>	29
WIERSZE		
Adam Lizakowski:	<i>Chicago miasto nadziei. – Chicago. – Maxwell Street</i>	43
WYWIADY „KULTURY”		
Adam Gałkowski:	<i>Radio spełnionych nadziei. (Rozmo- wa z Kazimierzem Piekarcem, kie- rownikiem Sekcji Polskiej RFI)</i>	47
KRAJ		
Krzysztof Wolicki:	<i>Destabilizacja sterów</i>	61
Ewa Berberysz:	<i>Kartki ze skażonej strefy</i>	69
SMECZ:	<i>Z ukosa</i>	76
SPRAWY I TROSKI		
Czesław Bielecki:	<i>Niedobre obyczaje</i>	90
SĄSIEDZI		
Anna Strońska:	<i>Pod tryzubem</i>	95
Bohdan Osadczyk:	<i>Ukraina po wyborach</i>	110
–	<i>Polonika białoruskie</i>	113
KRONIKA KULTURALNA		
George Gömöri:	<i>Moi polscy poeci</i>	114
–	<i>IV Warsztaty Artystyczne im. Józefa Czapskiego</i>	126
–	<i>Komunikat nr 5 Zarządu Fundacji „Polska Katedra w Uniwersytecie Jerozolimskim”</i>	127
CI, CO ODESZLI		
–	<i>Zbigniew Byrski</i>	130
–	<i>Dr Józef de Krasiński</i>	131
NOTATKI REDAKTORA		
KSIAŻKI		
Joanna Wiórkiewicz:	<i>Czy zemstą ofiar?</i>	134
Teresa Halikowska-Smith:	<i>„Nie masz już, nie masz w Polsce żydowskich miasteczek...”</i>	139
WOLNA TRYBUNA		
Magdalena Rostron:	<i>Próba zrozumienia</i>	145
–	● <i>Wydarzenia miesiąca</i>	151
–	●	
E. Kurzawa, Zb. Panek, J. Pomianowski:	<i>Listy do Redakcji</i>	155
Kazimierz Brandys	<i>Sprostowanie</i>	158
–	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	158

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Czerwiec/Juin 1998

INSTYTUT  LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

- Teodor i Fanni Blachutowie, Ottawa, ON** – zamiast kwiatów na trumnę dr Brygidy Rudzkiej-Ostyn z uniwersytetu w Leuven, międzynarodowo wybitnej uczoney, autorki szeregu książek i podręczników (w tym podręcznika języka polskiego dla cudzoziemców „Wśród Polaków”, KUL 1988 r.), zmarłej 21 marca 1998 r. w Belgii – dol. can. 100,00 F. 420,00
- Magda Budzynowska, Loogee, NSW (Sydney, Australia)** – pamięci Matuski – Marii Antoniny Bonieckiej, pisarki, w 20-tą rocznicę Jej śmierci (19.06.78). – dol. austr. 1.000,00 . F. 3.754,90
- Dla uczczenia pamięci moich zmarłych Mężów: mgr Adama Kozioła, inż. Walerego Starczewskiego i Zbigniewa Byrskiego – Alina T. Starczewska-Byrska, Nowy Jork** – dol. 50,00 F. 300,00
- Dla uczczenia pamięci Tadeusza Andrzejczaka, w 11-tą rocznicę Jego zgonu – żona Maria, Dianella W.A. (Australia)** ... F. 1.515,00
- Zofia Koper, Arlington, VA (USA)** – w ósmą rocznicę śmierci naszego nieodżałowanego Męża i Ojca, Stefana Kopera – żona Zofia i syn Piotr – dol. 100,00 F. 600,00
- Czesław Lorenc, Montreal, Que** – dol. can. 200,00 – F. 840,00
- Zbigniew Okołowicz, Sharon, CT (USA)** – po raz 11-ty – dol. 76,00 F. 456,00
- Andrzej i Irena Pleszczyńscy, Santa Barbara, CA (USA)** – zamiast kwiatów na trumnę Mariana Kalinowskiego, zmarłego w kwietniu 1997 – dol. – dol. 50,00 F. 300,00
(Zamieszczając w *Kulturze* Nr 1/2 z br. dar pp. Pleszczyńskich w wysokości F. 588,00 odnotowaliśmy, że jest to dar p. Ireny Pleszczyńskiej opuszczając przez pomyłkę p. Andrzeja. Bardzo za to przepraszamy obydwójce naszych bardzo wiernych czytelników i przyjaciół.
Redakcja)

DZIĘKUJEMY

Nowe wcielenie eurolewicy

Kiedy rok temu brytyjska Partia Pracy po długiej przerwie ponownie przejęła rządy, mogło się wydawać, że było to wyłącznie zasługą konserwatystów, którzy nie zaniedbali niczego co można było zrobić, żeby stracić zaufanie wyborców. W wielu komentarzach mówiło się wówczas, że Partia Pracy w znacznym stopniu przechwyciła program konserwatystów i wygrała wybory obiecując solennie, że raz na zawsze rozstaje się z własną tradycją i z głównymi założeniami swojej ideologii. Przed rokiem na wyborczych plakatach częścię widzieliśmy nazwę Nowa Lewica niż Partia Pracy. W majowych wyborach lewica nie tylko zdobyła przytłaczającą większość w parlamencie, ale zyskała bardzo silne poparcie w kołach przemysłowych, a co więcej, nawet tradycyjnie prawicowe środki masowego przekazu radykalnie zmieniły front, udzielając pełnego poparcia nowemu rządowi.

W kwietniu, w Niemczech, ponad 70 procent dyrektorów dużych przedsiębiorstw wyrażało przekonanie, że po kolejnych wyborach nowym kanclerzem zostanie Gerhard Schröder. Taka perspektywa nie wydaje się wywoływać żadnego lęku w niemieckich kołach finansowych i nie jest postrzegana jako zapowiedź zasadniczej zmiany polityki gospodarczej.

W Unii Europejskiej obserwujemy przemieszanie rządów lewicowych i prawicowych, ale tradycje polityczne rządzących partii nie prowadzą do powstawania frakcji i nie one wyznaczają linie podziałów w łonie Unii. Czy zatem rozróżnienie między lewicą i prawicą traci w Europie Zachodniej wszelki sens, a wybory stają się konkursami piękności między politycznymi amantami? Czy partie lewicowe mają jeszcze

jakiegokolwiek *credo* i jasno określoną klientelę wyborczą? A wreszcie, jak wyjaśnić długotrwałe pasmo klęsk wyborczych zachodniej lewicy i obecną zmianę trendu?

Przed paroma miesiącami na brytyjskim rynku księgarskim ukazała się praca zbiorowa pod redakcją znanego politologa, profesora Donalda Sassoon, której autorzy podejmują próbę odpowiedzi na te pytania, analizując najnowszą historię lewicy w poszczególnych państwach Europy Zachodniej jak również (zbiorniczo) w krajach Europy Środkowej. Nie wiem czy słusznie za cezurę uznano rok 1989. Podtytuł tej książki informuje, że w centrum uwagi autorów jest europejska lewica po zakończeniu zimnej wojny. Kryzys lewicy w Europie Zachodniej zaczął się w połowie lat siedemdziesiątych, a od początku lat osiemdziesiątych zaczyna się zwycięski marsz prawicy pod sztandarami neoliberalizmu. Rok 1989 przypada zatem na półmetek czarnego okresu zachodnioeuropejskiej lewicy i próba łączenia obecnych zmian w partiach lewicowych z upadkiem berlińskiego muru nie jest całkiem uzasadniona. Przeciwnie, można powiedzieć, że upadek komunizmu nie przyczynił się ani do klęski, ani do obecnego odrodzenia się zachodniej lewicy. Natomiast odwrotna zależność wydaje się nie ulegać wątpliwości – głęboki kryzys zachodniej lewicy niewątpliwie wzmocnił tendencje liberalne w krajach Europy Środkowej po upadku komunizmu.

W pierwszych dziesięcioleciach powojennych Szwecja stworzyła model państwa, w którym była demokracja, w którym był silny kapitał prywatny i w którym socjaldemokraci mogli powiedzieć, że zagwarantowali całemu społeczeństwu dobrobyt. Tego rodzaju uzasadnione poczucie sukcesu mieli nie tylko socjaldemokraci z krajów skandynawskich, ale również socjaldemokraci niemieccy. Po zwycięstwie Ronalda Reagana w Stanach Zjednoczonych, Margaret Thatcher w Wielkiej Brytanii i Helmuta Kohla w Niemczech, europejscy socjaldemokraci co najmniej przez dziesięć lat nie mogli uwierzyć, że świat się zmienił, a polityka, która była niegdyś źródłem ich sukcesów, nie ma już ani poparcia wyborców, ani szans powodzenia. W roku 1991 były szwedzki minister finansów w rządzie Olofa Palmego, Kjell-Olof Feldt pisał: „Szwecja porzuciła Trzecią Drogę na dobre. Tak czy owak, nikt już nie mówi o niej inaczej niż o zjawisku historycznym.

Oczywiście mam nadzieję, że z mojej opowieści wynika, iż warto było iść tą drogą oraz dlaczego doprowadziła nas ona z czasem do nowego kryzysu”. Opublikowana w 1991 roku książka Feldta zawiera niemal wszystkie elementy analizy kryzysu zachodniej lewicy, które znajdujemy we wspomnianej pracy zbiorowej pod redakcją profesora Sassoon. Książka Sassoon ukazała się jednak już po spektakularnym zwycięstwie Tony Blaira i zawiera nie tylko analizę klęski, ale również interesujący opis powrotu lewicy na scenę polityczną w radykalnie zmienionym świecie.

Zarówno w obszernym wstępie napisanym przez Donalda Sassoon, jak w dotyczących poszczególnych krajów esejach, uporczywie powracają pojęcia globalizacji i liberalizacji handlu oraz dezindustrializacji. Wraz z postępującą liberalizacją światowego handlu i pojawieniem się nowych państw uprzemysłowionych, dramatycznie rosły obroty w handlu międzynarodowym, ale też równocześnie ujawniły się długo nie zauważane koszty tak zwanego państwa dobrobytu. W tym samym czasie rozpoczął się proces kurczenia się tradycyjnej klasy robotniczej, zamykania wielkich fabryk, kryzysów całych dziedzin produkcji przemysłowej. Znaczna część tego przemysłu znajdowała się w rękach państwa i w krajach rządzonych przez partie socjaldemokratyczne, często próbowano chronić ten przemysł przed nieuchronnymi zmianami przy pomocy subwencji z budżetu. Równocześnie niebywale rozbudowany sektor publiczny utracił swoją wcześniejszą skuteczność. System opieki społecznej częściej stymulował do bezczynności zawodowej niż do zdobywania nowych kwalifikacji i poszukiwania pracy, system edukacji coraz częściej wypuszczał młodych ludzi nie przygotowanych do zmienionych warunków na rynku pracy, system opieki zdrowotnej pochłaniał coraz większe sumy uzyskując coraz gorsze wyniki. W latach siedemdziesiątych, w wyniku globalizacji w handlu i dezindustrializacji, z jednej strony gwałtownie zaczęły topnieć nadwyżki w handlu zagranicznym i wzrastał udział importu w zakupach na rynku wewnętrznym, w wyniku czego gwałtownie zaczęły topnieć możliwości dalszego zwiększania nakładów na dalszą rozbudowę państwa opiekuńczego, z drugiej, w przyspieszonym tempie zaczął się zmieniać skład struktury zawodowej wyborców. W większości państw

zachodnich, partie socjaldemokratyczne były więźniami związków zawodowych i w reakcji na pierwsze sygnały kryzysu swojej dotychczasowej polityki – pełnego zatrudnienia, sojuszu ze związkami zawodowymi i rozwoju sektora publicznego – reagowały głównie postawą obronną. Z reguły dopiero wielokrotne przegranie wyborów i pojawienie się nowej generacji polityków przyniosło bardziej radykalną zmianę taktyki. Główne elementy tej taktyki – jak pisze Sassoon – to przyjęcie założenia, że działanie rynku może być regulowane, ale nie eliminowane (co więcej, że ingerencje w działanie sił rynkowych muszą być współcześnie koordynowane na skalę ponadnarodową), że wydatki na opiekę społeczną muszą się zmniejszać, że prywatyzacja jest procesem nieuniknionym, że równość może być szlachetnym celem, ale nie może zabijać inicjatywy i konkurencji. Europejska lewica (autor ma tu na myśli przede wszystkim socjaldemokratów i socjalistów) zaczyna się do siebie w różnych krajach upodabniać, chociaż nadal pozostają spore różnice. Z grubsza biorąc można tu wyróżnić trzy grupy – socjaldemokrati krajów Europy Północnej, czyli kraje skandynawskie, Wielka Brytania, Niemcy, Belgia, Holandia, ale również Austria, a więc kraje zamożne, z długą tradycją rządów socjaldemokratycznych, w których toczą się spory o to, jak się utrzymać w czołówce państw uprzemysłowionych; socjaliści i komuniści w Europie Południowej, a więc w Hiszpanii, Portugalii, Grecji, gdzie celem jest modernizacja kapitalizmu i tworzenie nowoczesnej polityki społecznej. (Sassoon uważa, że Włochy i Francja mają swoją własną specyfikę. Trudno je zaklasyfikować do krajów europejskiego Południa; ich ruchy lewicowe znacząco różnią się od socjaldemokratycznej tradycji krajów Europy Północnej, mimo że są na tym samym poziomie rozwoju gospodarczego). Wreszcie trzecią grupą są kraje postkomunistyczne, w których (przynajmniej w Polsce, na Węgrzech i w Czechach) obserwuje się transformację byłych partii komunistycznych w partie socjaldemokratyczne, przy czym, ze względu na moment historyczny, widzimy tu wyraźną akceptację gospodarki rynkowej i liberalizmu. Podobnie jak w krajach Europy Zachodniej, ich ideologiczna oferta nie kusi już wizją socjalizmu, a tylko obietnicą bardziej ostrożnego wprowadzania gospodarki rynkowej i wolniejszego

ograniczania nakładów na szeroko pojętą opiekę społeczną.

We wszystkich krajach europejskich lewica utraciła swój jednoznacznie klasowy elektorat i apeluje dziś raczej do klasy średniej niż do proletariatu. W zasadniczy sposób zmieniły się również techniki apelowania do wyborców. Sassoon nazywa to nowym „centralizmem medialnym”, w którym przywódcy poszczególnych partii politycznych konkurują między sobą na telewizyjne migawki. Ta nowa rzeczywistość w zasadniczy sposób zmienia styl działania partii politycznych – od wyboru przywódcy (wyboru, w którym telewizyjne walory kandydata odgrywają coraz większą rolę), do istotnego przesunięcia punktu ciężkości z kadry w terenie na współpracujący z przywódcą zespół specjalistów do spraw kontaktów z mediami. Osłabienie, czy wręcz zerwanie powiązań partii lewicowych ze związkami zawodowymi, było w pewnym sensie historyczną koniecznością, ale niewątpliwie ta zmiana stylu działania partii politycznych ułatwiła młodszym politykom lewicy podjęcie tego kroku.

Inną ciekawą nowością w postawach europejskiej lewicy jest zmiana jej nastawienia do Unii Europejskiej. Jeszcze stosunkowo niedawno lewica skandynawska, brytyjska czy niemiecka nastawiona była do Unii Europejskiej w najwyższym stopniu podejrzliwie, a np. socjaliści greccy uważali Unię za narzędzie międzynarodowego imperializmu. Dziś ten stosunek radykalnie się zmienił. Trzej najmłodszy członkowie – Szwedzi, Finowie i Austriacy – weszli do Unii pod sztandarami socjaldemokratów. W krajach postkomunistycznych lewica opowiada się za wejściem do Unii Europejskiej, a obawy słychać częściej po prawej stronie sceny politycznej. Lewica brytyjska jest dziś zdecydowanie bardziej proeuropejska niż konserwatyści, ciekawą zmianę obserwujemy w Niemczech wraz ze wzrostem szansy na zwycięstwo socjaldemokratów w najbliższych wyborach. Jeszcze niedawno Schröder twierdził, że wprowadzenie wspólnej waluty europejskiej jest pomysłem przedwczesnym i chorym, kiedy jednak w końcu kwietnia przemawiał przed głosowaniem na temat przystąpienia do euro w Bundestagu, mówił niemal tym samym głosem co kanclerz Kohl, zastrzegając się tylko, że niezbędna dyscyplina finansowa nie może kolidować z walką z bezrobociem.

W dotychczasowej historii ruchów lewicowych (w szczególności w krajach europejskiego Południa) obserwowaliśmy ciągłą konkurencję między skłonnyymi do reformizmu socjalistami i bardziej radykalnymi partiami komunistycznymi. Współcześnie w krajach takich jak Hiszpania, Francja czy Grecja, partie komunistyczne utraciły swoje wpływy i mogą być ignorowane, natomiast we Włoszech, gdzie przez moment wydawało się, że socjaliści mają szansę na przejęcie wyborczej klienteli komunistów, po serii skandali wokół Craxiego i jego partii stało się dokładnie odwrotnie, przy czym większa z dwóch partii komunistycznych – PDS – pod przewodnictwem Massimo D'Alema została zreformowana i zdecydowanie przesunęła się ku centrum włoskiej areny politycznej.

Wydaje się, że europejska lewica jak nigdy wcześniej zaczyna mówić jednym głosem i w coraz szybszym tempie oddala się od marksistowskich tradycji. Jak zauważa Sassoon, to ujednoczenie lewicy jest tylko w pewnej części konsekwencją upadku systemu komunistycznego, natomiast znacznie silniejszy wpływ miały tu zmiany rynku pracy, stosunków handlowych oraz stosunków międzynarodowych. (Wielu polityków europejskich partii socjalistycznych nauczyło się, że współcześnie obrona zdobyczy socjalnych poprzez Brukselę może być znacznie skuteczniejsza niż we własnych parlamentach). W dobie globalizacji światowego handlu lewica chcąc nie chcąc musiała uznać, że walka z inflacją, walka o przyspieszenie tempa gospodarczego wzrostu, walka o zmniejszenie deficytu budżetowego, to nie są wyłącznie fanaberie liberałów i że jedyną szansą pozyskania wyborców jest zaakceptowanie tych celów jako własnych i dopiero obok nich prezentowanie strategii walki z bezrobociem, rozwoju oświaty, poprawy działania służby zdrowia itp.

Najnowsza historia Wielkiej Brytanii pokazuje, że o ile konserwatyści nie najgorzej poradzili sobie ze związkami zawodowymi w przemyśle, o tyle pozostali bezradni wobec związków zawodowych w sektorze publicznym. Tygodnik *The Economist* z 25 kwietnia 98 podaje interesujące dane na temat „uzwiązkowienia” w różnych działach produkcji i usług. Podczas gdy w sektorze prywatnym zaledwie 20 procent pracowników jest w związkach zawodowych, w sektorze

publicznym ponad 60 procent. Współczesne potęgi związkowe to publiczny transport, poczta, oświata i służba zdrowia. Pracownicy sektora publicznego w Wielkiej Brytanii masowo poparli w ostatnich wyborach lewicę, żeby się natychmiast dowiedzieć, że wraz ze zmianą rządu reformy w sektorze publicznym nie będą zarzucone, ale wręcz przyspieszone. Otwarte pozostaje jednak pytanie, czy Nowa Lewica ma jasną koncepcję zmian w sektorze publicznym? Zdecydowanym priorytetem brytyjskiego rządu są reformy w oświacie. Za najpilniejsze zadanie uznaje się obecnie podniesienie poziomu nauczania w szkołach podstawowych i szkoły poddane zostały bardzo rygorystycznym testom, a ich wyniki podano do wiadomości publicznej. Najgorsze szkoły są zamykane, słabsze mają wyznaczone terminy na podniesienie poziomu nauczania. Lewicowy rząd zwiększył ułatwienia dla szkolnictwa prywatnego i zwiększył rodzicom możliwości wyboru szkoły. Równocześnie zaczęto rozważać możliwości kar finansowych dla rodziców wagarowiczów, zaczęto stawiać formalne wymagania nadzoru przez rodziców czy dzieci odrabiają lekcje, oczekuje się od rodziców odpowiedzialności za zachowanie dzieci w szkole. Te zmiany przyjmowane są z mieszanymi uczuciami przez kadrę nauczycielską, która dotychczas ograniczała swoje oczekiwania pod adresem rządu do wzrostu płac. Na wszelkie zarzuty Tony Blair odpowiada, że jakikolwiek wzrost nakładów finansowych w sektorze publicznym musi być inwestycją i powinien być również uznawany jako inwestycja przez koła przemysłowe. Niektórzy oczekiwali, że tego rodzaju postawa spowoduje szybki spadek popularności nowego rządu. Jest dokładnie odwrotnie. Popularność rządu Tony Blaira w Wielkiej Brytanii nie słabnie, a on sam stał się swego rodzaju idolem nowej lewicy również w innych krajach europejskich. Nadal jednak toczy się spór – czy lewica wychodzi dziś do społeczeństwa z jakąś nową ofertą, czy też wyczerpała się oferta neoliberalistów i lewica odzyskuje pole niejako automatycznie, szukając dopiero swojej roli w nowym świecie? Podobnie jak we wcześniejszej fazie prawica zastępując u steru rządów lewicę nie zamierzała przekreślać jej osiągnięć i demontować całego systemu osłon socjalnych, tak obecnie lewica, najwyraźniej nie zamierza przekreślać niczego, co było oczywistym sukcesem prawicy – nie jest to zresztą

możliwe, ze względu na międzynarodowe zobowiązania i pewne nieodwracalne (czy też uważane za nieodwracalne) procesy. Jeszcze kilka lat temu lewica brytyjska czy niemiecka odgrażały się, że po odzyskaniu władzy przystąpią do renacjonalizacji sprywatyzowanych działów przemysłu, dziś takie oczekiwania wywołałyby gromki śmiech wśród samych polityków lewicy. Ze starych haseł lewicy pozostaje przede wszystkim idea równości. Tu również nastąpiły pewne zmiany akcentów, współcześnie mówi się raczej o równości szans, a nie o równości dochodów. Celem nowej lewicy jest zmniejszanie marginesu ubóstwa. Nie ma już jednak nienawiści do bogatych, a co więcej dostrzega się pewne pozytywne w różnicowaniu ekonomicznym. Nie ulega wątpliwości, że głównym celem ataku będzie bezrobocie i tu nadal podejście do tego problemu jest wśród lewicowych europejskich polityków dość zróżnicowane. Jak się wydaje lewica brytyjska ma tu najbardziej prorynkowe podejście, poszukując przede wszystkim nowych metod szkolenia zawodowego (głównie dla ludzi młodych) zachęt skłaniających przedsiębiorców do organizowania praktyk dla ludzi, którzy przez dłuższy czas pozostawali poza rynkiem pracy, ulg podatkowych i ułatwień dla ludzi próbujących samodzielnie stworzyć swoje miejsca pracy. Można powiedzieć, że jest to raczej poszukiwanie skutecznych korekt polityki neoliberalistów aniżeli próba sformułowania własnej koncepcji dalszego rozwoju gospodarczego i społecznego. Mógłby się ktoś zastanawiać, czy ta lewica jest jeszcze lewicą? Część skrajnej lewicy stawia to pytanie, ale jest ono dość bezpłodne. Demokracja jest systemem równowagi. W czasach wielkich podziałów i głębokich kryzysów wahadło wychyla się daleko, a wyborcy gotowi są poprzeć taki lub inny radykalizm. Obecnie w Europie lewica i prawica przybliżyły się ku centrum i zmiany rządów nie prowadzą do wielkich wstrząsów. Oferta nowej lewicy może się wydawać niezbyt wyrazista. Jej nowe szaty nie są wyzywające i nie zapowiadają żadnej rewolucji, ale w każdym kraju po kilkunastu latach rządów jednej formacji zmiana wnosi sporo świeżego powietrza.

Andrzej KORASZEWSKI

Powiew Weimaru?

„Jak daleki zasięg ma oddziaływanie historii? Co wywiera większe piętno: czy rzekome cechy charakteru narodowego, czy też doświadczenia życiowe obywateli? Po dwunastoprocentowym sukcesie radykalnej prawicy w Saksonii-Anhalt za granicą rozbrzmiały dzwonki alarmowe. Grunt jest jeszcze żyzny, komentowały gazety od Wielkiej Brytanii, przez Włochy, po Europę Wschodnią”, skonstatował renomowany publicysta berlińskiej gazety *Der Tagesspiegel* i znawca zagadnień byłego bloku wschodniego Christoph von Marschall sukces wyborczy skrajnie prawicowej Niemieckiej Unii Ludowej DVU (Deutsche Volksunion) i dodał: „Jednak również obserwatorzy, którzy DVU i jej wyborców nie utożsamiają bezpośrednio z neonazystami, dostrzegli w tym powiew Weimaru: bezrobocie i brak perspektyw stwarzają ich zdaniem łatwy do sterowania i zasadniczo skłonny do przemocy potencjał niezadowolonych”.

„Jestem bardzo zaalarmowany wzrostem tendencji prohitlerowskich we wschodnich landach”, napisał – jakby w reakcji na tego rodzaju doniesienia mass mediów – Redaktor Jerzy Giedroyc w liście z prośbą o dokładniejsze omówienie tego problemu. Fakt, że tego rodzaju pytania, nurtujące nie tylko Polaków, ale także innych sąsiadów Republiki Federalnej, pojawiały się w Europie jeszcze przed zjednoczeniem Niemiec, wydaje się świadczyć o obawach, wynikających zarówno z przesłanek historycznych jak i aktualnych wydarzeń i ekscesów prawicowych ekstremistów w Niemczech po roku 1989. W tym drugim przypadku niektórzy obserwatorzy odwołują się do podobnych „uniwersalnych” tendencji i zjawisk w innych krajach Europy Zachodniej, co ma swe uza-

sadnienie; sytuacja w nowych krajach związkowych posiada jednak swoje własne i nie występujące nigdzie indziej uwarunkowania społeczno-gospodarcze i genezę historyczną.

Wyliczenie głównych celów współczesnych ruchów skrajnie prawicowych i neofaszystowskich w krajach Zachodu szczególnie od połowy lat 80 ujawnia ich zbieżność programową. Widać to w takich kwestiach, jak nienawiść do przedstawicieli innych ras i kultur, w których dostrzegają przede wszystkim zagrożenie czystości etnicznej i kulturowej swych krajów, zagrożenie na rynku pracy i w zakresie świadczeń socjalnych. Obok szerokiego kompleksu ksenofobicznego, który sprowadzić można do żądania wydalenia wszystkich obcych kulturowo i rasowo do ich krajów pochodzenia, innym wspólnym mianownikiem tych partii i ruchów jest propagowanie powrotu do „tradycyjnych wartości”, stanowiących w ich ujęciu mieszaninę wartości chrześcijańskich (np. odrzucanie możliwości aborcji, stanowiącej w ich rozumieniu zagrożenie dla substancji narodu), społecznych (żądania rygorystycznego przestrzegania porządku, prawa i obowiązków – uważają, że możliwe jest to tylko w systemach autorytarnych; żądania likwidacji wszelkiego marginesu obyczajowego, wychodzącego poza ostre normy tradycyjnych wyobrażeń na temat seksu, wartości rodziny oraz likwidacji wielu swobód obywatelskich, jak wolność prasy i głoszenia innych poglądów), czy atakowanie demokracji parlamentarnej, jako „skorumpowanego systemu biurokratów” i poszukiwanie charyzmatycznego przywódcy, mogącego pokierować „ludem”. Jednym z najważniejszych elementów tożsamości tych partii i ruchów jest także ich programowy, niekiedy zawołowany, a niekiedy otwarcie głoszony antysemityzm.

Tego rodzaju hasła, wspólne zarówno dla Front National (FN) we Francji, Freiheitliche Partei Österreichs (FPÖ) w Austrii, Lega Nord we Włoszech i Republikanów czy wspomnianej DVU w Republice Federalnej, zezwalają na tworzenie duchowego przymierza, a niekiedy nawet ponadnarodowych ruchów o charakterze rasistowskim, jak np. Aryjski Ruch Oporu Białych (Weißer Arischer Widerstand), czy też spotkań, koncertów rockowych i wspólnych akcji prawicowych „skin headów” z różnych krajów. Oparty na wspólności kulturowej i rasowej sojusz duchowy nie wytrzymuje jednak próby w kon-

frontacji „narodowych” interesów poszczególnych ugrupowań ekstremistycznych. Istnieją tu też osobne koalicje. Przykładowo, gdy prawicowi „skin headzi” niemieccy nie pokonali swych uprzedzeń i nienawiści do Polski i Czech, jako „niższych rasowo i kulturowo” krajów, które na dodatek zawłaszczyły ziemię i mienie niemieckie, polscy „skin headzi” doskonale rozumieją się ze swymi francuskimi pobratymcami. Natomiast francuscy nacjonałiści z dużą rezerwą rejestrują hasła neonazistów i nacjonalistów niemieckich, dążących do powiększenia Niemiec o tereny utracone w wyniku II wojny światowej.

W powojennych Niemczech, na terenie landów zachodnich, partiom skrajnie prawicowym lub nacjonalistycznym nigdy nie udało się wywrzeć bezpośredniego i trwałego wpływu na rozwój sytuacji politycznej. Wprawdzie odnotowywały one spektakularne niekiedy sukcesy wyborcze, jak np. w roku 1951, kiedy założona przez byłych członków NSDAP Socjalistyczna Partia Rzeszy (Sozialistische Reichspartei, SRP) zdobyła 11% głosów w Dolnej Saksonii i 7% w Bremie, czy też w połowie lat 60-tych, kiedy to Narodowo-Demokratyczna Partia Niemiec (NPD) weszła do kilku parlamentów landowych, nie pokonała jednak progu 5% w wyborach do Bundestagu; także założona przez monachijskiego wydawcę i milionera Gerharda Freya partia DVU, licząca ok. 15.000 członków, zdobyła w roku 1991 ponad 6% głosów w Bremie i 6,3% głosów podczas wyborów w Szlezwiku-Holsztynie. Jednak brak przekonującego programu, niekompetencja w rozwiązywaniu konkretnych spraw, liczne skandale, walki frakcyjne i wzajemna rywalizacja między poszczególnymi partiami i przywódcami, nie zezwoliły im na stworzenie stałego fundamentu wśród niemieckich wyborców. Podobnie układały się dotychczas losy innej partii o zasięgu ogólnoniemieckim, tj. liczących również około 15.000 członków Republikanów. W roku 1989 przede wszystkim przy pomocy hasła antycudzoziemskich zdobyli oni w Berlinie Zachodnim 7,5%, a w roku 1992 w wyborach w Badenii-Wirtembergii 10,9% oraz 9,1% w roku 1996. Można jednak uznać, iż pośrednim sukcesem tych partii było natomiast wpisanie np. przez partie CDU, CSU i SPD do swych programów i następnie przeprowadzone zaostrzenie przepisów azylowych.

Po zjednoczeniu Niemiec zarówno partie skrajnie pra-

wicowe, ultranacjonalistyczne i różnego rodzaju liczne, ale przeważnie małe pod względem ilości członków ugrupowania, ruchy i organizacje neofaszystowskie skierowały swą działalność na teren landów wschodnioniemieckich. Wbrew ich oczekiwaniom, zachłyśnięte konsumpcją, zachwycone nowym marginesem swobody oraz obietnicami „kwitnących krajobrazów” społeczeństwo nowych landów wyrażało początkowo zdecydowane poparcie dla nowego systemu zachodniego i odrzucało populistyczne hasła skrajnej prawicy. Nie odstraszyło to jednak czołowych ideologów, jak np. zmarłego kilka lat temu Michaela Kühnena, który nakazał czekanie na bardziej dogodny moment, tj. wzrost bezrobocia i niezadowolonia społecznego. Do tego czasu naczelnym zadaniem tych ugrupowań była „praca u podstaw”, tworzenie dobrze funkcjonujących i częściowo konspiracyjnych struktur organizacyjnych oraz rozbudowa bazy logistycznej i sieci łączności między poszczególnymi ugrupowaniami.

Zaplanowana na długie lata „praca u podstaw”, tj. szerzenie ideologii neofaszystowskiej przeważnie wśród młodocianych oraz doskonalenie działalności przy zastosowaniu najnowszych środków łączności jak internet, mailbox i telefony komórkowe i w połączeniu z wykorzystaniem trendów subkultury skrajnie prawicowej, zaczęło przynosić oczekiwane efekty. W odróżnieniu od partii skrajnie prawicowych nacjonalistycznych, jak DVU, Republikanie czy NPD, które mimo znacznie większych możliwości finansowych nie potrafiły przyciągnąć zbyt wielu zwolenników, nowa generacja aktywistów ze spektrum neofaszystowskiego, dzięki swej konsekwencji i profesjonalizacji, doprowadziła do powstania i umocnienia się tam bardzo licznych mniejszych organizacji i ugrupowań, w oczach których wymienione powyżej partie skrajnie prawicowe uchodzą za bezsilne i niemrawe. To właśnie na konto członków i sympatyków tych organizacji, partii i ugrupowań, przypada największa liczba ekscesów antysemitycznych i antycudzoziemskich, w tym także antypolskich.

Absolutny rekord w ilości przestępstw i wykroczeń o podłożu skrajnie prawicowym w liczbie 11.700 odnotowano w roku ubiegłym. Oznacza to 34% wzrost ich liczby w porównaniu do roku 1996. Procentowo w tej statystyce prowadzą nowe landy, na które w roku 1997 przypadło 45%

tych przestępstw i naruszeń prawa, podczas gdy liczba ich mieszkańców stanowi zaledwie 17% ogólnej liczby mieszkańców Republiki Federalnej. Przykładowo w Niemczech co dziesiąty skłonny do stosowania przemocy ekstremista skrajnie prawicowy wywodzi się z sąsiadującego z województwem szczecińskim landu Mecklenburg-Vorpommern. Raport Urzędu Ochrony Konstytucji, opublikowany w chwili pisania niniejszego artykułu, ocenia ilość zorganizowanych ekstremistów skrajnie prawicowych w Niemczech na 48.400 osób. Po raz pierwszy od 1992 roku o około 30% wzrosła też liczba aktów przemocy fizycznej do 790, nie przekraczając jednak ich rekordowej ilości (2.600) z roku 1992.

Nie wdając się w szczegółową analizę programów, można stwierdzić, iż ich wspólnym elementem, obok wymienionych już powyżej celów, jest dążenie do stworzenia czystych etnicznie Niemiec w granicach z roku 1937. Ich silnie akcentowany refleks antycudzoziemski obliczony jest na przyciągnięcie osób bezrobotnych i wyborców zatrzwożonych o miejsca pracy, ludzi młodych nie mogących znaleźć miejsca na naukę zawodu szczególnie w nowych landach, dla których obcokrajowcy ucieleśniają największe zagrożenie mimo faktu, że cudzoziemcy stanowią tam zaledwie 1,6% mieszkańców (w starych landach 10,6%). Reprezentują one także bardzo radykalne postawy antysemityczne, których wyrazem są różnego rodzaju ekscesy, dewastacje cmentarzy i pomników żydowskich ofiar faszyzmu oraz różnego rodzaju publikacje negujące bądź umniejszające holocaust.

Najbardziej wymownym efektem zwalczania obecności niepożądanych osób w nowych landach są tzw. „Wyzwolone Strefy Narodowe”, National Befreite Zonen (NBZ), skąd wypędza się je przy pomocy terroru psychicznego i fizycznego, pobić, napadów i podpałów. Przykładowo specjalną sławę uzyskała tu brandenburska wioska Gollwitz, z której ekstremiści przy zadowoleniu dużej części mieszkańców wypędzili żydowskich emigrantów z Rosji i skutecznie zapobiegli ich powrotowi. National Befreite Zonen stanowią również niektóre ulice we Frankfurcie nad Odrą, kluby młodzieżowe i restauracje, ale także wioski i osiedla na terenie nowych landów. „Nie mają czego tam szukać cudzoziemcy, punkerzy, lewicowcy, Żydzi, inwalidzi, homoseksualiści, bezdomni i

wszyscy inni, którzy nie są 'niemieccy'. (...) Prawie nikt nie protestuje. Wyzwolone Strefy Narodowe stały się codziennością, akceptowane w milczeniu lub przy poparciu miejscowej ludności", stwierdził nagrodzony w tym roku za swe obiektywne reportaże i artykuły publicysta Frank Jansen. Profesjonalizacja działalności organizacji neofaszystowskich w zwalczaniu przeciwników politycznych uwidacznia się m.in. w systematycznym zbieraniu danych i informacji na temat członków mniejszości obyczajowych, funkcjonariuszy różnego rodzaju służb ochrony państwa, prawników, dziennikarzy, nauczycieli i lewicowych intelektualistów, i zapisywaniu ich w komputerowych bankach informacji, do dalszego wykorzystania. W ten sposób powstają „listy gończe”, dostępne dla wszystkich zainteresowanych. Duży rozgłos zyskał przykład polskiego studenta z Uniwersytetu Viadrina we Frankfurcie nad Odrą, który najpierw został pobity, a w niedługim czasie potem schwytyany i dokładnie sfotografowany przez członków ugrupowania o nazwie „Anti-Antifa”, czyli Anty-Antyfaszystów. Sprawców wkrótce ujęto i skazano na kary więzienia.

W odróżnieniu od lat 90-tych, kiedy bagatelizowano ruchy neofaszystowskie i ultranacjonalistyczne, w ostatnich latach zarówno Federalna Służba Ochrony Konstytucji, jak też policja, prowadzą intensywną obserwację ich poczynań, próbując stosować działania prewencyjne, a w szczególnych przypadkach zakazują ich działalności. W latach 90-tych zakazem takim objęto 13 ugrupowań narodowo-socjalistycznych, jak np. działającą w Brandenburgii organizację „Kameradschaft Oberhavel” czy „Nationale Liste”. W landzie tym powołano też specjalną jednostką operacyjną do obserwacji punktów spotkań neonazistów. W Berlinie z sieci kablowej „Kanał Otwarty” usunięto program radiowy Radia Germania, a w całych Niemczech zamknięto różne punkty spotkań członków tych organizacji. W akcji przeciwdziałania tym ruchom i tendencjom biorą też udział różnego rodzaju organizacje społeczne, kościelne i młodzieżowe. Także partie polityczne zasiadające w Bundestagu bardzo poważnie traktują sprawę zagrożenia dla demokracji.

Kontrofensywa i akcje prewencyjne ze strony Służby Ochrony Konstytucji zmuszają organizacje neofaszystowskie do szukania nowych form konspiracji i działania. Niektóre z

nich próbują wprowadzić swych członków do istniejących partii demokratycznych i gremiów a nawet do Bundeswehry. Inne ugrupowania unikają tworzenia stałych struktur organizacyjnych, przedkładając nad nie luźne powiązania i tworząc doraźne platformy współdziałania dla prowadzenia konkretnych akcji. Przykładowo na północy Niemiec w ramach nieformalnego Związku Akcji Narodowo-Socjalnej, Nationales und soziales Aktionsbündnis Norddeutschland, działa cały szereg takich ugrupowań. To także sympatycy tego rodzaju organizacji w Saksonii-Anhalt, nie mając swych własnych kandydatów, przyczynili się do sukcesu wyborczego DVU. „Łowcom głosów wyborczych z partii zwróconych wstecz udaje się coraz bardziej zbijać kapitał z obaw o przyszłość, szczególnie wśród młodszych”, powiedział 5 maja br. minister spraw wewnętrznych landu Połnocnej Nadrenii-Westfalii Franz-Josef Kniola, stwierdzając, iż obecnie niebezpieczeństwo grozi demokracji ze strony skrajnej prawicy.

Wedle danych z ankiety przeprowadzonej na zlecenie pisma *SUPER ILLU*, aż 83% ankietowanych w nowych landach zgadza się z hasłem wyborczym partii DVU „Wydać przestępców cudzoziemskich!”, a 59% z hasłem „Niemieckie pieniądze dla niemieckich miejsc pracy!”, które przyczyniły się do jej sukcesu wyborczego w Saksonii-Anhalt. Obok tych haseł, będących po części do zaakceptowania także przez wyborców nie mających nic do czynienia ze skrajną prawicą, do sukcesu wyborczego DVU z 3 maja br. przyczyniło się też w dużej mierze niezadowolenie z całokształtu polityki partii rządzących, rosnącego bezrobocia i poczucia „braku perspektyw” szczególnie wśród ludzi młodych. Analizy preferencji wyborczych potwierdzają powyższą diagnozę. Znaczący problematyki przestrzegają też, że prawdziwe zagrożenie może się zacząć z chwilą znalezienia jednego charzmatycznego przywódcy i zjednoczenia się wszystkich ruchów skrajnie prawicowych i neofaszystowskich.

„Wystąpienia nacjonalistyczne takie, jak te, które miały miejsce przy granicy z Polską (po zniesieniu wiz wjazdowych przez Niemcy – A.S.) udowodniły raz jeszcze, że wcześniej czy później hasła prawicowych kręgów konserwatywnych wymieszają się z hasłami kręgów skrajnie prawicowych, tworząc wysoce wybuchowy materiał”, stwierdzili w roku 1991 auto-

rzy książki „Z lewa na prawo” (Von links nach rechts. Rechtsradikale Aktivitäten in den neuen Bundesländern, Goldmann Verlag), dodając w innym miejscu: „Recesja gospodarcza, nastrój kryzysu na wielu obszarach społeczeństwa, były za czasów Republiki Weimarskiej czynnikami, na których narodowi socjaliści opierali swój materiał wyborczy i z sukcesem kolportowali go wśród ludzi. Nie wolno przy tym zapominać, że Hitler i jego pomocnicy zdobyli miliony sympatyków i wyborców nie przy pomocy teoretycznych pism narodowo-socjalistycznych, lecz przy pomocy zakłamanej propagandy, np. o wrogości Żydów, jako wyrazu pogmatwanego antykapitalizmu, oraz głoszenia konieczności walki o ‘czystość’ i obietnicami ‘pracy i chleba’.”

Przy całym podobieństwie niektórych zjawisk i mechanizmów, trzeba wyraźnie stwierdzić, że Republika Federalna Niemiec to nie Republika Weimarska, a analogie – jeżeli w ogóle – są możliwe tylko w odniesieniu do poszczególnych fragmentów sytuacji w Republice Weimarskiej i współczesnych Niemczech. Społeczeństwo zachodnioniemieckie cechuje duża akceptacja dla obecnego systemu demokracji, i nawet w okresach kryzysu gospodarczego nie był i nie jest on tam zagrożony. Mieszkańcy landów wschodnich stanowią zaś tylko 17% ogólnej liczby mieszkańców, a i wśród nich tylko pewien procent popiera partie i ruchy skrajnie prawicowe i neofaszystowskie, które w obecnej sytuacji mają bardzo małe szanse na większe zwycięstwo wyborcze, nie mówiąc już o przejęciu władzy. Bardziej przekonujący wydaje mi się w tym kontekście pogląd Uwe Backesa (Rechtsextremismus in Deutschland. Ideologien, Organisationen, Strategien, z lutego 1998 r.), który stwierdził: „Wydaje się, iż w przypadku ‘Nowej Prawicy’ chodzi o mocno przeceniony fenomen, który nie odpowiada oczekiwaniom ani w zakresie intelektualnej oryginalności ani swego publicznego oddziaływania. (...) Nurt ten mógłby jednak istotnie zyskać na znaczeniu, gdyby proces integracji europejskiej (z planowaną unią walutową) doprowadził do dalszego poważnego obciążenia sytuacji społecznej i ekonomicznej ludności”.

Andrzej STACH

Zapiski sołowieckie (X)

Żyjąc w tym ogromnym kraju, czuję, że sam w pewnym sensie... ogromnieję”.

Joseph de Maistre

1.

Wiosna tu światłem – jak batem – tnie w ślepią – jak basior je mrużę po mroku barłogu – po zimie ponurej i srogiej. Zewsząd bije blask: w powietrzu śnieżny pył iskrami tańczy, na sztywnych trawach świeci szreń, z sopli zwisają krople ogni i cały świat się wokół skrzy, jakby ktoś brylanty rozrzucił garściami – w słońcu. A z drugiej strony: błękitnawe cienie wycinają negatyw świata na śniegu, w mroku lód blikuje, para z ust bucha i chłodem ciągnie – w cieniu. Morze jeszcze śpi pod grubą pokrywą lodu, w której foki, tu i ówdzie, dziury wychuchują, by na słońcu lec. Sunąc na nartach śród torosów, trzeba uważać, żeby nie wpaść do takiej dziury, przysypanej śnieżkiem. Dalej, na grani lodowej pokrywy i odkrytej wody, horyzont drży jak rozlana rtęć. Tam sztormy spiętrzają kry, jedna na drugą, tworząc oniryczne budowle z brył lodu i światła: gmachy bez dachów, ściany donikąd, baszty bez celu i bramy na przestrzał, ślepe uliczki, głuche zaułki... *à la* Piranesi. W tych krach, jak w grudach krysztafu, promienie słońca się rozszczepiają na bładę seledyn, modry i róż – jeśli ze światłem patrzeć. Natomiast pod światło ciekną łyzy, w których zimne ognie grają. Po wielu godzinach włóczęgi po morzu, wracam do domu jak z innego świata.

2.

Oligarchia – modne dziś słówko w rosyjskiej polityce. Wg Niemcowa oznacza zrost struktur biurokratycznych z finansowymi i prowadzi do dyktatury hybryda. Hybryd – dodajmy od siebie – ma czerwony łeb (było-komunistyczny) i zad zapaćkany w błatnom szmalu. Boris Jefimowicz zwalcza go, jak może, ostatnio. Nawet w legowisko doń poszedł – jak św. Georgij na smoka – i u Doriienki wystąpił. (Gwoli wyjaśnienia: Doriienko jest głównym komentatorem politycznym ORT – programu telewizyjnego, którego jednym z właścicieli jest... oligarcha Bieriezowski). Tam powiedział, że glebę dla hybryda przygotowały czasy komunizmu, kiedy to partia zmonopolizowała w swoim ręku władzę polityczną i ekonomiczną, i że teraz hybryd oligarchii nie tylko w stolicy się zalągł, lecz i w *głubinkie* Rosji się wykluwa i w byle dziurze dochodzi do kontaminacji swojskiego notablistmentu ze swojackim kryminalitetem. (Dla przykładu: Firma Spod Ciemnej Gwiazdy popiera Iksa w wyborach na Gławę Regionu, Iks po zwycięstwie zwalnia Firmę z podatków, co prowadzi do jej dominacji na rynku i likwidacji konkurencji, a zarazem uzależnia Gławę od darów, łapówek i groźby *kompromatow*. Zatem ludzie Firmy wchodzi do Administracji, do Dumy... Iks staje się bezwolny w rękach Firmy, ta może go zdjąć i swojego Bratana posadzić na stołku Gławy.) Doriienko zapytał: czy Czubajs, lub Czernomyrdin to Oligarchia? Niemcow od nazwisk się uchylił, z uśmieszkiem, i rzekł, że Oligarchia to Hydra – utniesz jej łeb, dwa nowe wyrosną.

Dwa dni później Jelcyn posłał Czernomyrdina i Czubajsa w *otstawku*. Przy okazji Kulikow poleciał. Na stołku premiera przysiadł 35-letni Sergiej Kirijenko z Nowgorodu, od niedawna minister od węgla i ropy, człowiek Jefimowicza. Co niektórzy przebakują, że idzie gra o gaz i ropę, i że Bieriezowski chce zgarnąć „bank”.

3.

Nareszcie! Wydawnictwo „Nauka” z Sankt-Petersburga zaczęło wypuszczać pierwsze tomy „Biblioteki literatury Dawnej Rusi”, przygotowanej w pracowni Oddziału Staroruskiej Literatury RAN, pod przewodnictwem Akademika

Lichaczewa (byłego zeka SŁON-a). I śmiało można powiedzieć, że to wydarzenie w historii ruskiej kultury – wydarzenie, którego nie sposób przecenić. Pierwszy raz w dziejach jej piśmiennictwa zostaje udostępniony praktycznie cały dorobek staroruskiej literatury (z równoległym przekładem na dzisiejszą rusczyznę), zebrany w dwudziestu tomach: od XI-wiecznego „Słowa o zakonie i łasce” Ilariona aż do XX-wiecznej korespondencji staroobrzędowców (zaliczonej do „Biblioteki” ze względu na jej konserwatyzm językowy i rodzajowy). Obok dzieł znanych, jak „Słowo o pułku Igora”, czy „Żywot Awwakuma”, do serii włączono rzeczy dostępne dotąd tylko specjalistom, np. wspaniałe zabytki raskolniczej szkoły literackiej Wyga, zapiski na brzoźowej korze z XII wieku, odnalezione niedawno pod Nowgorodem, apokryficzne dzieła chłystów... zresztą, wszystkich wymienić niepodobna. Literatura Dawnej Rusi doszła do nas zaledwie w okrucach, lecz dzięki „Bibliotece”, w której zebrano te okrucy do kupy, możemy dojrzeć zarówno zarys ogromnej całości, jak i oblicze w niej odbite. Lichaczow pisze we „Wspomnieniach”, iż wybrał fakultet literatury staroruskiej, bo „...ona utrwaliła rysy naszego charakteru narodowego w okresie jego dojrzewania”.

„Biblioteka” przywraca Rosji siedem wieków literatury – to jakby pamięć wrócić choremu na amnezję. Pytanie: czy ten zechce z niej korzystać, przywykły do *człtwa* wszelkiej maści, lub nie czytawszy nic zgoła? Wielu moich tutejszych znajomych, ludzi bynajmniej niegłupich, ze zdziwieniem się dowiaduje, że słowo pisane na Rusi ma bogatą tradycję, sięgającą XI wieku, a ruskiej średniowiecznej prozie dokumentalnej brak analogicznych na świecie. (Nawiasem przypomnę niektórym rodakom, lubiącym dokazywać zapóźnienie kulturowe Ruskich, iż „daj, ac ja pobruszę, a ty poczywaj” – najstarsze polskie zdanie pochodzi z XIII stulecia, zaś kronika Galla Anonima, nasz pierwszy zabytek po łacinie, jest o wiek późniejsza niżli „Słowo” Ilariona.) Być może więc obraz życia duchowego narodu, przechowany w „Bibliotece”, pomoże Rosjanom w samoidentyfikacji kulturowej, po dziesiątkach lat samotrzebienia.

Pierwsze tomy „Biblioteki” obejmują dzieła XI-XII wieku, m.in. „Słowo o zakonie i łasce”, „Powieść minionych lat”,

„Opowiadanie o Borysie i Glebie”, „Żywot Feodosija”, „Pocuzczenia i słowa” Kirilla Turowskiego, opowieści „O zabiciu Andrzeja Bogolubskiego” i „O cudach Włodimirskiej ikony Bogurodzicy”, „Kijewo-Pieczerskij patierik...” wszystkie pisane przez monachów.

4. Otwórzmy, dla przykładu, „Żywot Feodosija Pieczerskiego” i zajrzyjmy do celi starca: „... tam siedzi wielki Nikon i pisze księgi, a ojciec Feodosij, przycupnąwszy z kraju, przędzie nici dla ich zszycia”. Albo: „... opowiadał czcigodny Ilarion, mistrz wśród skrybów, jak dniami i nocami przepisywał manuskrypty w celi u ojca Feodosija, a ten nucił psalmy i prządkł”. Działo się to w zaraniu państwa ruskiego, za rządów Jarosława Mądrego, który „...wielce mnichów miłował i księgi ich czytał bez końca. I zebrał skrybów, by przekładali z języka greckiego na słowiański, i na pismo. Oni zaś przepisali i zgromadzili ksiąg mnóstwo, ku nauce wiernym i chwale Słowa Bożego. Podobnie z ziemią – jeden ją orze, drugi sieje, inni żną i jedzą, tak i tu – Włodimir grunt wzruszył, chrztem oświecił, Jarosław posiał w serca słowa ksiąg, a my się posilamy”. Porównując pisanie ksiąg do uprawy ziemi, latopis ukazuje główne zadanie, stojące przed monastyrami w początkach kształtowania się ruskiej państwowości – zagospodarowywanie nowych obszarów. Porządkowanie chaosu. Albowiem rozległa równina między Europą i Azją, pokryta błotami, lasem i stepem, była bezładna – brakło na niej punktów orientacyjnych: gór, miast, twierdz; ani granic, ani stanic, jeno śnieg i leśna dzicz, i kurhany, i hordy nomadów. Ta przestrzeń nie miała ni historii („przeszłości utrwalonej w zapisach o niej”), ni prawdziwej wiary (idole się tam pleniły w kłębach z plemionami) i nikt jej dotąd nie *osmyslił*, tzn. nie uświadomił sobie. Przed klasztorami stało podwójne zadanie: obok pól uprawnych należało uprawiać pole semantyczne tej ziemi. Słowem, tworzyć świat z chaosu za pomocą języka...
...który powstał ze zlewania się starobułgarskiego (zwanego starosłowiańskim) z różnymi odmianami rusczyzny tamtych czasów: od mów na wiecach i ucztach do gramot prawnych i bylin. Różnorodność narzeczy Słowian, wchodzących

w skład Rusi, dawała ruskiemu bogatą synonimikę (ćma słów na oznaczenie jednej i tej samej rzeczy, w zależności od regionu), styl szlifował na wzorach frazy biblijnej, liryzmu się uczył od bab w polu, a dosadności u muzyka na targu, lecz jego najważniejszym elementem był rytm – miara prozy. Rytm bowiem porządkował rzeczywistość, jak kroki wojów każdą piędź ziemi, a tętno krwi – upływ czasu. Rytm języka nadawał światu ład.

5. Wróćmy do celi ojca Feodosija, aby się bliżej przyjrzeć postaciom, które tam siedzą. I tak Ilarion: *muż blag, i kniżen i postnik*, jak go latopis określa; autor „Słowa o zakonie i łasce” – pierwszego zabytku ruskiej literatury, oraz budowniczy pierwszej celi na Rusi – pieczary nad Dnieprem, którą był wyrył na dwa sążnie w głąb ziemi, aby się tam modlić, w odosobnieniu. Książ Jarosław widać ceniał Ilariona, bo w 1051 r. zrobił go metropolitą kijowskim (pierwszy Rusin na tym tronie), wbrew Konstantynopolowi. Może o decyzji kniazia przesądziło „Słowo o zakonie i łasce”, napisane dwa lata wcześniej.

Traktat Ilariona był pierwszą próbą sformułowania tzw. „ruskiej idei” – historiozoficznej koncepcji, wedle której Ruś (później Rosja) zajmuje szczególne miejsce w dziejach świata, innymi słowy: ma w nim swą misję do spełnienia. Ilarion sięgnął do biblijnej opowieści o Abrahamie i zbudował szereg opozycji: od nałożnicy Agar i żony Sary – *rabyni* i wolnej – Stary i Nowy Testament – judaizm i chrześcijaństwo... do tytułowego zakonu, tj. prawa i łaski. Nie zagłębiając się w zabytek (zadanie na osobny szkic), zwróćmy uwagę na elementy, które mu zapewniły długowieczność w ruskiej myśli – swojego rodzaju archetypiczność. Po pierwsze – zakładał kamień węgielny prawosławnej wiary w moc łaski Pana, przeciwstawionej ludzkim prawom, jak światło – cieniem, przygotowując tym samym grunt pod lekceważenie prawa w imię łaski Pańskich pomazańców. Stąd późniejsza niechęć do Zachodu, spadkobiercy prawa rzymskiego. Po drugie – budował fundament pod antysemityzm, dzieląc ludzi na plemię Izaaka i Ismaela – synów prawdy i łży. Niektórzy tłumaczą Ilariona, że nie o Żydów mu chodziło, lecz o Chazarów, wro-

gów Rusi. Po trzecie – wznosił konstrukcję ruskiego mesjanizmu, jakoby przyszłość chrześcijaństwa do Ruskich należała, a historię świata dzielił na czasy do przyjęcia przez nich chrztu, i po. Są i tacy, co czytają w tym miejscu „Słowo” jako zapowiedź końca historii i początku teraźniejszości. Po czwarte – wiązał słowa w nowe pojęcia: *Ruska ziemia, jedynodierzec...* które określały tożsamość narodową ludów, zamieszkujących owe obszary i system władzy nad nimi. I po piąte – stolec świętego Konstantyna przeznaczał dla Rusi, co potem podchwycił Filofiej w koncepcji Moskwy – „trzeciego Rzymu”. Wszystkie te elementy, tak czy inaczej, weszły w najróżniejsze warianty „ruskiej idei”: od wspomnianego Filofieja do Dostojewskiego, czy Sołżenicyna. Nieprzypadkowo dziś, gdy znów się dużo mówi o „ruskiej idei”, traktat Ilariona wychodzi w nowych przekładach. I jeszcze jedno: arcyzm „Słowa”. Ilarion i tu dał wzór – filozofowanie poprzez sztukę – zamykając treści, o których była mowa, w formie kunsztownej, choć językiem prostym, wszak ten na Rusi dopiero się kłuił i nie było jeszcze owego nadmiaru słów, tworzonych z jednego rdzenia za pomocą rozmaitych sufiksów. Dzięki czemu i świat jeszcze się nie rozsypanywał na detale i odcienie, w różnego rodzaju zdrobnienia, zgrubienia, złożenia... Świat w „Słowie” widać jasno i wyraźnie, choć niejednoznacznie.

Po śmierci kniazia Jarosława Ilarion zostawił tron metropolity kijowskiego (być może do tego zmuszony) i wrócił do swej celi, wokół której – tymczasem – wyrósł Pieczerskij monaster. Tam właśnie zastaliśmy byłego metropolitę przy pisaniu ksiąg.

6.

Obok wielki Nikon... jego sylweta, niewyraźna dla uczonych, ledwie majaczy w kącie celi, jakby ją ogienek lampady dobywał z półmroku i rzucał na karty latopisów. – to go widzimy u boku świątobliwego Antonija w pieczarze Ilariona, gdy ten piastował urząd metropolitalny w Kijowie, to w Tmutarakani, dokąd odszedł po kłótni z kniazem Izjasławem, synem Jarosława Mądrego, to znów w Pieczerskim monasterze... I zawsze w cieniu innych – to Antonija, to Feodosija – jak autor za plecami swoich bohaterów, lub malarz ikon w głębi ich oczu. Nikona możemy

nazwać ojcem ruskiego latopisania, chociaż nie on był pierwszy.

Latopisanie na Rusi było zajęciem monachów, cela bowiem dawała możliwość skupienia, pozwalającego się wznieść ponad ruską ziemię i zobaczyć ją z lotu ptaka – całą. Malarze ikon nazywają to „podniesionym horyzontem”, bo wystarczy nieco w górę widnokrąg przesunąć, by się nad widokiem znaleźć, nie ruszając z miejsca. Cóż mógł dojrzeć latopis z wysokości swej celi: równinę płaską, lasy bezkresne, stepy rozległe i rzeki jak drogi, na nich łodzie płynące z Północy ku Bizancjum, z rabami na sprzedaż... Widok zaiste nieokreślony, i bezczasowy. Aby go utrwalić, należało rzeki ponazywać, tam szczepy, ich narzeczka i każdy kadr datować. Wzór podsunęła „Kronika świata” Hamartolosa, skąd zaczerpnięto prolog od stworzenia świata do narodzin Ruskiej ziemi w 852 roku, kiedy to Rus’ na Car’grad najechała, natomiast lokalne dzieje kompilowano z bylin, słuchów i starych gramot – od legendarnego Rjurika do kolejnego skryby, bo każdy zwyczaj kończył na sobie. Nikon stworzył sam *genre* latopisu: siatkę dat, w którą można dzieje łąpać. Osnową był czas, nań wydarzenia nanizywano: najazdy, rzezie, pożogi... Przy tym – uwaga! – czas na Rusi postrzegano inaczej niż dzisiaj – na odwrót. Piszący miał przeszłość przed oczyma, przyszłość za plecami; stojąc za pulpitem, widział karki swych poprzedników, zwróconych – jak i on – twarzą ku przodkom. Skrzyp ich piór przypominał szelest piachu... jeden od drugiego wątek przejmował, nieraz się to rwało, zwłaszcza kiedy obcy najężdżali, by po jakimś czasie, w innej celi, na drugim krańcu Ruskiej ziemi, zostać podjętym... – tak powstawała kolektywna literatura Dawnej Rusi. Rodził się ruski styl „monumentalnego historyzmu” – wedle określenia Lichaczewa – obejmujący też architekturę, ikonę i muzykę, i wizję świata, i byt, i etykietę polityczną; styl, w którym formowano historię Rusi, nieraz ją podporządkowując prawidłom *genre’u*. Np. pod datą 1065 latopis odnotowuje pojawienie się komety: „...i gwiazda ogromna, świecąc krwawo, co wieczór po zachodzie słońca na niebie się jawiła, przez siedem dni. Znak ten źle zwiastował. Zaczęły się wojny i najazd pogan na Ruską ziemię, gwiazda ta bowiem, jakby krwawa, przelew krwi wieściła”. W rzeczy samej kometa

pojawiła się rok później, w kwietniu 1066, lecz dla latopisa ważniejszym było, by data zdarzenia odpowiadała zdradzie kniazia Wsjesława, który z poganami na Ruś napadł... Latopis nie odtwarzał rzeczywistości, on ją tworzył, dobywając z rzeczy sens. I, niekiedy, sam w niej zastęgał, jak Nikon pod piórem swojego ucznia Nestora – w celi ojca Feodosija.

7.

Zatem Feodosij, gospodarz celi. Tę postać widać najwyraźniej – od otroka do grobu – dzięki „Żywotowi”, pióra Nestora. Od dziecka skupiony w sobie, często *jurowiwyj*, czyli nawiedzony po naszymu, skłócony z matką, niezrozumiały dla otoczenia, w końcu trafił do pieczary Ilariona – tam go Nikon w monachy był postrzygł. Z czasem bogobojny Feodosij stanął na czele braci, zorganizował Pieczerskij monastyr i wprowadził doń *ustaw studijskij*. Kładąc podwaliny pod wspólnotę monaszę na Rusi, nauczał: „Ogródził się brat zewsząd, jak przed zbójcami, bojaźnią Bożą i modlitwą, na straży postaw uwagę, by w mieście, wśród ludzi, myśli nie rozpraszać, lecz pozostając skupionym w sobie – niby w celi – rozmyślać o rychłej śmierci, jakbyś na pustyni się znajdował”. Po śmierci kanonizowany i czczony tu jako ojciec duchowy życia zakonnego.

Dzieje pierwszej monaszei wspólnoty na Rusi opowiada „Kijewo-Pieczerskij patierik”, który jest zarazem przykładem narodzin kolejnego *genre'u* – żywotów świętych; rodzaju osobliwego – człek wg jego reguł tworzy własne życie, a potem ktoś inny je zapisuje, upraszczając nieco. W odróżnieniu do słów i latopisów, żywoty świętych dają nam wgląd w życie prywatne ludzi Dawnej Rusi, pokazują ich grzechy, detale intymne... Nierzadko nie wiadomo, gdzie kończy się życie i zaczyna żywot, i kto jest autorem danego epizodu: święty bohater, czy jego skryba? Np.: można-li wyżyć zakopanym w ziemię po szyję, jak Joann Zatwornik? Zbiory żywotów nazywano *patierikami*, w nich widać realia epoki i rysy obyczajów, ideały świętości i grymasy dewiacji – jak w lustrze. Znaczenie „Kijewo-Pieczerskiego patierika” jest szczególnie – w nim się Ruś przeglądała, ledwie przebudzona, i wedle niego się formuje: od bytu smerdów do etykiety na dworze. Monastyr Pieczerskij był w tym czasie nie tylko

szkołą modlitwy, postu, rzemiosła i posłuszeństwa, ale także ważnym ośrodkiem słowa pisanego, oraz myśli politycznej; tu się kształtował ceremoniał prawosławny i stosunek do wiary łacińskiej, tutaj się rodziła koncepcja jedności ziemi Ruskiej i obraz Polaków, jej wrogów. Nieprzypadkowo bratu Matwieju bies się jawił w postaci... *Ijacha*. Tu wreszcie się roily różne zabobony (jak na przykład wiara w mordy rytualne Żydów), z których większość przetrwała do dziś... (niedawno Patriarcha Moskowskij i Wsieja Rusi zadał Prokuraturze Generalnej pytanie, czy zabójstwo carskiej rodziny nie miało charakteru takiego mordu?). Krótko mówiąc, Pieczerskij monastyr był rozsądnikiem i prawej wiary na Ruskiej ziemi, i przesądów, ikon i ksiąg świętych. I stąd to poszło na Północ...

Z rozdrobnieniem Rusi rosła ilość klasztorów – w Twerze, Kostromie, Jarosławiu, Niżnym Nowgorodzie, czy Moskwie – bo każdy udzielny książę chciał mieć pod bokiem monachów, którzy by się zań modlili, i radą mu służyli, i latopisem sławili. Potem, w jarzmie tatarskim, w tych klasztorach Ruś przetrwała, jak jej dzieje w manuskryptach. W XIV wieku, w dali od świata, wśród głuchych lasów i błot nieprzebytych, powstaje nowy typ ruskich monastyrów, tzw. *pustyni* – tam żyli bracia, którym ludzka *sujeta* (czyli marność) się sprzykrzyła. Jednym z nich był Sjergij Radonieżskij, założyciel Ławry Troickiej, nie opodal Moskwy, skąd się zaczęło „zbieranie” Ruskiej ziemi: naprzód świątobliwy ojciec pobłogosławił kniazia Dimitrija za zwycięską bitwę z Tatarami, a później jego uczniowie podjęli kolonizację północnych połaci Moscovii – od Biełooziera, przez Walaam na Ładodze do Sołówek na Białym morzu – ażeby w następnych wiekach zbudować tam państwo w państwie, w którym „...brać monasza – swojego rodzaju jaśniepaństwo w *riasach* – zarządzała tysiącami kornych rabów...”, jak pisał Wasilij Kluczewskij, ale to już inny rozdział naszej opowieści.

8.

Tymczasem w Moskwie trwa kryzys rządowy, wywołany *otstawkoj* Czernomyrdina: Duma się targuje, Żirinowskij przypochlebia, Jawlinskij buntuje, zaś Jelcyn w TV łapówki obiecuje i straszy, że dacje służbowe pozabiera... A w Krasnojarskim kraju wybory gubernatora, kraj to bogaty, tam

i złoto i nikiel, węgiel, gaz i las, zatem i konkurenci poważni: generał Lebed', za którym Bieriezowski stoi z ORT, i... Alain Delon, dalej Walerij Zubow, a za nim Łuzkow, mer Moskwy i RTR, na trzecim miejscu idzie w prognozach krasny Romanow, za tym rzecz jasna Zjuganow i KPRF... A Prezydent tymczasem do Japonii się udał, aby tam, podwór puszczając i bębnow, o Kuriłach pogadać, bez krawatów... Ot, *sujeta*. Ciekawym, czy przetrwa pamięć o którymś z tych mężów lat choćby paręset, jak o Mścisławie Romanowiczu, Światosławie Mścisławiczu, Mścisławie Światosławiczu, Mścisławie Mścisławiczu, Olegu Mścisławiczu, Światosławie Olegowiczu, Romanie Światosławiczu... którzy na kartach starych latopisów migają i co rusz jednego z drugim mylisz.

9.

Siedząc na przyzbie *moich Sołówek*, plecami wsparty o Krąg Polarny, wspominam słowa de Maistre'a: „Powoli zaczynam z lekceważeniem patrzeć na kulę ziemską – toż to zaledwie dziewięć tysięcy *lie* w obwodzie. Fiu, jak pomarańcza”.

Mariusz WILK

W drodze*

Ataki zdarzały się teraz najczęściej w nocy, kiedy ona już spała, albo o świcie, kiedy jeszcze spała. Podczas dnia, po tym który przytrafił mu się tak nieoczekiwanie w San Vitale w Rawennie, to tylko jeden raz w Torre Fortore po drodze do Pescary, kiedy poszła sama na plażę. Powiedział, że musi wpiersz załatwić kilka telefonów do kraju i do Monachium i że przyjedzie trochę później, choć o telefonach naprawdę nie myślał, tylko czuł, że to się u niego znowu zacznie i nie pomylił się, bo leżał wkrótce zwinięty w kłębek na łóżku z zaciśniętymi zębami, tłumiąc jęki, bijąc pięściami w poduszkę, a wreszcie, kiedy bóle po jakimś czasie, po wzmocnionej dawce jednego z leków ustały i też na plażę poszedł (raczej powłókł się, ledwo trzymając się na nogach, wciąż jeszcze poszarzały), i ułożył się w milczeniu obok niej na skraju kąpielowego ręcznika w cieniu przeciwsłonecznego parasola, myśląc, że drzemie, to ona otworzyła zaraz oczy, uniosła głowę, przyjrzała mu się i zapytała, czy coś się stało, a gdy odpowiedział pytaniem, że dlaczego miałyby się coś stać? zauważyła, że jest jakiś dziwnie zmieniony, „Masz może kłopoty?“, więc skłamał, że nie, nic się nie stało, że to tylko u niego w Instytucie, w jego dziale, borykają się z kilkoma krajowymi problemami, które trzeba rozpracować, że przez telefon musiał zrobić dłuższy wykład, a wtedy zapytała: „Powiedz, twój urlop się kończy? Chcą cię ściągnąć z powrotem?“, to już dalej kłamał jak z nut, że nie, trzy lata był bez urlopu, „Czy ty wiesz, ile mi się tam tego nazbierało. Całe trzy miesiące wolne. Wprawdzie nie zapowiadałem, że tak długo

* Fragment przygotowywanej do publikacji powieści pt. „Oksana”.

będę nieobecny, ale może będę”, a ona po pauzie, już znowu leżąc z zamkniętymi oczami, nagle odezwała się cicho: „Chcesz, to pojedź z tobą dalej. Tylko ode mnie samej zależy, kiedy podejmę znów pracę w klinice. Mówiłam ci..., tam przeprowadza się teraz remont, nie jestem potrzebna...”, „Chcę” powiedział on na to i natychmiast: „Chcę!” powtórzył głośniej, „Przecież dobrze wiesz. Chcę!”, powiedział po raz trzeci, a ona jak przedtem powiedziała bardzo cicho: „Ale potem chciałabym tak odejść z godziny na godzinę. Wsiąść do samolotu – i już mnie nie ma. Bez pożegnań”, a on dopiero po chwili skinął głową, że się zgadza, ona zaś jego zgody nie skomentowała ani słowem, milczała, może tego ruchu jego głowy nawet nie dostrzegła, twarz jej tylko, choć obejmował ją całą cień parasola, pokryła się drobnymi kropelkami potu, i wprawdzie oddech był równomierny, to jednak cienka, niebieska żyłka na szyi pod uchem, nabrzmiała i pulsowała szybko. Patrząc na nią powtarzał w myśli: „To dobrze. Bez rozdzierających pożegnań. To dobrze!”, zresztą nie wyobrażał sobie, aby było to w jej stylu, wydawała mu się kobietą silną, nieskorą do łatwego obnażania uczuć i zastanawiał się czy uda mu się dotrzeć do tego momentu, który gdzieś tam w swych planach na odjazd wyznaczyła, czy też załamie się ostatecznie wcześniej w jej jeszcze obecności, a tego by sobie jak najbardziej nie życzył. I znowu powtarzał w myśli: „To dobrze. Bez rozdzierających pożegnań. Tylko bez rozdzierających pożegnań”, choć miałby ochotę krzyknąć: „Nie chcę! O Boże, nie chcę! Jeszcze nie! Nie teraz!” i potem zatopić usta głęboko w piasku i siłą zdusić ten krzyk.

Ich obiad, który minął na układaniu planów krótkiego nazajutrz wyjazdu do Canne della Bataglia, skończył się sprzeczką o pieniądze. Restauracja, do której w drodze do swojego pensjonatu zaszli, okazała się nieprawdopodobnie droga, a ona nie chciała, żeby za nią płacił. Ale sprzeczka skończyła się od razu, kiedy tylko powiedział, że kłócą się już jak małżeństwo. Spoważniała, chwilę intensywnie myślała, a potem roześmiała się: „Wiesz, dla ciebie to nawet mogłabym się rozwieść, gdyby to było w ogóle możliwe. Niekoniecznie, żeby za ciebie wyjść za mąż. Nawet gdybyś mi to zaproponował. Ale po prostu, żeby z tobą być”.

Już w pensjonacie, w hallu, wyszedł im naprzeciw mały, okrągły jak orzeszek i rozpływający się w podniosłych serdecznościach *patrone*, którego dzień wcześniej, gdy tu zajechali, nie było. Łamaną niemczyzną sumitował się, że nie mógł przyjąć ich dnia poprzedniego, ale przecież nie został ani listownie ani telefonicznie powiadomiony, więc wyjechał w interesach do Bari i dlatego dopiero teraz może powitać *commodore* i jego piękną towarzyszkę osobiście, co czyni jednak z równie dużą przyjemnością. Rozmowa toczyła się później na tarasie z widokiem na morze dwujęzycznie: *patrone* mówił łamanym niemieckim, on zaś mówił nic nie lepszym włoskim, ale w ciągu pół godziny, kiedy na stoliku pojawiła się najpierw kawa, potem wino, zostały przez nich obu omówione wszystkie aktualne wydarzenia światowe, a ona z uśmiechem, choć milcząco, towarzyszyła temu dialogowi, zafascynowana nie tyle fejerwerkiem językowym, co siłą namiętnego zaangażowania ich obu w rozmowę. Gdy *patrone* został gdzieś odwołany, zapytała, skąd tamten wytrzasnął ten tytuł *commodore*, którym go tak hojnie obdarza, a wtedy powiedział, że przed kilkoma laty poszukiwał wzdłuż tutejszego odcinka wybrzeża śladów pewnej wojskowej jednostki, podobno gdzieś w tej okolicy miała swój żywot zakończyć, przerzucona pod koniec wojny z Jugosławii, i że w ten sposób tu i ówdzie dla tutejszych stał się *commodore*, a ona na to zaraz tak jakoś twardo: „Dywizji SS-Galizien?”, on zaś dopiero po chwili, bo serce podskoczyło mu nagle pod gardło: „Skąd wiesz?” zapytał, a ona tak samo, jak przedtem twardo: „A jakiej mógłbyś tutaj szukać”, on zaś rozwodzić się zaczął o tym, że we Włoszech bez jakiegoś tytułu kroku zrobić nie podobna, że na przykład między Taorminą a Syrakuzami, w pensjonatach i hotelach, do których zwykł zajechać, nazywany jest niejednokrotnie *capitano*, choć nigdy w wojsku nie służył (tu wtrącił szybko opowieść, jak to swego czasu, gdy był w Polsce, jedna z jego ciotek dała łapówkę przewodniczącemu Komisji Poborowej i wykupiła go od ludowego wojska), więc te wszystkie tytuły po drodze były fikcyjne, choć każdy miał swoją historię, kiedyś, jeżeli ona tylko zechce, to opowie, ale tak do nich tutaj przywykł, że nieomalże w nie uwierzył. Ona tymczasem słuchała cierpliwe, cierpliwie czekając aż skończy, widać jednak było,

że to, co on mówi, nic a nic jej w tej chwili nie obchodziło i zaraz, gdy skończył, zapytała: „Dalej nie rozumiem związku między twoimi tutaj poszukiwaniami, a tym, że cię tytułują *commodore*...”, a on: „Ja też nie rozumiem” powiedział, a ona: „Ja jeszcze mniej”, to wtedy: „Może wzięto mnie za jednego z tamtych? Jakiegoś z oficerów, więc *commodore*...” spróbował niepewnie, a ona przypatrywała mu się chwilę, tym razem z jakąś stanowczą dezaprobatą, prawie odpychająco, zanim wreszcie powiedziała: „Jednego z tamtych?”, „No, może z tamtych, może nie z tamtych, czy ja wiem! Język ukraiński, język polski, czy to ktoś tutaj rozróżni?” podniósł mimo woli głos. „Zresztą czy ci Włosi wiedzieli, czym było SS-Galizien? Dla nich bez znaczenia – czym! W każdym razie zostałem tak uhonorowany”.

Węc nastąpiła dłuższa chwila milczenia, bo ona, mrużąc oczy, uporczywie patrzyła teraz na morze. Jak gdyby interesowała ją tylko poruszająca się tam gdzieś w dali nad jego rozmigotaną jak łuski ryby powierzchnią smuga dymu, skręcającego się i rozpraszającego wolno, coraz jaśniejszego, a gdy wreszcie się odezwała, to w jej głosie zabrzmiał przymus: „I te ślady znalazłeś?”, a on powiedział: „Może nie umiałem szukać... Nie znalazłem. Tu się gdzieś rozsypali, niektórzy nawet w okolicy się zadomowili. Od wydania Sowiecom uratować ich miało słowo honoru jakiegoś oficera, zaprzyjaźnionego jeszcze przed wojną z pewnym wysoko postawionym angielskim politykiem, a może wojskowym. Słowo honoru, że nigdzie nie dopuścili się... no wiesz... Mówię ‘podobno’, bo nie sprawdzałem. Zajmowałem się tym krótko, nie miałem czasu. I interesowało mnie to krótko”, a ona na to: „Mój ojciec był związany z tą dywizją. Jeszcze przed jej częściowym rozbiciem przez Sowieców. Jeszcze...”, „Dlaczego mi to mówisz?” przerwał cicho, „Bo powinieneś wiedzieć” odpowiedziała równie cicho, „Czy muszę!”, „Musisz!”, „Jezus Maria, Oksana, dlaczego męczysz i siebie, i mnie!”, „Ciebie? Nie chciałabym”, „Mnie też!” Bo przyglądać się muszę, jak zadajesz ból sobie” powiedział wciąż tak samo cicho i dotknął jej dłoni, a ta dłoń, jakby zupełnie poza jej wolą odskoczyła nagle, ale zaraz zatrzymała się, znieruchomiła na powierzchni stolika i pozwoliła się jego dłoni ująć i na niej zacisnąć.

„Oksana” powiedział i zaraz „Oksana” powtórzył, „Na litość boską! Dajże temu spokój”, a ona powiedziała: „Chciałabym wiedzieć, dlaczego szukałeś śladów tej dywizji?” i w jej głosie była taka stanowczość, takie zdecydowanie, że po chwili zaczął kłamać, że pragnął znaleźć ludzi z jej początkowego okresu, z tych ugrupowań Rolland i Nachtigall, zanim przekształciły się w SS-Galizien, a chciał się czegoś dowiedzieć o przypisywanym im udziale w rozstrzelaniu profesorów lwowskiego uniwersytetu..., lecz przerwał: „Dajże spokój! Przecież chyba wiesz, w co byli zamieszani”, „Chcę wiedzieć jeszcze, co ty wiesz” powiedziała ona, „Daj spokój!” on na to z rozdrażnieniem, „Co o tym myślisz!?” znowu ona twardo, a on tylko: „Oksana, proszę cię!”, prosił, bo już wiedział, że ona nie zechce ustąpić, że będzie konfrontować swoje doświadczenie z jego doświadczeniem bez względu na konsekwencje, być może chcąc się sama od czegoś uwolnić, więc powtórzył tylko jeszcze: „Proszę cię, Oksana! Przez takie opowieści rodzi się jedynie nienawiść”, a ona: „O nie! Kiedy się wie wszystko – nie! Słyszałam to wielokrotnie z jednej strony, chciałabym choć raz usłyszeć z innej”, więc powiedział, ale jakby pomiędzy tym o czym mówili, a jego teraz słowami, wymienili już dawniej setki zdań, przeskakując teraz jak gdyby całe zwałowiska narosłych zdarzeń, spraw, pretensji: „Jedno jest pewne, nie macie tradycji walki niepodległościowej, którą by można było się szcycić w szkolnych podręcznikach, statuami z brązu i pomnikami. To byli, niestety faszyci, gorzej, to byli bandyci”, a ona: „Mówisz to bez emocji”, a on: „Tak, bez emocji. Minęło pół wieku od tamtego czasu, można mówić bez emocji. Mówię raczej z żalem. Bo może i nasza, Polaków, wielka w tym wina, że nie macie właśnie takich tradycji. Że musieliście, czy też, że niektórzy z was musieli przerzucić się do obozu Hitlera”, a ona: „Nie próbuj problemu łagodzić! Walka o niepodległość, nie usprawiedliwia podłości, okrucieństwa i zbrodni!”, a on: „Oksana, przestań! Pokłócimy się”, „Już się kłócimy”, odpowiedziała, więc żeby sprzeczkę wreszcie jakoś rozładować, powiedział: „Znowu jak małżeństwo? Czy jak Ukrainka z Polakiem?”, a wtedy drgnęła, jakby raptem strząsnęła z siebie jakiś zły urok i wzrok jej złagodniał. Chciała chyba coś powiedzieć jeszcze, może wyjaśnić, na tarasie jednak gdzie

siedzieli, znowu pojawił się *patrone*, dźwigając nową butelkę wina i po małej chwili poprzednia dwujęzyczna rozmowa o mizernej kondycji współczesnego świata potoczyła się dalej.

Później, wieczorem, już po kolacji siedzieli na jednej z ławek ustawionych na wzniesieniu nad plażą, która pustoszała szybko; upał, zdawało się, gasł. Gdzieś w pobliżu jacyś letnicy włoscy grali głośno w siatkówkę, słyszeli ich młode, wesołe okrzyki, ale grających osłaniały od ich strony zarośla, niżej, pod samym wzniesieniem bawiły się jeszcze dzieci i dalej, gdzie drobne fale leniwie podpływały raz większymi, raz mniejszymi językami liząc brzeg i zaraz szybko się cofały wsiaakając w piasek, to od czasu do czasu szedł ktoś albo biegł, bosymi stopami rozbryzgując płytką wodę. Ona milczała pogrążona w myślach, miał wrażenie, że była chyba daleko, ale nie pragnął odgadywać gdzie, czując narastające zmęczenie, do którego przyczynił się poranny atak (choć nie był zbyt gwałtowny), na pewno długa dyskusja po południu z *patrone* na tarasie pensjonatu, której punktem centralnym były tragiczne masakry w Jugosławii, a zbyt go podnieciła spora ilość wypitego wina, wreszcie sprzeczka z Oksaną, po której jakby coś między nimi stanęło, w każdym razie tak mu się zdawało. Od morza podniosła się delikatna morka, ale zmarszczyła tylko powierzchnię w pobliżu wybrzeża, dalej była bezkresna gładkość lśniąca resztkami słońca, a jeszcze dalej, na samym styku wody z niebem, poruszały się pomniejszone do punkcików statki o konturach rozplywających się szybko w rdzawo ciemniejącym powietrzu.

Poczuł najpierw ciężar głowy kobiety, jak wsparła ją na boku jego ramienia, ucisk tam policzka, a dopiero potem jej dłoń poszukała jego dłoni leżącej dotychczas bezwładnie na udzie. Więc już wiedział: mylił się, nic między nimi nie stanęło, nic takiego się nie zdarzyło, co by burzyło to idealne przymierze zawarte wtedy tam, w Modenie, jeszcze zanim zdecydowała się towarzyszyć mu w tej podróży, i czuł jak z jej dłoni trzymającej jego dłoń jakiś niewidzialny, dobrze wyczuwalny prąd, przemieszcza się w jego rękę i stamtąd rozchodzi kojącym spokojem po całym ciele. Wędrując za jej zamyślnym wzrokiem, wskazał ruchem głowy na

zmierschającą powoli dal, choć jeszcze skrawek jaskrawej czerwieni, jak paznokieć cienkiej, znaczył horyzont, a pod nim, jakby szerokimi tarasami zsuwała się do morza różowość, i powiedział coś o pragnieniu zatrzymania w sobie takiego widoku na zawsze, żeby móc na nowo wydobyć go z niebytu oczami wyobraźni w godzinie śmierci, ale ona milczała, tylko jej policzek przycisnął się do jego ramienia mocniej i od razu zaskoczony pojawił, że ona być może wcale nie słucha, co on mówi i zaraz to jak gdyby potwierdziła, mówiąc: „Mój ojciec był najbardziej kochanym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek znałam. Muchy nie skrzywdziłyby. Przesłonił sobą wszystkie i bliższe i dalsze postacie mojego dzieciństwa. Także matkę. On był dla mnie wszystkim. Nawet piastunką, bo mama często chorowała. Więc kiedy tylko miał trochę czasu bawił się ze mną, czytał mi i opowiadał bajki, śpiewał ze mną piosenki, pomagał mi uczyć się obcego języka, był jak z ikony Bogiem, tyle że zawsze uśmiechniętym. W każdym razie dla mnie. I dopiero po latach, jeszcze długo po tych nieszczęsnych rodzinnych imieninach, o których ci mówiłam i co tam wtedy, gdzieś w kącie podsypiając, usłyszałam, jak ci pijani mężczyźni opowiadali... Dopiero wtedy...”, a on przerwał: „Oksana... znowu zaczynasz!”, ale ona pewnie i teraz nie usłyszała albo usłyszeć nie chciała (choć jej policzek oparty o jego ramię poruszył się nerwowo, oderwał, zaraz powtórnie przywarł), bo mówiła dalej: „Dopiero po latach zaczęłam zadawać sobie pytania, co on tam między tymi mężczyznami robił, gdy oni taplali się we krwi” i spostrzegł, jak jej idealnie wykrojone usta zwężają się, zacinają, ich kąciki drgają, oczy też się zwężają, jakby wcale nie spoglądała na morze, ale skupiona do maksimum patrzyła tylko w głąb siebie. „I zaczęłam powoli kojarzyć mnóstwo rzeczy. Począwszy od urzędowych trudności, jakie miał z przeniesieniem nas na drugi kontynent. Ze spaliło na panewce osiedlenie się w Stanach i musiało skończyć się dopiero kilka lat później na Kanadzie. I jeszcze inne rzeczy... Więc co on tam między nimi robił? Między tymi mężczyznami? Jak myślisz?”, lecz on jeszcze raz przerwał: „To wszystko było grubo przedtem, zanim ty się urodziłaś!”, „No właśnie!” powiedziała, „Więc tym bardziej chciałabym wiedzieć! Bo on przecież z nimi razem przy-

wędrował do Niemiec. Co on z nimi miał wspólnego?! Z tymi mężczyznami, co nie oszczędzali nawet niemowląt” mówiła dalej z uporem, „Więc co chciałabyś wiedzieć!?” „Jakim on naprawdę był? Czy był inny przedtem i inny potem? Czy takim był, jaki pozostał żywy w mojej dziecięcej pamięci, jako dobrotliwy Pan Bóg z ikony, czy był takim, jakim po latach, dorastając, mogłam go sobie wyobrazić. Kiedy przestałam mu wierzyć”, a wtedy, już wiedząc, że jej przerwać w żaden sposób nie zdoła, zapytał: „Nigdy go o to nie zapytałaś?”, „Bałam się. Dzieci rzadko pytają rodziców o ich przeszłość. Bałam się pytać. A potem nie zdążyłam”, „Jak to, nie zdążyłaś!”, „Bo oni przenieśli się do Kanady, a ja zostałam w Monachium, żeby skończyć studia w języku, który znałam najlepiej po swoim własnym”, „No to co...?”, ale odpowiedziała dopiero po krótkiej pauzie: „Potem oni oboje zginęli w katastrofie samolotowej”, więc teraz z kolei on nie odzywał się przez chwilę, a gdy wreszcie odezwał się i zapytał, kim jej ojciec był, ona powiedziała szybko: „Był unickim księdzem. W tej dywizji jednym z kapelanów. Później też gdzieś jeszcze. Pewnie w UPA”.

Gdy zamilkła, to dalej słyszał w ciszy jej oddech. Była bardzo blada. Głosy dzieci gdzieś oddaliły się, ledwo do nich docierały, boisko siatkówki za żywopłotem też chyba opustoszało, jedynie szelest monotonnie czołgających się w głąb plaży fal był nieco donośniejszy niż przedtem, ale nikt tam niżej już nie szedł ani nie biegł brzegiem, rozbryzgując wodę. Cały czas przedtem, gdy mówiła, trzymała jego lewą dłoń w swojej dłoni, on zaś nie poruszał się, nie próbując jej oswobodzić, obawiając się, żeby to nie zostało przez nią (po tym co mu powiedziała) zrozumiane opacznie; a teraz tym bardziej siedział sztywno, znieruchomiły, już od chwili zresztą, kiedy zamilkła wiedząc, że to na niego kolej, żeby się odezwać, że koniecznie powinien coś powiedzieć, tylko nie wiedział co, nawet jak. Oboje więc milcząc, dalej patrzyli na morze coraz mniej widoczne, powlekające się widmową szarością (nie wszedł jeszcze księżyc) i zamyśleni słuchali delikatnego szelestu wiatru, który pulsował raz mocniej, raz słabiej. Ich dłonie jednak, jedna w drugiej, wciąż były mocno zaciśnięte. Aż odezwała się ona: „No tak... Nie wiesz, co

powiedzieć... Ja też nie wiem...”, a on odezwał się nie zaraz, ale dopiero po dłuższej chwili: „Cóż tu można powiedzieć... Że takie były czasy? Że okrutne? Że dawno? Że to się nie powtórzy? Wciąż się powtarza. Sama wiesz. I zwykle powtarza się w jeszcze okrutniejszej formie. Z jeszcze większą ilością ofiar. Z jeszcze większymi zniszczeniami. Niekiedy staram się wnikać we wnętrza tych po przeciwnej stronie. Wydaje im się, że walczą o słuszny, sprawiedliwy cel. O ojczyznę. Ale zawsze będzie nasuwało się pytanie, czy słuszny, sprawiedliwy cel usprawiedliwia zbrodnie w jego imię popełnione... Czy przez te zbrodnie nie staje się ten cel raz na zawsze brudny. No tak, ale to pytania, na które nie ma odpowiedzi. To znaczy odpowiedzi nawet są, ale do niczego się nie nadają...” i umilkł, czując, że to co mówi, niewiele jej pomoże, to nie jest odpowiedź, jakiej by od niego oczekiwała, bo jej pytania nie dotyczyły wcale tamtych dalekich wydarzeń i ich oceny, lecz jej ojca, którego ukochany obraz przesunął się tak niebezpiecznie blisko obrazu owych mężczyzn, ukształtowanego w jej pamięci w czasie tamtego fatalnego przyjęcia rodzinnego, o którym mu opowiadała w Modenie, że niemalże na te ich obrazy się nałożył, i wiedział, że żadna jego odpowiedź obrazów tych już rozdzielić nie zdoła, bo to uczynić mógłby tylko on sam, jej ojciec, gdyby żył.

Było coraz ciszej dookoła, szum fal na brzegu stał się tylko jak gdyby głośniejszy, bardziej miarowy i przeciągłe szeleściły trąc się o siebie ostre trawy porastające skarpe; po dziennym upale wydawało się, że od wody ciągnie chłód. Siedzieli w tej ciszy nieruchomo i bez słowa. Jej policzek oparty o jego ramię, dłoń trzymająca jego dłoń, zaciśnięta, jej oddech już nie głośny, ale słyszalny, jej włosy poruszane wiatrem, łaskoczące go w szyję, ciepło jej biodra stykającego się z jego biodrem. Z głębokiego granatu nieba przebijał się zwolna księżyc, jeszcze nie jasny, powleczony mglistą, rozrzedzającą się warstwą powietrza, ale jednak rozjaśniający wokół wszystko. Uświadomił sobie, że ona płacze. Co się z nią dzieje, co się z nią dzieje, myślał i, czy zawsze musimy dźwigać przeszłość, uginać się pod wspomnieniami czynów ojców i dziadów, motywacji tych ich czynów zazwyczaj już wcale nie rozumiejąc? Ale były to raczej konstatacje, niż

pytania. Później oddech Oksany już nie był słyszalny tak bardzo jak przedtem, tylko jej włosy poruszone wiatrem dalej łaskotały mu szyję, a policzek raptem znalazł się na jego piersi, bo wyswobodził dłoń z jej dłoni (choć nie wiedział kiedy to się stało) i jego ręka otoczyła jej plecy. Powiedział: „Nie płakać, nie płakać... tamte sprawy nie warte twoich łez...”, ocierając wierzchem dłoni jej policzek i jednocześnie uświadamiając sobie, że słowa te, wypowiedane w języku, którym się z konieczności obydwójce porozumiewali, są początkiem jakiegoś klasycznego niemieckiego wiersza, znanego mu w dzieciństwie z podręcznika szkolnego i jak w błysku światła w mózgu jakaś gmatwanina obrazów z tego dzieciństwa z tamtych stron przewaliła się w pamięci, jakieś senne miasteczko, jego poczerńnięte kamieniczki, sklepiki żydowskie, targ, zapach siana i końskiego obroku, grusza wychylająca się przez płot, rozdzwoniona cerkiewka, gromada mężczyzn w haftowanych koszulach i kosoworotkach przekrzykujących się przed karczmą i wieczorem zapach słomianej podpałki pod kuchenkami, na których przygotowuje się kolację, ale zaraz pogrążyła je wszystkie na powrót w ciemności, i powtórzył, jakby ten wiersz recytował: „*Nicht weinen, nur nicht weinen...*”, ustami pieszcząc jej czoło i włosy. A to, co się nigdy nie wyjaśni, nie warte twych łez szczególnie...” dodał, „Nie wyciągajmy z grobu upiórów, niech śpią snem wiecznym...”. Później, trzymając jej głowę na swojej piersi i wciąż gładząc jej włosy, wymusił na niej przyrzeczenie, że już nigdy nie będą o tym mówić, a nawet, że ona spróbuje o tym nie myśleć i ona skwapliwie przyrzekła, wkrótce jednak, bo już nazajutrz, kiedy po obiedzie rozłożył gazetę i przez jego ramię przeczytała jeden z nagłówków, donoszący o nowej masakrze na granicy Chorwacji i Serbii, to przyrzeczenie to złamała.

Wracali teraz opustoszałymi, tu i ówdzie tylko rozjaśnionymi samotną latarnią alejami wśród ogrodów, w których kryły się wpół oświetlone pensjonaty i wille, patrzyli na aksamitny lot nietoperzy pod czarną koroną liści, i podnosząc wzrok wyżej, widzieli jak z nieskończonej głębi nieba spadały od czasu do czasu bezgłośnie gwiazdy, gasnące gdzieś nad ziemią jakby zupełnie niedaleko. Żeby przerwać milczenie,

powiedział: „W naszych stronach... mówiło się, że gdy spada gwiazda, pojawia się duch, który nazywa się oświetlnia i zabiera jednemu coś, co posiada on niesłusznie albo co mu się nie należało i daje drugiemu”, ale ona nie podjęła propozycji rozmowy, i wiedział, że chociaż mu przyrzekła, wciąż myśli o tamtym i zastanawiał się, czy to właśnie on, należący do tak wrogiego jej plemienia, może ją od tych jej pytań uwolnić, czy ma tę siłę, tę umiejętność, a wreszcie, czy on sam tego bardzo chce. Był zmęczony, ale przystanął, gdy ona zatrzymała się i prowadziła wzrokiem spadającą znowu gwiazdę, a potem stała jeszcze chwilę i patrzyła w to miejsce w ciemność. Widać jednak słyszała, co powiedział niedawno, bo nagle się odezwała, do tamtej jego uwagi teraz nawiązując: „Lecz czy to wiadomo, co się każdemu należy. Może zupełnie coś innego, niż on sam sobie wyobraza, niż pragnie mieć?”.

Gdy znaleźli się w hallu swego pensjonatu i zdejmował z tablicy na ścianie klucz do ich pokoju, pojawił się *patrone*, wręczając mu karteczkę z numerem telefonu kogoś z Monachium, kto już kilkakrotnie wydzwaniał i szukał go. Ona powiedziała: „No, widać twój wykład przed południem przez telefon niewiele tam pomógł...”, on zaś się roześmiał i powiedział, że być może potrzebują jeszcze jakichś dodatkowych danych i kłamał, że pewnie nic poważnego, tylko że jeżeli już raz się zgłosił, to teraz będą nadużywać jego cierpliwości czy to będzie naprawdę konieczne, czy nie. Na szczęście nie interesowało jej to dalej, ale on zaniepokoił się poważnie. Numer na karteczce nie był numerem telefonu jego domowego lekarza, lecz jednego z przyjaciół (nie dowierając sobie, sprawdził w notesiku) i gorączkowo się zastanawiał, jak tamten go tutaj znalazł. Potem odczekał, aż ona, przygotowawszy sobie garderobę na jutrzejszą wycieczkę, poszła do łazienki i dopiero wówczas zatelefonował. „Jak mnie tu znalazłeś?”, to było jego pierwsze pytanie.

Rozmawiali po polsku, drzwi od łazienki były zamknięte, ale mówił niegłośnie i starał się formułować zdania tak, żeby z nich nie mogła czegokolwiek się domyślić, gdyby jednak usłyszała. Dowiedział się, że o jego sytuacji w Instytucie wszyscy najbliżsi już wiedzą i że pewnie niebawem dowie się

również dyrekcja, bo urlop wziął na miesiąc tylko, o przedłużeniu zaś nie poprosił, a jeżeli chodzi o to jak go tamten znalazł, to trzyma się przecież swoich utartych tras i tych samych co zawsze hoteli, nie tak znowu trudno było go znaleźć. Skłamał, że odpowiednie pismo do dyrekcji już wysłał, należą mu się zaległe urlopy i myśli z nich skorzystać, a tamten: „Twój lekarz mówi, że to, co robisz, jest bardzo nierozsądne”, a on mówił: „Dajże spokój! Przecież możesz sobie wyobrazić jak jest, gdy się już jest... Wiesz... Wejdz w moje położenie. Tu oddycham pełną piersią, nie myślę o tym, co ze mną. I chciałbym, żeby tak było do końca. Dziwię się, że nie rozumiesz”, „Rozumiem” na to tamten, „Dzwonię, bo mnie do tego zobowiązali koledzy, którzy chcą wiedzieć... Ale tak naprawdę po to, żeby zapytać, czy czegoś nie potrzebujesz, czy w czymś nie mogę ci być pomocny...” a on powiedział wtedy, że w niczym, że: „Chyba w tym jedynie, no wiesz, jak ci to powiedzieć... w posprzątaniu potem wszystkiego na samym końcu...” a tamten: „Nie jesteś sam? Nie możesz otwarcie mówić?” domyślił się zaraz, a on: „Tak, nie jestem. Ona nie wie” powiedział ścisząc głos, a tamten, jakby był oddalony nie o setki kilometrów, ale znajdował się w tym samym co on pokoju, również głos ściszył i powiedział: „Rozumiem. Ale nie giń nam z oczu, nie ukrywaj się, zachowajmy łączność. Bo może jednak do czegoś jeszcze, poza tym co powiedziałaś, się przydam. Ściskam cię, ściskam cię mocno” i tak się pożegnali, jeszcze kilka słów i milczenie, i tylko oddech tamtego wyraźnie słyszał, nieco przyspieszony, przez jeszcze kilka wydłużających się sekund, zanim słuchawkę powoli odłożył. Potem przez chwilę, czekając aż ona wyjdzie z łazienki, zastanawiał się czy po tej rozmowie czuje się lepiej, czy gorzej, ale nie potrafił się zdecydować, jednocześnie mając jakieś ciemne, mało wyraźne, ciężące jednak wrażenie, że coś się wokół niego zaciska, jakaś jak gdyby niewidzialna obręcz (i że niebawem zaciśnie się zupełnie), choć przecież ten głos z daleka, który doń dotarł za pośrednictwem telefonu był mu bliski i rozgrzewał jakieś miejsce pod sercem.

Gdy wyszła z łazienki, wydawało mu się krótko, że jakiś szcze-gół z jego telefonicznej rozmowy usłyszała, bo jej

spojrzenie było niespokojne, ale zaraz się okazało iż ona znowu myśli tylko, że ten telefon to sygnał dla niego do powrotu i musiał ją uspokoić, że nic ważnego, same zawodowe sprawy, i później, stojąc pod prysznicem, zastanawiał się jak to się stało, że ona dotychczas niczego podejrzanego w jego postępowaniu się nie dopatrzyła, chociażby jego zawitych manipulacji przy sakwojażu w którym przechowywał lekarstwa, ich kilkakroćienne tykanie i potem z satysfakcją myślał, że nigdy nie podejrzewałby siebie o tyle zręcznego aktorstwa, i jak już wielokrotnie: czy tego jednak czasem nie widać.

W pokoju było już wygaszone światło, gdy łazienkę opuścił. Stał dobrą chwilę w mroku po brzegi wypełnionym podczas dnia stężonym, upalnym powietrzem, w którego zapachu była rozcieńczona słoność morza i patrzył w prostokąt otwartego na rościęz okna, przesłoniętego firaną zwisającą idealnie nieruchomo ku podłodze, czując jednak, jak mu się zdawało, na jeszcze wilgotnej swej skórze ledwo uchwytny oddech tamtego chłodniejszego powietrza z dworu. Słuchał z uwagą rozszalałego głosu cykad napływającego stamtąd, jednostajnego, metalicznego ich chrzęstu i jak się dwa albo trzy razy odezwał w pobliżu miękki, lecz złowróżbny głos puszczyka. Zdawało mu się, że Oksana śpi, gdy ostrożnie wsuwał się do łóżka pod wierzchnie prześcieradło, ale nie, ona nie spała, czekała na niego, bo gwałtownie odwróciła się ku niemu i z głośnym westchnieniem zarzuciła mu ręce na plecy, przyciągając do siebie, tylko jedno jakieś słowo szepcząc, ukraińskie, zupełnie dlań niezrozumiałe, a potem natychmiast zasnęła, jeszcze z nim ciasno spleciona, jeszcze nie odrywając się od niego, tak że ta cienka warstewka wilgoci między jej i jego skórą mogła być zarówno jego jak jej, bez różnicy, bo tylko ich oddechy różniły się naprawdę, jego był krótki, zdyszany, utrudzony, jej głęboki, równomierny, długi. Lecz wkrótce potem on zasnął również, nawet nie czując kiedy, resztką świadomości tylko ogarniając przy boku nagiego, rozluźnionego snem ciała kobiety siebie, nie skręcającego się z bólu z tłumionym jękiem jak skowyt bitego psa na ustach, rozluźnionego także, mając jednocześnie pewność, że atak mu dziś nie grozi wcale, że ból się nie pojawi. Jeszcze zaś potem, a wydawało mu się, że między jedną a następną chwilą

upłynęły zaledwie sekundy, obudził się. Teraz jednakże rzeczywiście musiało upłynąć kilkadziesiąt dobrych sekund, zanim pojął, że to już pełny świt, i następną zaraz myślą było, że ból znowu się nie pojawia, a jeszcze następną, że w ogóle się dziś nie pojawi.

Słyszał z ogrodu otaczającego pensjonat pierwsze ptaki, ich głosy dźwięczne, głośnie, jakby egzotyczne i, zamknąwszy oczy, próbował wśród nich rozpoznać te zapamiętane z jego kraju; niekiedy wydawało mu się, że już mu się to udaje, po chwili jednak pewność tracił, i słysząc je, wciąż głośnie, coraz liczniejsze, zdrzemnął się jeszcze raz, ale nie była to drzemka zbyt mocna, gdyż słyszał z korytarza pierwszą, dość dyskretną krzątanicę pensjonatowej służby, przenikającą stamtąd przez drzwi do przedpokoju, od którego drzwi wieczorem nie zamknął, przede wszystkim jednak cały czas słyszał ptactwem rozbrzmiewający ogród. I tym razem ból się nie pojawił.

Włodzimierz ODOJEWSKI

Wiersze

Adam LIZAKOWSKI

CHICAGO MIASTO NADZIEI

Samolot wylądował pośrodku równiny
na płycie lotniska o indiańskiej nazwie
dzikiej cebuli Chicago.
Miasto nasycone cierpliwością niczym
czarna trzystufuntowa matka
czeka na swe dzieci – emigrantów
leniwie pracuje urząd emigracyjny
– mchem porośnięci celnicy
chwilę na urzędową pieczęć
(most tylko do śmiałków)
postawioną na przedostatniej stronie w paszporcie
wloką się jak chłopska furmanka
jesienną błotnistą drogą poprzez mokre pola
celnicy są ciekawscy coraz to coś wydobędą
z walizki wczorajszej prehistorii,
płomienie słoneczne wolności ślizgają się
po szklanych ścianach korytarza
a więc tak przywitała cię Ameryka
wszystko inne jest już nieważne
serce wydało na to co było rozkaz
i leżą na jego dnie ruiny przeszłości
tak nierzeczywiste jakby nigdy ich nie było
czyż nie szeptaeś:
*pojadę do innej ziemi, nad morze
inne. Jakieś inne znajdzie się miasto,
jakieś lepsze miejsce.*
Tu już wydany jest wyrok na wszystkie moje dążenia

Uwierzyłeś w Chicago – matkę – padzieję
 ona na nowo ma wychować cię
 nakarmić
 nauczyć myśleć, chodzić, mówić
 od początku
 wszystkiego.

CHICAGO

Hot Butcher for the World
 Tool Maker, Stacker of Wheat
 Player with Railroads and the Nation's Freight
 Handler;
 Stormy, husky, brawling,
 City of the Big Shoulders:

Fragment wiersza z tomiku pt.
 „Chicago poems” Carla Sandburga, 1914

W ilu snach i marzeniach pojawiaasz się
 miasto obiecało tym co pragną zamienić
 życie gorsze na lepsze, ilu łudzisz i czarujesz
 naiwnych i w gorącej wodzie kąpanych,
 ilu obiecujesz rzeczy przeźroczone
 które oni widzą jako materialne
 ilu z nich listy i pocztówki z twoją podobizną
 przechowuje jak coś najdroższego;
 miasto przy ujściu rzeki Chicago
 nad jeziorem Michigan, namacalne świadectwo rajy
 co w tym dziwnego, że:
 miasto – stolica Litwinów, Polaków, Meksykanów
 miasto – matka murzyńskiego bluesa
 miasto – rzeźnia milionów zwierząt
 miasto spichlerz środkowego – zachodu Ameryki;
 Chicago z twarzą skierowaną w stronę jeziora
 z sercem większym niż atlantyk
 otulone w dziurawy płaszcz mgły
 ale za to w księżycy koronie księstwa marzeń

miasto miliona emigrantów z białej Europy,
 żółtej Azji czarnej Afryki,
 brązowych mieszkańców Ameryki Południowej
 bez względu na to skąd pochodzą
 wierzą tobie nie tylko w snach:
 ile świetnych zamiarów w nim się zrealizuje
 ile dramatów się rozegra;
 Chicago – miasto sens życia dla wielu
 krzyczy ustami jeziora Michigan:
 chodźcie do mnie wszyscy z marzeniami
 bosonodzy nędzarze
 głodujący we własnych krajach
 bezrobotni w swych ojczyznach
 ci, którym los ciężką rękę kładzie na sercu
 i wy, którzy chcecie być jeszcze bogatsi niż jesteście
 i wy, których banki pracują przez sześć dni w tygodniu
 i wy słodcy marzyciele, naiwniacy, frajerzy
 wszyscy na brzegu jeziora śpiewajcie w jednym chórze
 pieśń miasta – matki

MAXWELL STREET

– Gdzie jest serce moje
 usłyszałem te słowa śpiewane przez grubą murzynkę
 na Maxwell Street w Chicago.
 Siedziała na jakiejś stercie skrzynek po owocach
 u stóp jej czuwało dwóch mężczyzn
 w półleżących pozycjach.

Ze starą akustyczną gitarą w ręku,
 owinięta w plastikowy ciemnobrązowy worek
 śpiewała bluesa akcentem trudnym do zrozumienia
 where is my heart...

Wyglądała jak jaka murzyńska święta
piękna, majestatyczna, pół bogini
dalekich pól bawełnianych.

Słowa jej nasiąknięte wilgocią, słońcem,
bólem, nostalgią, wiatrem
wirowały ponad moją głową.

Where is my heart?
pomyślałem gorączkowo
serce, przecież ja nie mam serca
sam sobie odpowiedziałem.

Adam LIZAKOWSKI

Wywiady „Kultury”

Radio spełnionych nadziei

(ROZMOWA Z KAZIMIERZEM PIEKARCEM,
KIEROWNIKIEM SEKCJI POLSKIEJ RADIA FRANCE
INTERNATIONALE)

ADAM GAŁKOWSKI: – *Zacznijmy od spraw ogólnych, które stanowią niezbędne tło dla lepszego zrozumienia warunków i zasad funkcjonowania Sekcji, która jest przecież częścią dużej i nowoczesnej instytucji, a więc co to jest RFI?*

Kazimierz PIEKAREC: Radio France Internationale jest państwową spółką programową, działającą w oparciu o przepisy ustawy z roku 1986. W jej ramach istnieją trzy grupy programów: RFI-1, trwający całą dobę, emitowany w języku francuskim na cały świat i informujący o aktualnych wydarzeniach we Francji i w świecie; RFI-2, nadający programy w 18 językach; RFI-3, muzyczny, zajmujący się ponadto bankiem programów, agencją prasową i adresami w internecie; działa przez całą dobę. Radio zatrudnia ok. 600 pracowników stałych i 1600 współpracowników – dziennikarzy, pracowników technicznych i in., którzy mają do swojej dyspozycji stale unowocześniane studia oraz korzystają z rozwiniętych – dzisiaj już standardowych źródeł informacji, jak internet oraz bazy danych najważniejszych światowych agencji prasowych i radiowych serwisów. Audycje RFI, nadawane z Francji i ośmiu ośrodków na świecie (m.in. z Pekinu, Irkucka, Moyabi w Gabonie i Monsinyry w Gujanie), docierają do

prawie 150 rozgłośni emitujących programy na falach UKF lub średnich; liczbę słuchaczy na wszystkich kontynentach ocenia się na ok. 30 milionów.

A.G.: – *Jak w tym kontekście wygląda Europa i Polska?*

K.P.: – Obecnie kierunki europejskie zajmują dość ważne miejsce w całej działalności RFI. Szczególnie znamienne jest zainteresowanie Radia Polską, audycje nadawane w naszym języku, jeszcze do niedawna pod względem czasu nadawania, znajdowały się na trzecim miejscu pośród emisji obcojęzycznych (po hiszpańskim i angielskim). Dopiero niedawno wydłużenie czasu audycji chińskich spowodowało przesunięcie się języka polskiego na miejsce czwarte.

A.G.: – *Kiedy po raz pierwszy w radiu francuskim została nadana audycja w języku polskim?*

K.P.: – Początki polskojęzycznych audycji we Francji sięgają okresu międzywojennego. W 1932 r., staraniem konsulatu polskiego w Lille i z tegoż konsulatu, zainaugurowano emisję programów dla tamtejszej Polonii w wymiarze raz-dwa razy na tydzień. Miejsca, częstotliwość oraz czas nadawania tych audycji zmieniały się, rzecz jasna, w zależności od sytuacji politycznej w Polsce, we Francji i w całej Europie. Wybuch wojny postawił przed radiem nowe zadania. Do inwazji niemieckiej na Francję w czerwcu 1940 r., *service polonais* francuskiego radia spełniał bardzo ważną rolę w utrzymaniu kontaktów i wymianie informacji między rządem polskim na uchodźstwie i Krajem. To z tego okresu pochodzi znany wiersz Antoniego Słonimskiego:

*Wolał cię głosem nabrzmiałym łzami,
Przez radio Paryż, radio Toulouse,
Dumna Warszawo zryta kulami (...).*

Następny okres dużej, chyba nawet największej popularności audycji polskich, to lata 1945-1956, kiedy to pracownicy radia, oprócz swych codziennych obowiązków dziennikarskich, angażowali się w rozmaite akcje społeczne, organizując np. zbiórki darów – leków itp. dla Polski.

Przez długie lata we Francji, podobnie jak w b. krajach socjalistycznych, w radiu i telewizji obowiązywał państwowy monopol. W roku 1974 przeprowadzono poważną reorganizację, która miała monopolowi położyć kres. Z Urzędu Radia i Telewizji (ORTF), państwowego mamuta, odpowiednika polskiego Komitetu d/s Radia i Telewizji, wyodrębniono Radio France, trzy programy telewizji, produkcję itd., ale równocześnie zlikwidowano większość radiowych sekcji językowych. Audycje w języku polskim zachowano jedynie na falach średnich z myślą o Polonii francuskiej i belgijskiej. Tworzył je zespół etatowych dziennikarzy pod kierunkiem Leszka Talko – z Sylwią Gibs i mówiącym te słowa – zasilany sukcesywnie przez nowych współpracowników.

Po paru latach programy obcojęzyczne na falach krótkich zaczęto jednak pomału odbudowywać. I tak, powrót do emisji w języku polskim przewidziano na rok 1982. Decyzja gen. Jaruzelskiego o wprowadzeniu w grudniu 1981 r. w Polsce stanu wojennego realizację tego projektu jednak przyspieszyła.

A.G.: – *Czas stanu wojennego w Polsce wydaje się z perspektywy dzisiejszych problemów politycznych, gospodarczych i społecznych naszego kraju całkiem odległy, by nie powiedzieć, dla coraz liczniejszych generacji młodzieży – zamierzchły. Mimo to, a może właśnie dlatego, warto czasem przypomnieć rolę, jaką odgrywały wówczas rozgłośnie polskojęzyczne. Radio France Internationale było w tym towarzystwie zjawiskiem niezwykłym. W jednym ze swoich felietonów z 1986 r. Jacek Fedorowicz napisał wprost, że uważa RFI „za bezwzględnie najlepszą audycję w języku polskim, zostawiającą daleko w tyle wszystkie pozostałe, co więcej – obnażającą bezlitośnie główne niedostatki wszystkich innych rozgłośni”; to radio szanowało słuchacza polskiego, bo – rezygnując z „głośnego mówienia rzeczy oczywistych”, wierzyło w jego inteligencję. Innymi słowy, dziennikarze polscy w Paryżu z równą powagą traktowali wiarygodność informacji, jak i sposób jej podania.*

K.P.: – Jak już wspominałem, wznowienie audycji polskojęzycznych planowano na rok 1982. Tymczasem w nocy z 13

na 14 grudnia 1981 zadzwonił do mnie francuski kolega z informacją, że w Polsce już „się stało”. Teraz sprawy potoczyły się błyskawicznie. Następnego dnia, Leszek Talko złożył dyrektorowi RFI ofertę natychmiastowego uruchomienia programu dla Kraju, po polsku. Oferta została przekazana dalej i decyzją najwyższych władz państwowych, 17 grudnia rano nadaliśmy pierwszą audycję. Co do stosowanych przez nas form przekazu, to mogę powiedzieć, że oczywiście staraliśmy się przestrzegać pewnych prostych zasad: na przykład niewchodzenia w rolę polityków. Nasze zadanie bowiem było jasno określone – jak najwięcej szybkiej, rzeczowej i wiarygodnej informacji, a równocześnie prezentowanie reakcji i opinii innych ludzi i środowisk na aktualne wydarzenia w Polsce. Przy czym, jeżeli pozwalaliśmy sobie na jakiś komentarz, to wyraźnie oddzielony od części informacyjnej audycji.

Trzeba pamiętać, że pracowaliśmy w warunkach niezwykłych. Często otrzymywaliśmy z Kraju sprzeczne doniesienia, których źródła nie budziły naszego zaufania. Z jednej strony staraliśmy się je weryfikować w innych źródłach, z drugiej zaś – dokładnie powoływać się na źródła konkretnych informacji, gdyż mieliśmy pewność, że pracują specjaliści od dezinformacji, którzy „puszczają” na Zachód informacje fałszywe. Miały one zapewne na celu kompromitowanie nas w oczach krajowej publiczności, jako stacji niewiarygodnej, oraz przy okazji rozpowszechnianie pogłosek o wydarzeniach szokujących tę publiczność. Szczęśliwie, także dlatego, że stale nasze wiadomości opatrywaliśmy licznymi zastrzeżeniami i znakami zapytania, udało się nam uniknąć większej wpadki. Wydarzenia zmieniały się z godziny na godzinę, a my musieliśmy nadawać kolejne wydania dzienników w taki sposób, ażeby np. nie wywoływać paniki wśród słuchaczy (zwłaszcza kiedy chodziło o doniesienia o jakichś większych represjach ze strony władz i ich ofiarach).

Szczupłość środków, jakimi dysponowaliśmy, a równocześnie dynamika działania redakcji, do której trafiła grupa wykształconych i z pewnym doświadczeniem zawodowym ludzi z Kraju, sprawiły, że niejako intuicyjnie, mimo warunków pewnej improwizacji, potrafiliśmy znaleźć ton audycji, jaki spotkał się z bardzo wysoką oceną wielu słuchaczy i zdelega-

lizowanego Związku Dziennikarzy Polskich. Przytoczona wyżej „najkrótsza recenzja” naszych audycji autorstwa Jacka Fedorowicza, jest dla nas tak pochlebna, że wstydziłbym się w ogóle ją cytować. Z drugiej strony, może jakaś częśćka prawdy jednak w niej była...?

A.G.: – ...no właśnie, czy audycje polskie w tamtym okresie równie dobrze były oceniane przez Waszych francuskich zwierzchników?

K.P.: – Chyba nie najgorzej, skoro sukcesywnie wydłużał się czas naszych emisji. Zaczynaliśmy od trzech 10-minutowych dzienników, w 1983 r. przybyło nam pół godziny, a dzisiaj mamy w ciągu dnia trzy audycje trwające łącznie dwie godziny i 15 minut.

A.G.: – *Radio France Internationale jest państwową spółką programową, jak to się ma do jego swobody i niezależności działania?*

K.P.: – Status rozgłośni wymaga pewnego komentarza. Fakt, że RFI jest instytucją publiczną, nie oznacza bynajmniej, że jest tubą rządową. Jako ośrodek masowej informacji, posiada znaczną niezależność, z drugiej zaś strony, ponieważ Ministerstwo Spraw Zagranicznych jest tzw. organizmem zwierzchnim – Radio realizuje pewne zadania w bardzo ogólnych ramach, określonych przez to Ministerstwo. Na przykład jeśli chodzi o wybór języków. Oczywiście, żadna rozgłośnia na świecie, włącznie z BBC czy Głosem Ameryki, nie nadaje we wszystkich możliwych językach. Ich wybór odpowiada jakiejś polityce danego państwa i w RFI jest podobnie. Osiemnaście języków, w których Radio France Internationale emituje swoje programy na wszystkie kontynenty, to – można by rzec – wynik konkretnych okoliczności politycznych. Przykład polskich audycji jest tutaj znamieny.

Chciałbym więc wyraźnie zaznaczyć, że nigdy się nie zdarzyło, żebyśmy „z góry” otrzymali jakieś konkretne wytyczne odnośnie prezentowanej tematyki. Jeden z naszych byłych prezesów, Henri Tézenas du Moncel, użył kiedyś nawet takiego sformułowania, że nie bardzo wierzy w dziennikarski

obiektywizm, który jest rzeczą dość teoretyczną, wobec tego zalecał nam trzymanie się „subiektywizmu bezinteresownego”. Innymi słowy, zawsze w dziennikarstwie istnieje jakiś stopień zaangażowania, ale w myśl czego? – W myśl pewnych zasad uznanych za powszechne, stanowiących kanon europejskiej cywilizacji, takich jak Deklaracja Praw Człowieka, zasady demokracji, konwencje ONZ, no i zwyczajna uczciwość w przekazywaniu informacji. Zasad tych staraliśmy się oczywiście przestrzegać także w latach 1981-89 w odniesieniu do spraw polskich. Wpływały niekiedy protesty i polemiki ze strony władz polskich, a wówczas zwierzchnicy pytali nas tylko o co chodzi i na tym „ingerencja” się kończyła.

Reasumując, można stwierdzić, że poszczególne redakcje Radia mają bardzo dużą swobodę działania. Jeśli zaś chodzi o relacje pomiędzy naszymi zwierzchnikami z zewnątrz i z samego Radia, to polegają one po prostu na naszym poczuciu odpowiedzialności. Wydaje się rzeczą oczywistą, że robiąc audycje w Paryżu, nie będziemy działać wbrew zasadom francuskiej polityki.

A.G.: – *Czy sekcje RFI są językowe czy narodowe?*

K.P.: – Mamy status dziennikarzy francuskich, wobec tego formalnie nie istnieją inne redakcje narodowe, gdyż wszystkie są francuskie. Bez względu na to, czy mamy obywatelstwo francuskie czy też nie, jesteśmy dziennikarzami francuskimi; niezależni od jakichkolwiek grup czy partii politycznych – korzystamy w swej codziennej pracy ze swobody, jaką cieszą się wszyscy dziennikarze we Francji. Tak samo jest z Sekcją Polską.

A.G.: – *Czas antenowy, to cenna rzecz. Można więc przypuszczać, że istniały i nadal istnieją poważne powody, dla których Sekcja Polska zajmuje tak godną pozycję na mapie całego radia...*

K.P.: – Po roku 1989, kiedy przez Polskę i kraje ościenne przetoczyła się lawina przemian politycznych, rzeczywiście zaczęto nawet zastanawiać się nad sensem dalszego utrzymywania niektórych sekcji językowych. Zwracano uwagę na

wysokie koszty emisji audycji na falach krótkich, mówiono o zakończeniu „misji” i przewidywano spadek zainteresowania słuchaczy niektórych krajów docelowych.

Tymczasem pojawiły się nowe okoliczności, jak np. szybki rozwój nowych środków technicznych przekazu (przez satelity), pozwalających na przesyłanie sygnału radiowego jakości nieporównanie lepszej niż na falach krótkich oraz znacznie tańszych. Równocześnie istotną rolę odegrał tu fakt, że ludzie, którzy po roku 1989 doszli w Polsce do władzy, w minionych latach często byli naszymi słuchaczami i sympatykami. Nawiązaliśmy więc kontakty z rozgłośniami Polskiego Radia w całym kraju i podpisaliśmy listy intencyjne z wszystkimi zainteresowanymi bliższą współpracą. Sytuacja ta spowodowała całkowitą zmianę stanowiska naszych decydentów co do dalszych losów Sekcji. Już nie tylko zaprzestano rozważać pomysły zmierzające do redukcji czy wręcz likwidacji audycji, ale – przeciwnie – ich rozwój. W Polsce podpisywaliśmy umowy licencyjne na wykorzystywanie programów RFI i dostarczaliśmy niezbędny sprzęt. Proces ten trwa zresztą do dziś, gdyż jeszcze powstają nowe prywatne rozgłośnie regionalne, które deklarują chęć współpracy.

Bilans na dzień dzisiejszy jest taki, że mamy w całej Polsce 17 radiowych partnerów, w tym ogólnopolskie Radio Bis oraz stacje lokalne – między innymi w Białymstoku, Bydgoszczy, Częstochowie, Olsztynie, Opolu, Szczecinie, Wałbrzychu i Zakopanem. Całkiem ostatnio do grona tego dołączyła rozgłośnia w Gliwicach, która nie retransmituje naszych programów jak inni, ale korzysta z materiałów przygotowanych na płytach kompaktowych, ponadto – Radio „Wanda” z Krakowa, rozgłośnia studencka „Afera” z Poznania i Radio „Mazury” z Ostródy.

Tu chciałbym jeszcze dodać, że w końcu ub. roku w Warszawie odbyła się Konferencja Radio '97, z okazji której kierownictwo RFI spotkało się ze swymi polskimi partnerami. Na osobnym seminarium, o specyfice francusko-polskiej współpracy radiowej mówili: Dyrektor Generalny Radia France Internationale, p. Christian Charpy, i mówiący te słowa. Wyniki konferencji były dla nas bardzo pozytywne – pojawili się nowi kandydaci do zawarcia umowy licencyjnej, umożliwiającej korzystanie z materiałów nie tylko Sekcji

Polskiej, ale całego radia: RFI-1, RFI-2 i RFI-3. Jest to o tyle ważne, że wykraczając poza jedną sekcję językową, stale rośnie znaczenie rynku polskiego dla całej rozgłośni Radio France Internationale. Znamionnym tego potwierdzeniem jest np. fakt, że laureatką ubiegłorocznego konkursu *Decouverte Est RFI*, wyłonioną przez międzynarodowe jury, została polska piosenkarka, Justyna Steczkowska. Dzięki temu, artystka przez cały rok będzie korzystać z kampanii promocyjnej na falach naszego radia, międzynarodowej rozgłośni muzycznej MCM oraz na łamach związanej z nami prasy.

A.G.: – *17 rozgłośni polskich wyposażonych w umowy licencyjne RFI, to całkiem przyzwoity wynik, tym bardziej, że szykują się następne. Ale RFI nadaje po polsku nie tylko we Francji i w Polsce...*

K.P.: – To prawda. Taki program od wielu lat był emitowany w Mons w Belgii dla tamtejszej Polonii, ale to już historia, gdyż emisje te zostały wstrzymane; w Chicago, które jest wielkim polskim miastem, pewna rozgłośnia, zresztą nie polska ale wielojęzyczna, podpisała z nami umowę na emisję programu po polsku. Od kilku lat jesteśmy obecni w Wilnie, gdzie RFI wynajmuje całe pasmo częstotliwości; w program francuski włączone są audycje po polsku.

A.G.: – *...i nie tylko za pośrednictwem stacji partnerskich?*

K.P.: – Redakcja polska, podobnie jak i całe Radio France Internationale, od kilku już lat korzysta z internetowego systemu informacji; strona RFI w sieciach internetu będzie niebawem dysponować informacją w języku polskim, a w sieci pojawi się – obok bieżącego serwisu w językach francuskim, angielskim i hiszpańskim – również polski sygnał dźwiękowy.

A.G.: – *W pierwszej połowie lat 50-tych prawdziwym fenomenem była ogromna korespondencja, jaka napływała do Sekcji Polskiej od słuchaczy (głównie z Kraju). Korespondencja ta pozwalała dowiedzieć się czegoś o słuchaczach, o ich oczekiwaniach ze strony Radia, no i w końcu*

musiała dawać redaktorom sporo satysfakcji, bo przecież była – najlepszym z możliwych – świadectwem popularności. Czy dzisiaj, wobec całkiem odmiennych warunków działania radia, wobec innych obyczajów i technicznych sposobów wzajemnego porozumiewania się ludzi, redakcja jest w stanie powiedzieć, kto, gdzie, kiedy i czego najchętniej słucha?

K.P.: – Rozpoznanie audytorium jest z jednej strony pozornie oczywiste: odbierają nasz program słuchacze stacji retransmitujących nasz sygnał na UKF w Polsce, bo słuchalność fal krótkich spadała do poziomu niemożliwego do określenia. Ale nie jest łatwo zdefiniować preferencje takiej czy innej grupy. Zdani więc jesteśmy w pewnym stopniu na woluntaryzm; my decydujemy o naszej palecie tematycznej, równocześnie dbając o jak najlepsze dostosowanie form naszego programu do specyfiki radia miejscowego, „swojskiego”, no i atrakcyjności jednak produktu zagranicznego.

A.G.: – *Jak RFI prezentuje się dzisiaj na tle innych tego rodzaju rozgłośni w świecie?*

K.P.: – Wspomniałem już, że Radio France Internationale w dziedzinie emisji obcojęzycznych po roku 1974 miało wiele do odrobienia. Zachowały się wówczas przede wszystkim audycje po francusku i trochę po angielsku, hiszpańsku i niemiecku. Z pewnością było to znacznie mniej niż na przykład nadawało w tym okresie Polskie Radio z Warszawy w językach obcych. Konsekwentna odbudowa audycji na zagranicę, zapoczątkowana w latach 80-tych, doprowadziła jednak do tego, że dzisiaj RFI znajduje się w światowej czołówce tego rodzaju rozgłośni. W tej czołówce zresztą również zaszły zmiany, czego przykładem znane przed laty z dużej obecności w świecie Radio Moskwa. Nadawanie dla zagranicy jest jednak dosyć kosztowne, dlatego też Radio to wynajmuje obecnie swoje pasma innym – także RFI.

Jaka jest obecnie pozycja RFI w świecie, trudno precyzyjnie wymierzyć. Tworzenie w tej dziedzinie jakiegoś rankingu graniczy z pewną spekulacją, gdyż różne kryteria wyznaczają wielkość i znaczenie każdego radia. Pod względem

przeznaczanych środków najpotężniejszy jest Głos Ameryki, ale z kolei według sondaży ma on mniej słuchaczy niż np. BBC. Deutsche-Welle, jeśli chodzi o czas nadawania w języku polskim jest na tym samym poziomie co my, Radio Kanada z kolei zamknęło cały szereg rozgłośni obcojęzycznych, m.in. polską, bo wyszło z założenia, że nie jest to już w polityce zagranicznej tego kraju zadanie priorytetowe. Biorąc więc pod uwagę równocześnie takie czynniki, jak przeznaczane środki, liczebność kadr oraz wskaźniki słuchalności, można powiedzieć, że RFI plasuje się gdzieś w pierwszej czwórce światowych rozgłośni nadających na zagranicę.

A.G.: – *Jaką pozycję zajmuje RFI wśród zagranicznych rozgłośni działających w Polsce?*

K.P.: – Przede wszystkim w Polsce bardzo obecna jest BBC, która już przed nami dokonała generalnej „wizji lokalnej” w całym kraju i spróbowała dostosować swój program do lokalnych potrzeb. Przyniosło to takie efekty, że radio to co godzinę nadaje dziennik oraz kilka razy dziennie programy publicystyczne, specjalistyczne i przeglądy prasy. O popularności tej oferty może świadczyć fakt, że BBC udostępnia swoje materiały odpłatnie. Nie chodzi o duże pieniądze, ale wszystkim to się jakoś kalkuluje.

Nasze zainteresowanie Polską jest nieco innej natury. BBC otworzyło w Warszawie własne biuro, zatrudniające ponad dziesięć osób, my mamy tylko dwóch korespondentów, którzy swoją uwagę skupiają głównie na wydarzeniach z dziedziny stosunków polsko-francuskich. Wynika to z naszego profilu działania, jaki przyjęliśmy kilka lat temu. Przed rokiem 1989 najważniejsza była dla nas informacja o tym co dzieje się w kraju, czyli „stoń a sprawa Polska”, co było zrozumiałe w warunkach panującej cenzury i wszelkich innych ograniczeń w obiegu informacji. Po 1989 roku, kiedy obieg ten stał się niezależny, sprawy wewnętrzne pozostawiliśmy dziennikarzom krajowym, sami zaś zajęliśmy się problematyką francuską, sprawami międzynarodowymi widzianymi z Paryża, procesami integracyjnymi dokonującymi się obecnie na naszym kontynencie, obecnością Francji i Polski w Europie. Ważny dla nas jest również aspekt kulturalny;

Francja zawsze była, jest i długo pozostanie krajem w dziedzinie kultury i turystyki bardzo atrakcyjnym, i ten aspekt wydaje się być najbardziej interesujący dla młodego pokolenia słuchaczy – oto, w największym skrócie, sprawy, w których czujemy się kompetentni.

A.G.: – *Bogata przeszłość, interesująca terażniejszość i obiecująca przyszłość Sekcji Polskiej RFI nie byłyby jednak możliwe bez odpowiednich kadr. Proszę wskazać kilka postaci, które najtrwalej zapisały się w historii Sekcji.*

K.P.: – Na to pytanie nie ma wyczerpującej odpowiedzi. W swej długiej już historii przez redakcje polskie francuskiego radia przewinęło się wiele wybitnych indywidualności, niekoniecznie zawodowych dziennikarzy, bo również literatów i artystów uprawiających różne dziedziny sztuki. Na przykład: Jan Winczakiewicz, żołnierz I korpusu, poeta i znakomity tłumacz poezji hiszpańskiej, malarz; Leszek Talko, artylerzysta dywizji pancerniej gen. Maczka, prezes Towarzystwa Historyczno-Literackiego i dyrektor Biblioteki Polskiej; Gniewa Wołosiewicz; śp. Edward Borowski, b. dyplomata, wybitny znawca heraldyki i genealogii rodów polskich; Janusz Laskowski, jeden z niewielu polskich dziennikarzy obecnych na procesie norymberskim; śp. Feliks Konarski (pseud. Ref-Ren) autor „Czerwonych maków na Monte Cassino”; śp. Witold Nowosad; śp. Krystyna Paczewska, śpiewaczka. Nie sposób wymienić tutaj wszystkich pracowników Sekcji Polskiej na przestrzeni półwiecza jej działalności, nie mówiąc już o współpracownikach bliższych czy dalszych, wspomnę tylko jeszcze o paniach śp. Annie Winczakiewicz, Barbarze Maliszewskiej, Elizie Gonkiewicz i prawej ręce E. Borowskiego, w okresie gdy był szefem Sekcji – Janie Gruzewskim.

A.G.: – *A dzisiaj, ilu dziennikarzy na etatach zatrudnia Sekcja Polska? Ile jest współpracowników? Jakie są w tej dziedzinie perspektywy?*

K.P.: – Obecnie mamy 16 etatów, w tym – 12 dziennikarzy, 3 asystentki i sekretarka (i mam nadzieję, że sytuacja ta będzie

trwała). Oto ich nazwiska, w większości znane słuchaczom: Piotr Błoński, Marek Brzeziński, Grażyna Chmurska, Sylwia Gibs, Piotr Kamiński, Joanna Łabędź, Ewa i Piotr Moszyńscy, Stefan Rieger, Piotr Rosochowicz, Jacek Ross, Krzysztof Rutkowski, Anna Rzczycka, Agata Sikora, Jerzy Sowiński i mówiący te słowa. Ponadto współpracują z nami trzy osoby: Agnieszka Kumor, Liliana Sonik, Katarzyna Zawidzka. Pragnę przy tym zaznaczyć, że w większości są to ludzie młodzi, bardzo aktywni zawodowo także poza radiem – pisarze, korespondenci prasy krajowej i polonijnej, itp. Z żalem muszę zaniechać bliższej charakterystyki ich bogatego dorobku spoza radia, gdyż zajęłoby to nam zbyt wiele miejsca, ale zapewniam, że byłoby co pisać. Nie muszę dodawać, że fakt takiej aktywności kolegów jest bardzo korzystny dla naszej redakcji.

A.G.: – *Nic Pan nie mówi o sobie, ale o ile wiem, należy Pan dzisiaj już do generacji seniorów w tym gronie?*

K.P.: – *Moje początki we francuskim radiu sięgają grudnia 1969 r. Przez wszystkie te lata pracowałem głównie w redakcji polskiej, ale przez cztery i pół roku – także we francuskiej redakcji nadającej dla słuchaczy w Europie Wschodniej, czyli tzw. *Chaîne Est*. Od grudnia 1981 – nieprzerwanie w Sekcji Polskiej, którą kieruję od chwili przejścia p. Leszka Talki na emeryturę, a więc już z górą 16 lat.*

A.G.: – *Radio France Internationale jako całość i w nim Sekcja Polska wchodzi w – by tak rzec – coraz poważniejszy wiek. Zmieniają się pokolenia dziennikarzy i urzędników. Jak w kierowanej przez Pana sekcji wygląda sprawa archiwizacji dzieła poprzednich ekip? Parę miesięcy temu zmarł człowiek, którego nazwisko dzisiejszym pokoleniom słuchaczy audycji polskich RFI nic nie mówi, a który w historii tych audycji odegrał niebagatelną rolę. Myślę o André Moosmannie, kierowniku Sekcji Polskiej w latach 1945-1963, a następnie – do roku 1974 – redaktorze naczelnym programów wschodnich.*

K.P.: – *André Moosmann rzeczywiście był doskonale zorien-*

towany w specyfice audycji polskich we francuskim radiu i – co ważne – zgromadził i przechował całą dokumentację dotyczącą tych audycji za cały okres 1944-1974. Jego archiwum nie zostało jednak zupełnie zapomniane, gdyż posłużyło później do opracowania osobnej monografii. Gabriel Garçon w 1991 r. opublikował w Lille obszerną, wyczerpującą i dzisiaj niezastąpioną historię radiowych audycji polskich we Francji za lata 1932-1974. Redakcja nasza, podobnie zresztą jak inne w RFI, z trudem mieści materiały bieżące licznej przecież ekipy pracowników.

A.G.: – *Przed laty, w rozmowie z Wojciechem Sikorą opublikowanej w grudniowym numerze Kultury z 1982 r., powiedział Pan m.in., że „w normalnych warunkach zadaniem takiej rozgłośni jak nasza byłoby w pierwszym rządzie mówienie o Francji”. Wypowiedź jak na tamte czasy bardzo życzeniowa, ale patrząc z perspektywy minionych lat, dla Sekcji Polskiej RFI bynajmniej nie abstrakcyjna, gdyż można było odnieść wrażenie, że już wówczas przeczuwał Pan, czym redakcja się zajmie jeśli warunki w Polsce staną się „normalne”. I rzeczywiście, od siedmiu-ośmiu lat, słuchając audycji polskich radia francuskiego, można odnieść wrażenie, że redakcja „od zawsze” zajmowała się tylko problematyką francuską, francusko-polską oraz integracji europejskiej, a RFI w ogóle – promocją polskich piosenek...*

K.P.: – *Skoro odwołał się Pan do tego wywiadu sprzed 16-tu lat, a takie pytanie nie padło, skorzystam z okazji i pozwolę sobie na następującą dygresję. Jeżeli przez dziesięciolecia naszej pracy był jakiś wspólny mianownik w politycznej ocenie stanu rzeczy i orientacji całego zespołu Sekcji Polskiej, to był nim z pewnością szczerzy szacunek i podziw dla Pisma, w którym ten wywiad się ukazał i dla jego Redaktora, jako najlepiej oddających poglądy, pod którymi gotowi byliśmy się podpisać. W przeszłości nie utrzymywaliśmy bezpośrednich kontaktów z *Kulturą* (jeśli nie liczyć konkretnych okazji), i może to niedobrze, bo z perspektywy czasu wydaje nam się, że byłyby one pożyteczne, od lat natomiast obszernie prezentowaliśmy na naszej antenie (i robimy to dalej) poszczególne numery, żywiąc się też niejako jej treściami.*

Byłoby niesłychanym zarozumiałstwem twierdzenie, że nasza sekcja była dobrze przygotowana do zmiany politycznej w Polsce i że nie była tą zmianą zaskoczona. Natomiast prawdą jest, że nie mieliśmy wielkich trudności ze stopniowym przemodelowaniem naszych audycji w sposób, który Pan tutaj syntetycznie i trafnie określił. Nie będę jednak ukrywać, że ta zmiana redakcyjnej opcji harmonijnie wkomponowała się w ogólne nastawienie naszych „opiekunów” z Quai d’Orsay, czyli statutowo sprawującego nad nami pieczę francuskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, które nie zamierzało zwiększać środków dla jeszcze szerszego i głębszego penetrowania aktualności polskich (co zrobili Brytyjczycy w BBC i Amerykanie w VOA), a wręcz przeciwnie.

A.G.: – *Bardzo dziękuję Panu za rozmowę.*

Rozmowę przeprowadził Adam GAŁKOWSKI

Destabilizacja sterów

Aktualny układ władzy w Polsce zaczyna „płynąć”, jak mawiają inżynierowie budownictwa lądowego o zdestabilizowanych konstrukcjach. Jest przy tym ciekawe, że „płynięcie” objawia się nie tam najpierw, gdzie go zazwyczaj oczekiwano, np. na styku między AWS i Unią Wolności, ale wewnątrz dominującej formacji rządzącej koalicji, tj. AWS i wewnątrz głównego układu opozycyjnego, tj. SLD – Prezydent. Początek zarysowującej się destabilizacji dała decyzja Aleksandra Kwaśniewskiego, by nie przeszkadzać odroczeniu do jesieni wiosennych wyborów samorządowych, uchwalonemu przez koalicję przy zdecydowanym oporze SLD i PSL. Odroczenie oznacza, że od 19 czerwca, tj. dnia zakończenia kadencji obecnych rad gminnych, do 11 października, kiedy mają się odbyć odroczone wybory samorządowe, zarządy gminne nie będą przed nikim odpowiadać za swe działania. Jest to sytuacja nie przewidziana w prawie i Trybunał Konstytucyjny ma jeszcze rozstrzygnąć (do 25 maja), czy nie stanowi ona wprost pogwałcenia Konstytucji. Ale pomijając prawno-konstytucyjną stronę sprawy, odroczenie nie jest tak znaczne, by wyjaśniało polityczną ostrość sporu tym bardziej, że nic nie wskazuje, by się przez te cztery miesiące zmienić miały nastawienia wyborców. Opozycję, zwłaszcza SLD, skusiła niewątpliwie okazja do wystąpienia w obronie ścisłej praworządności, ale ostrości sporu i to nie tłumaczy. Rzecz w tym, że odroczenie wyborów gminnych w celu połączenia ich, jak to oficjalnie i z naciskiem deklarował rząd, z wyborami powiatowymi i wojewódzkimi, równało się politycznemu zobowiązaniu, że owe powiaty i województwa zdążą na czas,

Kraj

czyli że proces ustawodawczy reformy administracyjnej zostanie zakończony najpóźniej w lipcu. Dla strony rządowej takie zobowiązanie oznaczało, że trzeba będzie stanowczo zdyscyplinować swoich dysydentów w parlamencie, dla SLD natomiast zgoda na odroczenie byłaby równoznaczna z deklaracją dobrej współpracy nad proponowanymi przez rząd tekstami i akceptacji ich zasadniczych tendencji; w przeciwnym razie po cóż by godzić się na odroczenie (PSL, który jest totalnie przeciw tej reformie, nie ma żadnych dylematów.) SLD postanowił więc walczyć stanowczo przeciw odroczeniu tym bardziej, że koalicja zafundowała sobie jeszcze w tym czasie debatę nad uchwałą o zbrodniczości komunizmu i PZPR jako organizacji przestępczej (wnioskodawca – Stefan Niesiołowski).

W ten sposób i w tym stadium sprawa trafiła na biurko prezydenta, który wiedział, że jego *veto* byłoby nie do obalenia w Sejmie (koalicja nie ma 276 głosów). Mimo to podpisał ustawę o odroczeniu.

Podobno politycy dzielą się na takich, którzy okazje stwarzają i takich, którzy je wykorzystują. Prezydent Kwaśniewski wykorzystał okazję bezbłędnie, dowodząc tym samym, że jest w tej kategorii najlepszym zawodnikiem na polskim ringu.

Nie wiadomo jeszcze, jakie ustępstwa poczyniła koalicja w zamian za zgodę prezydenta, i zapewne, aby wiedzieć, trzeba by móc uważnie przestudiować protokół rozmowy plenarnej (prezydent, premier, szefowie partii koalicji i opozycji), zwłaszcza zaś przesłuchać taśmę z nagraniami prezydenckich *tête à tête* z premierem Buzkiem. Nie będę się zatem wdawał w domysły. Istota porozumienia jest łatwa do uchwycenia, sens – niedwuznaczny. Prezydent zademonstrował swą siłę, przedstawiając się zarazem opinii jako postać ponad podziałami, prawdziwy Sługa Państwa. Umocnił to wrażenie, deklarując publicznie, że wie, iż stracił skutek podjętej decyzji wielu przyjaciół, co nie tylko było aluzją do ponawianych apeli SLD o *veto*, lecz wręcz sprowokowaniem kierowników SLD do wyrażenia stosunku do osoby prezydenta. Miller, Szmajdziński i inni faktycznie zazgrzytali zębami, ale nie mogli przecież wypowiedzieć przyjaźni prezydentowi, który za 2,5 roku będzie ich jedynym możliwym kandydatem na

wysoki urząd. Co więcej, mimo rozczarowania, większość z nich była na pewno zadowolona z tego, co prezydent dla nich wywojował: publiczną deklarację przywódców koalicji, że pojmują konieczność współpracy z opozycją w przeprowadzaniu reform.

Wkrótce potem SLD zgłosił formalnie swój projekt podziału terytorium na 17 województw-regionów, koalicja zaś zgodziła się po pierwszym czytaniu rozpatrywać go równocześnie z rządowym (12 województw). SLD ma nadal wiele pretensji do koalicyjnych ujęć w ustawach kompetencyjnych powiatu i regionu i jeszcze więcej do ustaw o finansowaniu nowej struktury. Oponuje też stanowczo przeciw zwiększeniu, z poduszczenia ZChN, kompetencji wojewodów na niekorzyść samorządu wojewódzkiego... Ale choć w ostatecznym efekcie SLD będzie zapewne głosował przeciw większości tekstów z pakietu reformy terytorialnej, jego opozycja przynajmniej na tym odcinku stała się „konstruktywna”. Lub prawie.

Rozmiękczenie SLD przez prezydenta jest zabiegiem efektywnym, ale oczywiście nie sięga zbyt głęboko. Prasa bliska SdRP, z *Trybuną* Janusza Rolickiego czy *Przeglądem Tygodniowym*, by już nie wspominać o *Nie*, pozostaje nieodmiennie i totalnie opozycyjna. Klub parlamentarny SLD jest zaś nadal zdyscyplinowany, ale wiem od posłów, którzy głosują karnie, lecz pomstują i na Kwaśniewskiego, i na ich zdaniem, zbyt mu powolne kierownictwo klubu, że „w terenie” rzeczy się mają inaczej. Teren żyje bowiem innymi sprawami niż elity władzy, w terenie – jak zatytułowała *Gazeta Wyborcza* sprawozdanie z sondażu OBOP – panuje „wrzenie”: zdaniem 90% pytanym kraj jest zaniepokojony, a trzy czwarte sądzi, że władza się nie orientuje w nastrojach. Po raz pierwszy od 1995 więcej Polaków uważa strajki za uzasadnione niż przeciwnie (47:46). Kierownictwo SLD, które nie liczy teraz na odwrócenie sojuszy w centrum – znaną strategię kokietowania Unii Wolności – dostrzega, być może, zupełnie nowe możliwości w terenie. Trawestując, pół żartem pół serio, terminy z innego świata: SLD widzi możliwości okrajania Warszawy przez prowincję. Toteż niezależnie od prezydenckich przetargów wystąpiło ze swoim projektem 17 województw-regionów (poza 12 z propozycji rządowej, jesz-

cze: opolskie, lubuskie, staropolskie z Kielcami i Częstochową, kujawsko-pomorskie i środkowopomorskie z Koszalinem i Słupskiem). Wkrótce potem radni SLD po dokładnym namyśle pomogli AWS i prawicy w Krakowie obalić zarząd miasta i prezydenta Józefa Lassotę z Unii Wolności. Na Śląsku związki zawodowe czynne w górnictwie ustaliły wspólne stanowisko do rozmów z rządem. Jedyne polityczne zastrzeżenie Solidarności górniczej nie dotyczyło współpracy z „komuchami”, ale z Solidarnością '80... Można domniemywać, że kierownictwo SLD nie tyle zmiękło w swej opozycyjności, co szykuje się raczej do przeniesienia jej ciężaru na inną płaszczyznę: z parlamentu w teren, na spotkanie nastrojów i niezadowolenia, o których władza wg OBOP wie niewiele, ale które dzielają zapewne ludowi wyborcy AWS i związkowcy z Solidarności. O ile prezydent Kwaśniewski pragnie zapewne nadal utrzymać dobre stosunki z Unią Wolności, by ostatecznie odciągnąć unitów od popierania Krzaklewskiego w przyszłych wyborach prezydenckich, o tyle SLD zainteresowany jest teraz przede wszystkim wyborami samorządowymi.

Po stronie rządzącej koalicji AWS robi wrażenie rozprzegającej się formacji. Krzaklewski wycofał się już z zamiaru oddania przewodniczenia wszędzie poza związkiem. Teraz opowiada, że chyba podowodzi jeszcze w AWS, żeby się nie rozleciała. Ale autorytet Mariana Krzaklewskiego mocno już podupadł. Po rozmowach z prezydentem i inicjatywie SLD 17 regionów przewodniczący zrozumiał, że sztywne poparcie dla 12 regionów wg projektu rządowego prowadzi do porażki. Na zwołanej pośpiesznie Komisji Politycznej AWS Krzaklewski przeforsował nowe stanowisko: regionów będzie 14 bądź 16... Unia zawrzała („12 jest regionów jak 12 apostołów”), ale okazało się, że niepotrzebnie, bo klub poselski AWS zdecydował z kolei przydzielić poparcie dla „12”. Tyle, że frekwencja klubowa była niska, poniżej 50%. Przy tej okazji Andrzej Szkaradek, szef regionu krakowskiego „S” wyraził się publicznie bardzo lekceważąco o swym przewodniczącym...

Odśrodkowe tendencje w AWS wyraźnie wzrastają. Teraz, gdy powrócono do współpracy z prezydentem, „odśrodkowcom” przybyło argumentów. Tymczasem Krzaklewski,

który lęka się, żeby na prawicy nie powstał inny ośrodek krystalizacyjny, nie tylko uważa, że nie może sobie pozwolić na zdecydowane zaostrenie rygorów, ale nadal stara się rozszerzać AWS o takie widmowe partie jak Ruch Katolicko-Narodowy Antoniego Macierewicza (wielu polityków AWS boi się Macierewicza w AWS jak dzumy). W rezultacie rozmaite ośrodki w AWS nabierają coraz więcej odwagi i prowadzą własną politykę. ZChN w osobie Ryszarda Czarneckiego toczy bój z Unią Wolności i Unią Europejską za jednym zamachem. Chodzi, a jakże, o suwerenność Polski i kulturę chrześcijańską, ale również o ambicje Czarneckiego i *last but not least* o pieniądze z Unii Europejskiej: kto ma nimi dysponować, Ministerstwo Finansów Balcerowicza czy biuro koordynatora Czarneckiego. Jan Maria Rokita, który stara się o własną baronię w Krakowie, organizuje opisane obalenie zarządu miasta. Zresztą każda grupa polityczna na prawicy szykuje sobie własne motywy przewodnie kampanii wyborczej, niewiele się troszcząc o program AWS. PC Kaczyńskiego i Dorna (którzy urzędują jako posłowie niezależni i z zewnątrz, starają się manipulować klubem AWS) obrali sobie za temat drakońskie zaostrenie represji. Do tej właśnie formacji należy osławiony już w Polsce wojewoda warszawski Gielecki, o którym pisałem w poprzedniej *Kulturze*. Posłowie i senatorowie, których natchnieniem jest Radio Maryja, poświęcają się walce z pornografią... I tak dalej. Te przewodnie wątki nie są, oczywiście, sprzeczne, ale poskładanie ich do kupy w jeden program wyborczy oznaczać musi proklamowanie kompletnego Ciemnogrodu z represyjnym, policyjnym zabarwieniem.

Napisałem na wstępie, że „płynięcie” koalicji nie zaczęło się tym razem od stosunków pomiędzy AWS i UW. Ale nieuchronnie fala musiała dotrzeć i do nich.

Unia Wolności, w przeciwieństwie do AWS, ma swój spójny, konsekwentny program, którego podłożem jest dążenie do Unii Europejskiej i jak najszybsze zrealizowanie wszystkich jej wymagań (i to wymagań rozumianych tak, jak je przedstawiają doradcy wicepremiera Balcerowicza). Nie będę tu krytykował tego programu. Robiłem to wielokrotnie na tych łamach. Wypada stwierdzić, że dzięki niewątpliwej konsekwencji, z jaką UW reprezentuje interesy i mentalność

formującej się tzw. klasy średniej, zwłaszcza zaś dzięki wysiłkowi intelektualnemu, z jakim wynosi te interesy i tę mentalność do poziomu Interesu Narodowego i Jedynej Nowoczesnej Cywilizacji, Unia zapewniła sobie wierność swego elektoratu, ale też ograniczyła jego rozmiary. Unia może pozyskać więcej wyborców niż swoje sakramentalne 14% tylko jeśli w Polsce przybędzie klasy średniej, jeśli tej klasie będzie się dobrze powodzić i jeśli nie zarazi się ona lewicową chorobą nieczystego sumienia społecznego*.

Innymi słowy, Unia Wolności nie ma w bliskiej perspektywie szans ani na samodzielne formowanie rządu, ani nawet na większościowy w nim udział. Jeszcze inaczej mówiąc, Unia ma w sojuszu z AWS mniej więcej maksimum tego, na co może realistycznie liczyć. Nic więc dziwnego, że gotowa była wiele znosić i w wielu sprawach uciszyć swoje europejskie sumienie. Teraz jednak okazuje się, że ludzie AWS rozbestwili się niepomierne. Dziennikarze bliscy Unii Wolności piszą coraz częściej, że w łapczywości na stanowiska i apanaże AWS nie ustępuje SLD. W ostatnich dniach np. rzecznik rządu Tomasz Tywonek przeniósł się do Zarządu Telekomunikacji Polskiej, ponieważ, jak powiedział, „premier Buzek chciał tam mieć swojego człowieka”. Nie sposób rozstrzygnąć, czy więcej w tej deklaracji hucpy czy głupoty. Unijne przedłożenia i protesty nie poskutkowały.

Tymczasem w AWS wybuchł kolejny skandal. Media ujawniły, że jeden z ministrów AWS, Wiesław Walendziak, doniósł na drugiego, Janusza Tomaszewskiego, iż zataił w swej deklaracji fakt współpracy z SB. Tomaszewski był w związku totumfackim Krzaklewskiego, w rządzie jako wicepremier i minister administracji i spraw wewnętrznych odpowiadał wraz z Walendziakiem za (kiepskie) przygotowanie reformy terytorialnej. Tomaszewski zaprzeczył, Walendziak również, choć z opóźnieniem, a premier Buzek zachował się najgorzej z całej klasy: ani nie zdementował, ani nie potwierdził, odsyłając sprawę do sądu lustracyjnego, który... nie istnieje. SLD dyskretnie milczy, za to Balcerowicz jest „zażenowany takimi stosunkami pomiędzy dwoma ministrami z AWS”.

* przed taką chorobą najlepiej podobno chroni czyste sumienie chrześcijańskie. To właśnie, a nie tylko względy taktyczne, tłumaczy w unijnej polityce i mentalności przywiązanie do Kościoła.

a rzecznik UW, Andrzej Potocki, otwarcie kwestionuje zachowanie i kompetencje premiera. Henryk Wujec, wiceprzewodniczący klubu poselskiego UW, uzupełnia, że premier dobierając ministrów miał wgląd w ich tajne teczek i kiedy znalazł w nich, jak teraz sam przyznaje, „pewne niespójności”, powinien był je wyjaśnić. Rzecz w tym, że nie premier miał w tych sprawach ostatni głos, lecz Marian Krzaklewski, który teraz trzyma się z tyłu.

Cała afera sprowadziła znów na tapetę sprawę Wiesława Walendziaka. Wódz pampersów, znany z nieograniczonych ambicji, otoczył Buzka swoimi ludźmi i uczynił ze skromnej kancelarii premiera pierwsze ministerstwo, a z siebie „drugiego po Bogu” (to słowa Henryka Wujca). Unia Wolności nie kryje, że będzie żądać głowy wszechwładnego ministra, ale po cichu przyznaje, że najpewniej się ta dekapitacja nie powiedzie.

W takiej atmosferze odbędzie się dzisiaj, 15 maja, kolejne spotkanie u prezydenta Kwaśniewskiego.

Perspektywy?

Koalicja pracuje pospiesznie nad poprawieniem ustawy lustracyjnej z poprzedniej kadencji. Zamiast specjalnego sądu lustracyjnego, którego nie udało się zebrać (zabrakło jednego ochotnika), zadanie zamierza się powierzyć sądowi apelacyjnemu w Warszawie. Ale prezydent domaga się ściślejszego zdefiniowania „współpracy”, zwłaszcza o przymiotnik „dobrowolna”, na co nie godzi się koalicja. Każdy „współpracownik” ogłosiłby wówczas, że go zmuszono... Bardzo możliwe, że będzie to jeden z tematów rozmowy z prezydentem, który upomni się też o własny projekt przesłany do Sejmu.

Tuż przed najnowszym kryzysem w koalicji, posłowie AWS i UW uzgodnili podobno wspólny tekst uchwały o komunizmie i PZPR. Podobno Niesiołowski złagodził sformułowanie o przestępczym charakterze PZPR i podobno Kuroń zapowiedział, że się na tę wersję też nie zgodzi. Piszę „podobno”, bo źródło informacji mam tylko jedno, ale od siebie dodam, że informacja ta wydaje się prawdopodobna. W innej sytuacji kierownictwo UW przeszłoby może do porządku nad sprzeciwem Kuronia, ale teraz Krzaklewski musiałby zapewne za antykomunistyczną pryncypialność zapłacić wysoką cenę.

W chwili obecnej, mimo sondażu o „wrzeniu” i protes-

tów społecznych, nie ma jeszcze żadnego poważnego zagrożenia dla rządu. Natomiast destabilizacja sterów, którą starałem się opisać, może skutkować paraliżem władzy. Rząd produkuje wprawdzie coraz to nowe projekty reform – służby zdrowia, górnictwa, oświaty – ale zainteresowane podmioty społeczne reagują z rosnącą wrogością. W rezultacie nic z tych projektów nie nadaje się tak naprawdę do wcielenia w życie.

Również szumnie ogłaszane priorytety gospodarcze, którymi popisuje się wicepremier Balcerowicz, okazują się często wioskami Potiomkina. Głośny w Polsce spór prof. Wróblewskiego, fizyka, z posłem Syryjczykiem z klubu Unii Wolności przypominał, że „priorytet” dla nauki wyraża się utrzymaniem z roku na rok nędznego 0,47% PNB na cele naukowe. (Miało być 1% a potem 2%.) Inny „priorytet”, budownictwo autostrad, zapadł się, kiedy inwestorzy autostrady południowej zapowiedzieli wycofanie się z interesu, jeśli rząd nie będzie współfinansował budowy: podobno źle skalkulowano przyszłe zyski (rząd i tak finansuje wykup ziemi). Tymczasem nie ma nie tylko autostrad. Zamyka się przeprawy przez Wisłę, bo mosty grożą zawaleniem, a ciężkie ciężarówki z tranzytu zalewają Warszawę, i bez tego zakorkowaną...

Jest bardzo niedobrze, że największy ponoć realista u władzy, Leszek Balcerowicz, daje się ponosić fantazjom propagandysty.

Nie jest to jeszcze „druga Japonia”, ale coraz to słychać o „doganianiu”, chociażby Portugalii. Leszek Balcerowicz był dotychczas szanowany nawet przez tych, którzy go nienawidzili. Teraz grozi mu ironiczny uśmieszek zwolenników.

Warszawa, 15 maja 1998

Krzysztof WOLICKI

Kartki ze skażonej strefy

Twarze mówią. W społeczeństwach o nie wykrystalizowanych odruchach demokracji twarze polityków są busolą dla wyborców. „Po twarzach ich poznacie ich...”. Ludzie głoszą na twarze. Niestety, nasi niedopieczeni jeszcze politycy rzadko mają twarze przekonujące, częściej ich oblicza i miny działają na ludzi jak płachta na byka.

Waldemar Pawlak, taki rozczulający za pierwszym podejściem jako jednomiesięczny premier próbujący utworzyć rząd! Pamiętam, jak w gabinecie Wałęsy, wówczas prezydenta, położył niezdarnie teczkę przy nodze, mówiąc nieśmiało, jakby przepaszajaco: „jestem politykiem na dorobku...”. Było to ujmujące, chociaż przyszłość pokazała, że jedyne czego się dorobił w tym zakresie, to klęska polityczna, przeszedłszy w pierw przez pręgierz drwin.

Ale na początku przez miesiąc robił dobre wrażenie. Leżałam wówczas w szpitalu na Bródnie, większość moich towarzyszy niedoli byli to prascy menele i pijacy, na ogół nie interesujący się polityką, ale temu nieporadnemu „dzieciakowi” jakoś żeśmy wszyscy sprzyjali.

Gdy Pawlak wstępował w szranki premierowskie po raz drugi w ramach koalicji SLD-PSL, był to już nie ten sam człowiek. „Co się z niego zrobiło?!” – zachodziliśmy w głowę. Stał się postacią z kabaretu, z groteski, jak Buster Keaton, jak Adolf Dymsza. Z miejsca dostał pseudonim „portret pamięciowy”, jaki policja rysuje domniemanym przestępcom na podstawie zeznań świadków. Było w tej twarzy zniuruchomienie, martwy wzrok i zupełny brak kontaktu z mówiącym. Wygłaszał swoje kwestie komunistyczną nowo-mową, patrząc gdzieś wkos, co wywoływało efekt anachroniczny, ponieważ co inteligentniejsi komuniści natychmiast się tego stylu wyzbyli. Ręka w kieszeń, nonszalancja – i już jesteśmy pełną parą zachodni!

Im dłużej Pawlak premierował, tym głębiej się pograżał. Nie umiał rządzić, ale nie wszyscy o tym wiedzieli. Natomiast

wszyscy widzieli twarz. Prawda to niezbita, że jak twarz nie „zaskoczy”, to i polityk nie zaskoczy, wraz z całym bagażem, który niesie.

Dlaczego Mazowiecki nie zaskoczył? Bo twarz nie zaskoczyła. Piękna, poetycka twarz, podobna do głowy wybitnego inscenizatora i malarza, Tadeusza Kantora, ale nie „polityczna”. „Nie pasuje mi na prezydenta, mowa za powolna” – mówili ludzie, przedrzeźniając jego długo otwarte usta, jego znaczony pauzami tok przemawiania. Teraz Tadeusz Mazowiecki już się tego wszystkiego wyżył, ale z dawna doczepiona gęba została. I szlus.

Irytował nas Mazowiecki, Pawłaka wstydziliśmy się – za ich „twarze”, tak przecież różne, ale nieprzydatne do tego, co robili.

Pawłak był najbardziej doświadczonym politykiem we wszystkich mediach. Zarzucano mu różne gafy i przekręty, ale zniknął z polityki głównie za twarz. Podobno zna się na mleczarstwie i hodowli. Gdy raz o tym mówił, wierzyć nie chciałam, że to on – oży! Niech więc Bóg otoczy opieką jego pola i nierogaciznę; dużo ma tych hektarów, niech na nich pozostanie dla dobra ojczyzny.

Pawłak zniknął, mamy Tomasza Tywonka. Nie premiera, co prawda, ale jego rzecznika. Gdy otworzy usta – „co słodsze są od malin” (niech mi Stalin wybaczy porównanie) – to *sorry*, mdłości mnie biorą.

Rzecznik premiera jest wysokim, młodym, dorodnym chłopiskiem – z jego twarzą jednak robi się coś niedobrego; z dnia na dzień pęcznieje. Usta stają się coraz bardziej karminowe i coraz mniej wypuszczają z siebie informacji, a coraz więcej grzeczności wyżytych treści. Słysząc to było i widać jak na dłoni, gdy usiłował coś kręcić w sprawie nieszczęsnej żelatyny. Rozumiem, że nie chciał czy nie mógł powiedzieć prawdy, ale tym bardziej powinien sobie przygotować na tę okoliczność jakiś trzymający się kupy, zborny tekst. Nic z tego. Wił się rozpaczliwie i bez sensu, zupełnie z siebie zadowolony.

Nie chcę skwitować sytuacji nasuwającym się powiedzeniem: „jaki pan, taki kram”, gdyż nie zrezygnowałam jeszcze z premiera Buzka. Premier Buzek powinien jednak zrezygnować ze swojego rzecznika.

Marian Krzaklewski, gdy jeszcze nie był pewny swego, szafował „miną Mussoliniego”, czym zapewne leczył swój kompleks niższości. Gdy osiągnął sukces, a wraz z nim niebotyczne kłopoty, mina mu zrzędła – zdecydowanie zmniejszył odległość między nosem a podbródkiem, przez co stał się bardziej ludzki.

Niezmienną abominację wywołuje we mnie twarz Marcina Świąćickiego jako prezydenta Warszawy. Jest dobitnym przykładem, że w Polsce, kraju wszak wielkich przemian, człowiek wyżyty doszczętnie umiejętności podejmowania decyzji, byle dobrze uczepiony, może w nieskończoność pełnić ważną funkcję administracyjną. Jerzy Giedroyc w „Notatkach Redaktora” dał krótką ocenę: natychmiast Świąćickiego zdjąć i wprowadzić zarząd komisaryczny. Mów sobie zdrowo!

Marcin Świąćicki, człowiek wiotkiej postury, typ prowincjonalnego pastora, nieśmiały i grzeczny, nawet w czasie długiej polskiej zimy pięknie opalony, bo lubi wojażować do cieplejszych krajów, na najbardziej palące pytania ma w zanadru dwa słowa: „nie wiem”, które wygłasza z rozbrajającym uśmiechem.

Nie wie, czy usuwać bezdomnych z Dworca Centralnego na czas sprzątania hali, nie wie, czy wprawdzie zbudować Most Siekierkowski czy Świętokrzyski, czy autostradę prowadzić Ursynowem, czy dalszym obwodem; czy kontynuować metro, czy też przerzucić się na szybkie tramwaje (niedawnośmy wydzielali szyny z ziemi); czy Park Rozrywki postawić tu, czy może tam...

Jest łagodny, daleka mu agresja; wydaje się kimś tragicznie zabłąkanym w tym mieście-molochu, któremu jedynie silna ręka, wręcz dyktat, może nadać tożsamość i sprawność.

Na „mera” Warszawy Świąćicki trafił jako ostateczność, gdy radni reprezentujący różne partie nie zgodzili się na bardziej wyraziste kandydatury. Na niego padł wybór jako na *nobody*, na kogoś kim będzie można powodować, kto nigdy nie powie „nie”. Na przykład, nie zgodzi się na niebotyczne zarobki radnych, praktycznie niczym nie ograniczane. Jego własna pensja przekracza obecnie pensję prezydenta państwa.

Autentycznym szczęściem zaczęła wreszcie promieniować mina ministra spraw zagranicznych, Bronisława Geremka.

Zakryta dotychczas szczerze za lisim uśmiechem, teraz, gdy osiągnął cel, otworzyła się na ludzi. Uśmiech od ucha do ucha.

Pamiętam go z doradztwa Pierwszej Solidarności. Choć robotnicy z miejsca zarzucali mu knowania na stronie, był to jeszcze sympatyczny, „wyluzowany” (tak się teraz u nas mówi o ludziach, jak dawniej o drobiu) człowiek. Jednakże, w Sejmie Kontraktowym, jako szef „Okapu” (Obywatelski Klub Parlamentarny), jego umiłowanie do „polityki kotarowej” w gronie dopuszczanych do tajemnicy wybrańców, stało się już mocno drażniące; jego twarz coraz mniej wyrażała prawdziwe zamierzenia, i w pewnym sensie, chociaż powodów było wiele, przyczyniła się do rozpadu Klubu. Powiedzenie, które się wtedy narodziło, a powtarzane do dziś coraz mocniejszym głosem – o arogancji władzy, wzięło się również z jego zachowań.

Obecnie oblicze Bronisława Geremka jest ludzom przyjazne i bądźmy dobrej myśli, że stanowisko, jakie sobie wykukał, wyjdzie nie tylko jemu, ale nam wszystkim na zdrowie.

Na ogół jednak politycy rosną, zmieniają się na gorsze. Maleją. Arogancję wdzierają na siebie jak modny krawat.

Tak było zawsze. Czytam w książce Celiney Budzyńskiej, osoby niesłychanie mądrej i dobrej, choć od piętnastego roku życia komunistki, młodocianego członka KPP, w książce pod tytułem „Strzępy rodzinnej sagi”, świeżo wydanej przez ŻIH, arcyciekawej ze względu na detale, w pracach *stricte* historycznych na ogół pomijane – otóż czytam tam opis sceny, jaka rozegrała się między nią a Liwką Szolken, późniejszą Zofią Gomułkową. Po gehennie wieloletnich łagrów Budzyńska w stanie kompletnego wyniszczenia wraca do kraju. Pierwsze kroki po gruzach Warszawy kieruje do Komitetu Centralnego, mieszczącego się wówczas w Alejach Ujazdowskich. Przy biurku – o szczęście! – dostrzega dawną koleżankę i towarzyszkę partyjną, osobę, z którą była bardzo blisko, która w jej domu na Solcu przemieszkiwała. Otwiera ramiona i... zostaje odepchnięta. W jej stronę wysuwają się dwa palce i zimny głos oznajmia, że nie ma dla niej zatrudnienia. Budzyńska wyznaje, że był to jeden z większych szoków w jej życiu. Potem dowiedziała się, że Gomułkowa nie pokwapiała się nawet o sprawdzenie, czy kamienica, w której się ukrywała w okupację, stoi. Stała, ulica Chmielna 122, jak również żyła

rodzina Trawińskich, u której Liwka Szolken znalazła schronienie...

Rozwodzę się o tym tak szeroko, gdyż wiem od samych komunistów, że w stalinizmie, mimo zbrodniczości poczynań, w zachowaniu towarzyszy panowała pewna równość niezależnie od funkcji, jaką pełnili. Poklepywali się po ramionach, polemizowali ze sobą, oczywiście w ramach centralizmu demokratycznego, co miało swoje odbicie w prasie. Nieprzepuszczalność, ów szczególny mandarynizm, rozpanoszył się ponoć grubo później. Jak się okazuje, nieprawda. Towarzysze, którzy razem gnili na Kołymie, ratując się nieraz szlachetnie w największej potrzebie, gdy znaleźli się w Polsce, nagle doznali amnezji, zapomnieli o wspólnej niedoli i serdecznych związkach i zaczęli układać się ze sobą ściśle wedle hierarchii, w jaką któremu udało się wskoczyć.

Ta wycieczka w przeszłość potwierdza, jak prawdziwe i niezależne od ustroju jest twierdzenie, że punkt widzenia zależy od punktu siedzenia.

Oczywiście, istnieją od tego odstępstwa. Znam człowieka, który działając cały czas w polityce, na oczach zmienia się dziś na korzyść. Mam na myśli Macieja Jankowskiego. Spawacz z zawodu, niegdysiejszy hunwejbini, prowodyr drastycznych wystąpień, delegowany ongiś (dlaczego?) przez Uniwersytet Warszawski na Pierwszy Zjazd Solidarności, miał opinię rozbijaki i destruktora. Koledzy związkowcy wstydzili się jego; znam kogoś, kto przez niego wypisał się z Solidarności. Będąc szefem „Mazowsza” długo trzymał się populistycznych haseł, aż nagle, nie, nie było to wcale nagle – niepostrzeżenie zaczął mówić rozsądnie i z rozmysłem, ze znajomością rzeczy, niespotykaną u robotnika. Przestał wrzeszczeć, grozić i domagać się. Zaczął proponować realne rozwiązania, zadziwiając szerokością spojrzenia, językiem i wiedzą ogólną.

Na ogół, jako postać pozytywnego rozwoju przytacza się pupila Solidarności, „legendarnego” Zbigniewa Bujaka, który przykładowo kończy obecnie historię na Uniwersytecie Warszawskim. Jankowski też najwidoczniej musiał zabrać się do nauki, ale po swojemu. Chciałoby się o nim powiedzieć: „schudł, szcerniał, zeszeptniał, ale jakoś dziwnie wyszlachetniał”.

Ostatnio rozstał się z władzami AWS-u, do których należał, bo – jak mówi – trudno mu znosić rozbijackie zachowania takich posłów, jak na przykład, Słomka, Jackowski czy Łopuszański; zapowiada, że nie będzie kandydował do władz związku, w których dominuje postać Zygmunta Wrzodaka. Przynajmniej, że znalazł się na rozstajnych drogach, ale nie ma zamiaru pozostać biernym.

Ludzie dziwią się tej przemianie. Niektórzy zarzucają mu, że „zadał się” z biznesem, ale nie umieją wytłumaczyć, na czym by to polegało. Umiarkowana konserwatywna partia Aleksandra Halla otwiera przed nim ramiona, ale bez skutku. Jankowski mówi, że jedno wie: jako członek Komisji Ekologicznej w Sejmie będzie ogniem i mieczem bronić całości Puszczy Białowieskiej jako Parku Narodowego. To na początek.

Kolejne walne zebranie warszawskiego KIK-u. Ileż już tych zebrań przeżyłam, ile pokoleń, iluż kapelanów (bo zawsze zaczynamy od Mszy świętej przy stole nakrytym białym prześcieradłem); niektórzy pomarli, niektórzy stali się biskupami. Wszyscy mili, swoi, otwarci, posoborowi, jak i cały ten KIK, żywa historia Polski.

Był taki okres po „wojnie na górze”, w okresie polskich podziałów, że i u nas w KIK-u pojawiały się głosy, może nawet nie tyle głosy, co westchnienia – endeckie. Tej wiosny jakby je wymiotło. Sala wyczyszczona. Mniej też nas, staruchów. Pomarliśmy, albo zostaliśmy skreśleni z powodu wieloletniej nieokazywalności się. Za to sporo rodzaju męskiego w młodym wieku.

Jest zwyczaj, że po Mszy ktoś z zebranych wygłasza prelekcję ogólną, tak dobraną, żeby chwytiała uwagę zebranych. Tym razem Stanisław Stomma, w świetnej fizycznej i umysłowej formie (u ludzi w zaawansowanym wieku zdarzają się takie wzloty doskonałości), otóż Stanisław Stomma w krótkich żołnierskich słowach przedstawił własną drogę do katolicyzmu, sięgającą przedwojennego Odrodzenia, poprzez wszystkie te nasze peerelowskie lata.

Potem równie szybko wybrano dwóch młodych sprawnych, żeby skutecznie dyscyplinowali przebieg zebrania.

W tym roku miała miejsce zmiana statutu KIK-u. O tyle ważna, że usankcjonowano prawnie fakt od dawna praktykowany. Ten mianowicie, że do KIK-u może przystąpić człowiek każdej religii, bezwyznaniowiec, ateista czy agnostyk. Mnie, gdy przed laty do KIK-u wstępowałam, nikt o wyznaniu nie pytał, teraz to przypieczętowano.

Wspominam często nasz KIK na tych kartkach. Jest ciałem dziwnym w polskiej rzeczywistości; minimalnie zbiurokratyzowanym, aż za swobodnym, są momenty, że stali pracownicy, w tym niez mordowany sekretarz, Stanisław Latek, myślą zapewne, że za chwilę wszystko się rozleci. A jednak żyje, napędzany jakąś wewnętrzną dynamiką dyktującą pomysły, właśnie takie, o jakie chodzi. KIK nieraz bywał na bakier z hierarchią kościelną, nie za bardzo, ale trochę. Przyjmował to w pokorze, i bez uniżoności robił swoje. Sądzę, że jeszcze w niejednej chwili stanie się użyteczny Kościołowi i Polsce.

A poza tym strasznie przyjemnie tam zachodzić. Jakie odetchnienie po sztywnościach innych instytucji.

Żeby już całkiem nie popaść w sielankę i żeby nie narazić KARTEK na utratę tonu, przytoczę „kawałek” z tygodnika *Nasza Polska*, nr 18, z 29 kwietnia br. Tytuł: „Prażat broni narodu”, autor: Paweł Siergiejczyk. „...Książd Prażat (chodzi o ks. Jankowskiego, EB) chociaż narażał się wielu, ma za sobą tysiące, a może i miliony zwolenników, którzy chcą mówić to samo, ale nie mogą, bo nie mają gdzie. Szykany nie douczonego bpa Pieronka czy pokrewnych mu judaszy, niechaj Książdza Prażata nie przestraszają. Społeczeństwo chce znać prawdę, choć tak dalece od prawdy odeszło – nie bez winy Kościoła na szczytach! Wielka szkoda, że dał się wmieszać w ten zamęt sztucznie wywołany abp Goćłowski, któremu dość duży procent Polaków ufało. Zhańbił się i nic nie potrafi go usprawiedliwić, podobnie jak abpa Życińskiego, który poczuł się wyrocznią i miele bez sensu sloganami judeounijnymi...”

Pocieszyć się możemy, że to pismo, ten styl to margines, to folklor, obecny w każdym społeczeństwie. Czy jednak można mieć pewność, że margines nigdy nie wyjdzie za linię, a folklor nie zechce przybrać się w sztukę?

2 maja 1998 r.

Ewa BERBERYUSZ

Z ukosa

Pułkownik Ryszard Kukliński w Polsce. W mass mediach ścierają się racje, bohater czy zdrajca? Rząd uznał, że bohater. Kukliński jeździ po Polsce, z obstawą jak głowa państwa, z ochroną najeżoną karabinami maszynowymi jak dyktator afrykańskiego państwa. Były i obecny prezydent nie spotkają się z nim, obaj Kuklińskiego nie lubią, ale nie lubią inaczej. Kwaśniewski twierdzi, że pułkownik daje zły przykład armii, ale za to, pocziwy premier ściska go jak brata. Wałęsa natomiast się dąsa. Sam pułkownik mu wypominał, publicznie w Sejmie, że to postkomuniści, a nie on umożliwili mu przyjazd. Wałęsa takiej obelgi nie wybacza, na dodatek jest chyba po prostu zazdrosny, mówi, że to robotnicy, a więc On, wywalczyli Polskę w NATO, nie jakiś tam pułkownik.

Moja intuicja, która bez wiedzy zawsze zawodna, mówi, że Kukliński ani bohater ani zdrajca. Nie jest zdrajcą, ten kto ujawnia tajemnice armii kraju okupowanego i zniewolonego. Nie wiemy jednak co tak naprawdę ujawnił Kukliński Amerykanom, czy rzeczywiście jego motywy były czysto patriotyczne? Jestem skłonny wierzyć, że tak. Pewne tylko, że ostrzegł Amerykanów, że planowano stan wojenny. A ja pamiętam, że Andrzej Wajda też był tego pewien i ostrzegał, ale nikt go nie słuchał, ja też nie. Kukliński podczas polskiej pielgrzymki porównywanej przez ludzi o śmiałej wyobraźni do pielgrzymki papieskiej, otoczony jest oszołomami, nic dziwnego, że sam coraz bardziej oszołomiony. Nie mam jednak dostępu do duszy Kuklińskiego, wydawała mi się ona w duchowym zamęcie, co ujawniały jego usta. Na początku pułkownik mówi publicznie mało, to świadczy na jego korzyść, ale potem mówi coraz więcej, spodobało mu się. Niestety, wszystko co mówi jest przeciętne, ckliwo-sentymentalne, albo po prostu głupie gdy np. oskarża ministra obrony narodowej Janusza Onyszkiewicza, że to najgorszy minister obrony narodowej, nawet komunistyczny generał Siwicki był lepszy. Wychodzi na to, że ma rację prezydent, że Kukliński daje zły

przykład armii, bo oto nasz Wallenrod, miesza z błotem urzędującego ministra obrony narodowej, o którym nie wie nic, a o którym my wiemy, że jest człowiekiem o znakomitej biografii i uczciwej twardości. Bez wątpienia ktoś biedaka podpuścił na Onyszkiewicza.

Na dodatek Kukliński nieustannie płacze. Bohater ma prawo popłakać się raz, on płacze za każdym razem, kiedy ma w ustach Polskę. I nagle niedobre wrażenie robi willa na starym mieście i jacht, który mu RP dzisiaj zwraca. Całkiem zamożny był nasz Wallenrod. I tak się składa, że im więksi kretyni, im bardziej nawiedzeni, tym goręcej entuzjazmują się pułkownikiem, jest stan wrzenia w *Gazecie Polskiej*. W szkole dziennikarskiej pułkownik dostaje doktorat, funduje pomniki... jedna z gazet ujawnia co pułkownik jadł: „zjadł łososia na przystawkę i cielęcinę na ciepło. Wziął deser...”. Nic dziwnego, że zażawiony bohater spogląda do góry i widzi aureole.

Być może okrutnie krzywdzę pułkownika, ale cała ta szlachetność wydaje się podmyta tandetą. Niektórym Kukliński jawi się jako postać tragiczna, ciążył na nim przez lata wyrok śmierci, stracił dwóch synów, mówi się, że w nie wyjaśnionych okolicznościach, dłaczego nikt nam nie rzucił snopu światła na te okoliczności. Jakby lepiej wyglądało, kiedy się tego nie próbuje wyjaśnić. Teraz Kukliński zdaje się być wykorzystywany przez skrajne ugrupowania, jego wina, że tak łatwo daje się wykorzystywać.

Pułkownik ma nie tylko asystę karabinów maszynowych a też Nowaka-Jeziorańskiego i Zbigniewa Brzezińskiego, trudno o lepszą polityczną asystę. Brzeziński, który czasami nawet fizycznie towarzyszył pułkownikowi, skazał się heroicznie by firmować scenę, gdy pułkownik stał naprzeciw mikrofonu jak zahipnotyzowany przez kobrę i mówił nonsensy.

Nie mam wielkich emocji wobec Kuklińskiego. Jeśli przekazywał wielkie tajemnice armii imperium, to byliśmy w latach 70-tych i 80-tych po tej samej stronie barykady. Moje emocje budzi ilość śmieci, którą zbiera tocząc się po Polsce. Tak oto Kukliński najpierw jest Wallenrodem, by stać się polską księżną Dianą. Czy naprawdę współczesnej Polski nie stać na jakiegoś solidnego bohatera narodowego? Najpierw czczono Wałęsę, uwierzyli w niego nawet najwięksi sceptycy,

teraz patrzą ze zgrozą na swego idola. Bohaterowie podziemia Bujak i Frasyński, szczególnie ten ostatni, to znakomity materiał na postać mityczną. Miał jednak szczęście lub pecha, że go nie zabito w stanie wojennym. Obu tych ludzi rozmięła na drobne nasza kabaretowa scena polityczna. Ostatnim bohaterem narodowym miał być Gołota, bokser wagi ciężkiej, o równie ciężkiej głowie i gębie bandyty, miał nawet sprawę karną bardzo dziwnie umorzoną, spotykał się z nim prezydent i nawet prymas. Ale oto narodowy bohater najpierw dwukrotnie na oczach całego świata bije poniżej pasa swoich przeciwników, a potem pada na deski już w pierwszej rundzie.

Zrobiło się więc strasznie pusto w naszej ojczyźnie, stare mity wyblakły, czasami nawet zenujące w swoim patosie, jak rozdarta koszula Rejtana. Ale spektakl po śmierci księżniczki Diany ukazuje, że cały świat jest tak głodny nowych mitów, że zje wszystko co popadnie i będzie płakać. W Polsce element narodowy chce czegoś swojskiego. Stąd tak wielu rzuciło się w ramiona Kuklińskiego. Ale on przy Gołocie prezentuje się marnie, chociaż też nie potrafi sklecić pięciu słów, jest jednak mikrogo wzrostu, wątłutki i nieustannie płacze. Jeśli Kukliński miał swój okres heroiczny, jeśli ryzykował życiem i jest postacią dramatyczną, to zapłaćmy nad tym, że udało nam się z jego przyjazdu do ojczyzny zrobić prowincjonalną farsę.

Podawałem liczne przykłady polskich epidemii szczękościsku, co miesiąc mógłbym wyliczać nowe, ale nie spodziewałem się, że ta przypadłość dotrze na Wyspy Sołowieckie. Mariusz Wilk uznał, że po chamsku potraktowałem Moskwę, więc teraz on ma prawo tak samo potraktować mnie. Słusznie natomiast zauważa Abner, że mój tekst powinien nosić tytuł z Moskwy, a nie z Rosji. I to prawda, że w moich pośpiesznych migawkach, bo nie miałem poczucia, że wykonuję bardziej poważną pracę, była polska, pańska arogancja wobec Wschodu, co samokrytycznie przyznałem w swoim następnym felietonie. Często odnajduję w sobie te wszystkie chwasty, które tak mnie drażnią u rodaków, dowód jak nasza narodowa łąka jest żyzna i zachwaszczona. Byłem w Moskwie krótko, zmuszony na dodatek zajmować się sprawami, które utrudniały mi rozglądanie się wokół. Pisanie tak mocnych

uogólnień z miejsca gdzie przebywa się chwilę, jest zawsze nadużyciem. Ale czy nie jest nadużyciem każda próba wyjaśnienia miasta, kraju przy pomocy słów? Wielekroć mam takie wątpliwości gdy piszę o Polsce, bo przecież wiem, że pisząc o niej, piszę przede wszystkim o sobie. I zawsze jestem wyspą lizaną przez fale niepewności. Kiedy czytam teksty nawet najlepszych korespondentów, którzy są w Polsce na krócej lub na dłużej, to niemal zawsze wydaje mi się, że są gdzieś obok tego, co wedle mojego widzenia jest istotą naszego kraju. Czy jest w ogóle taka istota? Jak wycisnąć sok z 200 milionów ludzi, z 40 milionów i podać go w szklance czytelnikowi? Uważam jednak, że należy takie zuchwałe próby robić, nawet jeśli obarczone są ryzykiem porażki i błędów. W tych pośpiesznych, naskórkowych opisach Polski, chociaż mnie irytują, zawsze znajduję cenne ziarenka, jak fragmenty faktury obrazu, których nie widzimy my, którzy jesteśmy fragmentem krajobrazu.

Inna kwestia, czy to prawda, że są miejsca szczególnie skomplikowane, gdzie dzieją się rzeczy, które nie śniły się nawet filozofom i miejsca stosunkowo proste, gdzie nie trzeba używać narzędzi szczególnych? Rosja ma być właśnie tym sfinksem, którego Zachód nigdy nie pojmie z głupoty, a Polska nie pojmie z arogancji, jest więc sfinksem do którego klucz mają tylko nieliczni, wybrani. Czy Niemcy były i są proste, skoro wydały hitlerizm?

Jestem w Niemczech w kwietniu roku 98. Przylatuję na trzy dni, powinienem więc milczeć, ale nie zamierzam. Za oknem samochodu bajeczny Ren, ze wzgórzami w koronach zamków. Samochód prowadzi emerytowany pułkownik Luftwaffe, do niedawna szef kadr armii zachodnich Niemiec. To on zajmował się likwidowaniem armii NRD. Krajobraz wsi niemieckiej, który jakże różni się od polskiej. Widać, że rolnictwo jest tu niemal w zaniku, a ostatni farmerzy właśnie bankrutują. Kiedy samochód kilkakrotnie zadrzał na nierówności szosy, pułkownik wyjaśnił, że są to żaby korytarze życia. Po lewej stronie w rozlewiskach królują żaby, które w okresie godowym w wielkich gromadach przemieszczają się przez szosę. Mimo znaków ostrzegających kierowców, szosa stała się ich obozem zagłady. Dłatego Niemcy

szanujący każde życie, też życie żab, zbudowali bezpieczne tunele. Może mam chore skojarzenia, ale nie mogłem się opędzić przed myślą, że dokładnie w tych dniach premier Izraela Natanjahu i premier polski Buzek, prowadzą w Oświęcimiu marsz żywych.

Gospodarze pokazują mi książkę o wsi gdzie mieszkają, ładny patriotyzm miejsca każe amatorom-kronikarzom opisywać historię każdego kawałka tej ziemi. Są zdjęcia wszystkich rodzin, też fotografie sprzed lat, dlatego niektóre postacie na rękawach mają swastyki. Nikt już nie waha się dać takie zdjęcie do publicznego albumu. Nie wydaje się by mieszkała w tym dumą z Wehrmachtu, to raczej brak emocji wobec historii i poczucie bezpieczeństwa.

Kilka dni potem, w Lipsku odbywa się wielka manifestacja niemieckich neofaszystów, skrajne ugrupowania na tym właśnie terenie rosną w siłę. Pewnie powinno się wzruszyć ramionami, ale przeszkadza w tym myśl, że w latach dwudziestych też wzruszano. Zgodnie z oczekiwaniami, ciemne tradycje zakonserwował NRD-owski komunizm. To akurat przewidzieliśmy bez pudła. Tak samo jak PRL znakomicie zakonserwował przedwojenną polską endecję, z jej wszystkimi skrajnościami.

Ostatnie Niemcy Zachodnie, gdzie czuje się bliskość Francji, wydają się krajem spokojnym i zadowolonym z życia. Kiedy idę na spacer, widzę jak u sąsiadów młody ogier rżąc wesoło uganiam się za lamą, czemu przygląda się spokojnie wielbłąd. Ten raj jest oczywiście sztuczny, kiedy poznaję jego właścicieli, dotykam nagle ich małego, ukrytego piekła, ale bez wątplenia jest faktem, że w tej części Niemiec nie ma materiału na polityczny radykalizm. Niemcy zawsze były bardzo regionalnie zróżnicowane. Dwie wojny światowe jednoczyły je w paroksyzmie szaleństwa, ale teraz znowu są różne. Powszechny jest tylko brak entuzjazmu wobec zjednoczenia. Kiedy jestem z moją znajomą na poczie, a urzędniczka jest niegrzeczna, ta mówi do niej wyniośle: „Pani to na pewno musi być ze wschodniej części kraju”. Dawne NRD, czyli te okropne Prusy, jako okrutne brzemię podatkowe, zbiornik chamstwa, kocioł społecznych problemów, które mimo takich inwestycji jakoś nie chcą się rozwijać, a nawet jako groźba totalitarnych zagrożeń. Mieszkańcy dawnego Berlina zawsze

wspominają z łezką w oku, jakie to było piękne, żywe i przytulne miasto przed zjednoczeniem.

Co się tak naprawdę dzieje w Europie, choćby we Francji Le Pena, co się gotuje pod luksusową skórą zachodniej Europy, która próbuje się jednoczyć? Czyż nie jest to piękna idea? Intelktualiści wyjątkowo zgodnie wieszczą duchową i materialną katastrofę. To bardzo optymistyczny znak, bo nigdy nie potrafili przewidzieć nawet paznokcia przyszłości, więc na pewno będzie jakoś inaczej.

Nagle, po głosowaniu w amerykańskim senacie, Polska ma otwartą drogę do NATO. Ludzie łązą po ulicach i jakoś nikt się nie cieszy. Kiedyś Polska w NATO to były majaczenia filozofa zamkniętego na oddziale ostrych psychoz. Od dwóch stuleci nie mieliśmy równie luksusowej sytuacji, kraj się rozwija, mamy demokrację, a nie mamy wrogów na granicach, z otwartymi ramionami przyjmują nas do bloku wojskowego, który zdominował świat. Jak zwykle gdy znikają wielkie dramaty, rosną małe, choćby osobiste. Gdy Polska jako kraj czuje się coraz bardziej bezpiecznie, ludzie boją się wychodzić na ulicę. Prasa podaje, że około 300 tysięcy ludzi jest związanych z mafią lub z innymi grupami przestępczymi. Pod moim oknem często widzę samochody, gdzie siedzą młode ogolone głowy osadzone na byczych tułowiach, ci ludzie zbrojni są nie tylko w komórkowe telefony, czasami widać, że trwa jakaś akcja, a to wszystko odbywa się pod nosem wielkiego gmachu MSW.

Ale mafia to pestka w porównaniu z chorobami nowotworowymi. Ostatnie dwie bliskie mi osoby, w tym jedna bardzo młoda, zostały napadnięte przez nowotwór. A przecież stan naszych szpitali jest taki, że samo pójście tam w pełnym zdrowiu jest ciężką chorobą. Zapowiedziano rewolucyjną reformę służby zdrowia, powstać mają kasy chorych, bardzo dobrze, ale o 9 lat za późno. I jak wszystkie reformy, ta też staje się powodem wielkiej politycznej kłótni. Wiem, że trudno stworzyć szpital, gdzie jest przyjemnie umierać, ale skala niemoralności naszych szpitali poraża. Lekarze biorą grube łapówki, nawet od umierających.

Był wielki spór między koalicją a opozycją, z której przeciętny a nawet nieprzeciętny obywatel nie rozumie nic.

Czy wybory do samorządów gminnych mają być przesunięte na wrzesień, czyli odbyć się razem z wyborami powiatowymi i wojewódzkimi, tego też chciała sejmowa większość. Czy mają się odbyć zgodnie z terminem konstytucyjnym, dwustopniowo? Prezydent i SLD byli za tym, by nie zmieniać wcześniejszych planów. Skala konfliktu i emocje urosły jak baobaby, ale argumenty obu stron wydawały się równie wątle co ważkie. Trudno o lepszy przykład sporu: „golone – strzyżone”. Prezydent miał podjąć decyzję, a mógł zawetować uchwałę Sejmu. Był naciskany przez SLD i OPZZ a nawet Unię Pracy. W końcu zgodził się na koncepcję prawicy i Unii Wolności, wzbudzając wielki gniew SLD.

W całej tej reformie administracji, przynajmniej w planach i deklaracjach, chodzi o to, by jak najwięcej władzy oddać społeczności lokalnej. Nasi obywatele jednak zdają się mieć nikłą świadomość tych intencji. Nadal triumfuje brak zaufania do władzy, który w jakiejś mierze jest brakiem zaufania do siebie. Niby każdy u nas zawsze wie najlepiej, ale kiedy trzeba coś zrobić, to ręce wszystkim opadają. Tylko decentralizacja zlikwiduje największy polski wrzód myślenia, odwieczne, bolesne poczucie, że ktoś za nas podejmuje błędne decyzje, nikt z nami nie rozmawia, nikt nie pyta. Lecz mimo wszystko jest coraz więcej ludzkiej aktywności właśnie na dole, powoli ale wyraźnie ludzie krzepną i zaczynają wierzyć w siebie. Też w sferze kultury coraz więcej dzieje się właśnie na prowincji, tam jest najlepsza, najbardziej gorąca publiczność.

Na prawicy burza mieszanych uczuć. Prezydent ustąpił wobec koalicji, udowodnił, że nie jest zakładnikiem postkomunistów, czyli postąpił jak mąż stanu. Jest lament skrajnych skrzydeł prawicy, że dano Kwaśniewskiemu szansę na szlachetność, że się uwiarygodnia jako polityk, inni twierdzą, że to tylko perfidna gra. Ale nawet Marian Krzaklewski nie śmiało przebąkuje o przełamywaniu podziałów na Polskę postsolidarnościową i postpeerelowską.

Wcześniej odbyło się spotkanie wszystkich sił politycznych u Prezydenta. Okazało się, że można ze sobą kulturalnie rozmawiać. Bardzo to miesza szyki tym, którym potrzebne są ciemne spiskowe siły, które zatruwają czyste polskie morze. Wydawało się, że wkrótce nastąpi wytrącanie

z AWS-u narodowych skrajności, jest odwrotnie, ropowski odłam Macierewicza ma wejść do AWS-u, by jeszcze bardziej uatrakcyjnić ten bigos.

Maciej Jankowski, znany działacz „Solidarności”, tej podziemnej i naziemnej, z zawodu ślusarz, którego dojrzewanie i krzepnący zdrowy rozsądek obserwuję na przestrzeni lat z coraz większą sympatią, rezygnuje z udziału we władzach Klubu Parlamentarnego AWS. Mówi w wywiadzie dla *Polityki*: „gubimy ludzi, nie potrafimy sprawić, by zaangażowali się w przemiany. Nie dlatego, że proponujemy reformy, lecz dlatego, że robimy to niesprawnie”. Mówi o AWS-ie jako o pospolitym ruszeniu, które jak każde pospolite ruszenie łatwo idzie w rozsypkę. „Nie ma żadnego przepływu informacji od dołu do góry”. Ostrzega, że rośnie rozgoryczenie a nawet wściekłość wśród związkowców, bo mają poczucie, że się ich lekceważy. Jankowski krytykuje ostro Mariana Krzaklewskiego i wyśmiewa plany przyłączenia do AWS-u grupki Macierewicza. Tu akurat wielu ludzi z AWS jest zgodnych, że wpuszczenie Macierewicza do AWS-u jest równie szalonym pomysłem, jak szalony jest sam Macierewicz.

Co jednak zamiast AWS-u? Ci, którzy mieli złudzenia co do SLD, muszą czuć się kiepsko. Fatalnie prezentuje się SLD jako opozycja, ich upór nie zawsze jest mądry i wiele w nim demagogii. I to chyba prawda, że ich maniery, zręczność, są fasadą, za którą mieszka raczej ponure zaplecze. Trzeba jednak przyznać, że AWS usztywnia swoich przeciwników, odbierając im moralne prawo do istnienia. Miliony Polaków głosowało na postkomunistów, więc jeśli w ich ocenie używa się tylko i wyłącznie narzędzi pogardy, to gardzi się demokracją.

Gazeta Polska rozmawia z Jarosławem Kaczyńskim, czyli z czołowym myślicielem i politykiem prawicy. Bardzo to osobliwa formacja ludzi inteligentnych-inaczej. Ta grupa uwyrażnia się obecnie, to jest prawica, która w podstawowych dla Polski sprawach zachowuje się racjonalnie, popiera gospodarkę rynkową, prywatyzację, chce Polski w Europie, czyli płynie w nich rzeka zdrowego rozsądku, ale po bokach rosłą jakieś dziwaczne monstra, nienawiści, fobie, myślenie

irracjonalne. I oto ta grupa ujrzała nagle, że na jej prawym ramieniu, jak wielki nowotwór rośnie Radio Maryja, oraz byty tej radiostacji pokrewne. Wołają więc nagle wielkim głosem, że to zagrożenie dla Polski! A jeszcze wczoraj tak im się podobał narodowy radykalizm księdza Rydzyka. Pamiętam, gdy przed laty rozmawiałem w telewizji z Miłoszem, a ten przyłożył księdzu Rydzykowi, który jeszcze był na progu obecnej kariery, to moi prawicowi koledzy z telewizji zwani wtedy pampersami, chodzili przez tydzień jakby ich zęby bolały. A teraz nagle wszyscy przejrżeli. Radio Maryja i pokrewne skrajności kompromitują całą narodową prawicę, a dla Polski stanowią o wiele głębszą groźbę niż cokolwiek po lewej stronie, jeśli lewa strona cokolwiek znaczy.

Kto więc jest winien? Inteligentni-inaczej nie poszukują nigdy winy w sobie, czy w sferze myślenia skrajnego. Winą obarczą swoich przeciwników politycznych. Najwięcej winy ponosi Adam Michnik, który zapewne w najśmielszych narcystycznych snach (a nie mam wątpliwości, że takie sny miewa), nie mógł się spodziewać, że będzie tak ważny w RP. Na czym polegał wedle Kaczyńskiego scenariusz Michnika? Otóż lękając się panicznie ogłupiałej, fanatycznej prawicy, przez swój lęk taką właśnie stworzył. Cytuję Kaczyńskiego: „Na początku wmawiał nam, że tacy właśnie jesteśmy, a teraz ma już to naprawdę”. Nie byłem entuzjastą kilku symbolicznych aktów pojednania z Jaruzelskim dokonanych przez Michnika, ale Kaczyński przecenia Michnika. Potem zapewne będzie winą *Gazety Wyborczej*, że Kaczyński mówi rzeczy kuriozalne.

Mówi się, że pokolenie trzydziestolatków jest szczególnie dotknięte przez brak steru i busoli. Agata Bielik-Robson pisze w *Res Publice* (listopad 97 r.) „W naszym przypadku wszystko się rozmywa i traci na ostrości: jesteśmy pokoleniem niejako właśnie przez brak pokoleniowego projektu. Jesteśmy dziwnie bezdomni w Historii, która odmówiła nam schronienia, zabłąkani i zagubieni, (...) wytwarzamy między sobą tylko jakąś nieuchwytną, przelotną tęsknotę: przywołujemy strzępki rzeczywistości, które nie układają się w żadną całość”. Chyba coś w tym jest?

Trudno o tym dyskutować w kilku zdaniach, napiszę

tylko, że moje pokolenie też czuje się dzisiaj bezdomne. Mieliśmy swoje mity, ale rozsypały się w proch, znamy słodki smak wspólnoty, tym bardziej nas teraz boli samotność i bezradność. A pokolenia starsze? Andrzej Wajda, który jednak zdecydował się filmować „Pana Tadeusza” (przed laty błagałem go by tego nie robił), czy nie stawia pomnika bezradności swojej generacji wobec współczesności? Modłę się by ten pomnik był ładny.

Wojewoda warszawski Maciej Gielecki, reprezentujący narodowy klerykalny odłam AWS-u, staje się barwną postacią naszego politycznego *panopticum*. Okazuje się, że myślenie narodowo-klerykalne może szkodzić nawet architekturze. Norman Foster, światowej sławy architekt, projektuje biurowiec z boku placu Piłsudskiego, są pieniądze, jest inwestor. Architekt w swojej wizji bierze pod uwagę, że będą odbudowane pałace Saski i Bruhla, czego jestem zwolennikiem całą duszą i sercem. Ale wedle Gieleckiego to są obce pieniądze, a tam Papiież odprawiał Mszę świętą. A senator Czuba (to ciekawy przypadek narodowej niewiasty) woła: „Ratujmy Polską tożsamość!”.

Zaskakując wszystkich, a najbardziej policję, Gielecki wydaje w Warszawie zarządzenie, że ludzie niepełnoletni w godzinach 23 a 6 rano, nie będą mogli wychodzić z domu bez opiekuna. Nazwano to „godziną ochronną”, by komuś nie przyszło do głowy użyć nazwy godziny policyjnej. Godzinę milicyjną mieliśmy w stanie wojennym, i wtedy też nieustannie gadano, że zmniejszyła się gwałtownie przestępczość. Początkowo najmniej entuzjazmu wykazywała policja, jej w nocy prawie nie ma, a teraz będzie musiała się krzątać i zgarniać gwałtcących noc małolatów, odwozić ich, no właśnie gdzie? Tu też jest problem, same problemy. A w sumie wielka bzdura, którą można nazwać procesem upupiania młodego pokolenia. A też konfrontowania jej z policją, gdy lekcja współpracy i przyjaźni społeczeństwa z policją to jedna z szans na poprawę bezpieczeństwa w naszych miastach. Niestety, Prymas w kazaniu wielkanocnym pochwalił zamykanie małolatów na noc w domach. To, że Prymas jest entuzjastą zakazów, to pół biedy. Gorzej, że kontestuje prawo, mówiąc: gdy uchwalono zakaz słuszny, aprobowany

przez rodziny, społeczeństwo, przez same dzieci, to zaraz się pojawiają ludzie, którzy mówią, że przepis jest niezgodny z literą prawa. Czy prawo jest tym, co dyktuje nam sposób życia? Bardzo to polskie machnięcie na nie ręką. Rozumiem, że Kościół macha szczególnie, bo najważniejsze jest „prawo naturalne”. Jak uczy historia, naturalne, czyli zmienne i niepewne. „Niektórzy duchowni dzielą polityczne amatorstwo wszystkich obywateli”. Czyżby to była krytyka Prymasa? Nie, bo właśnie to są słowa Glempa wypowiedziane w podobnym czasie.

Przez dwa upalne dni maja jestem w Lubinie. Nigdy tam fizycznie nie byłem, duchowo tak, bo mi zostało w pamięci najbardziej wstrząsające zdjęcie stanu wojennego – pięciu robotników biegnie trzymając za ręce i nogi śmiertelnie ranego, jakby biegli z ukrzyżowanym. Niezwykła była ekspresja tej sceny, świadectwo heroizmu i zbrodni. W zagłębiu miedziowym zginęło od kul milicji 4 górników. Dzisiaj na miejscu gdzie strzelano, stoją kamienie z napisem „Solidarność”, przeplecione krzyżem i nawet ładny jest ten pomnik, bo skromny, co nie tak często przydarza się nowym pomnikom.

Mam w Lubinie spotkania, głównie z młodzieżą, a tematem jest poezja. Jak wiele innych subtelnych zjawisk, wydawało się, że poezja dzisiaj zdycha na amen, zgnieciona walcem wielkiej zmiany, ale odradza się i jak na pustyni tworzą się małe oazy. Ale nauczyciele skarżą się uparcie, że młodzież w szkole już nie przyswaja poezji, szczególnie romantycznej, nic a nic, chyba że się im ją wpycha jak tuczny gęsiom przez rurkę do gardła. To jest problem pamięci, wyblaknięcia największych mitów narodowych, śmiertelnego mroku naszej wielkiej literatury, jej nekrofilii, upartej sakralizacji cierpienia. „Dosyć mroku, chcemy żyć kolorowo”, mówią młodzi.

Starszy nauczyciel ze łzami w oczach żali mi się, że jego uczniowie pytani na lekcjach o Kuklińskiego, mówili, że on nic ich nie obchodzi, czasami nawet nie wiedzą, kto to jest. Nauczyciel załamuje ręce, a ja sobie myślę, może to dobrze? Gdyby czcili pułkownika jako bohatera narodowego, toczyli zażarte spory, zdrajca czy bohater, to by dopiero było

świadectwo, że mają pomieszane w głowach. Czy ta opcja zerowa, którą wybiera młodzież, założenie, że świat zaczyna się w roku 90, to jakaś forma samoobrony przed polskim bigosem.

Niemal każdy kontakt z młodym pokoleniem zaskakuje odkryciem, jak mało wiedzą o przeszłości. Polska historia to Mieszko I, o którym co nieco wiedzą, a potem mniej więcej rok 89. W tym kontekście debata na temat moralności Jaruzelskiego czy Kuklińskiego, to dla nich jak badanie szkieletu dinozaura i spór o kształt jego kości ogonowej.

Spotkanie z młodzieżą w Lubinie prowadziła nauczycielka, młoda, odczytana, inteligentna. Idziemy potem na spacer. Miasto ładne, stare fragmenty, które są otoczone szpetnymi dzielnicami z wielkiej płyty. Rynek został częściowo wyburzony w latach 60-tych, zniszczono stare kamieniczki, by postawić tam szkaradne pudła. Ścigałbym urzędników i architektów, którzy dokonali tego dzieła, jak zbrodniarzy wojennych. Ale trzeba przyznać, że w tym czasie podobnych zbrodni na wielką skalę dokonano niemal w całej Europie. To było zafascynowanie nowoczesnością, szkłem, prefabrykatami, normami, czyli zbiorowa psychoza utraty estetycznego poczucia. W Lubinie na rynku rozpoczęto nawet odbudowę zburzonych fragmentów. Czuje się w mieście rozkwit gospodarczy, mnożą się eleganckie sklepy, w galerii oglądamy ze smakiem dobrane obrazy, rozbudowuje się dom kultury, gdzie obejrzałem balet poznański Ewy Wycichowskiej, na europejskim poziomie.

Rozmawiam z nauczycielką, a pomnik zabitych górników pomaga nam cofnąć się do przeszłości. W stanie wojennym jako młoda dziewczyna miała proces za namalowanie na ścianie „wrona skona”, dostała wyrok w zawieszeniu, ale jej późniejszy mąż za inne podobne zbrodnie siedział długo. Pyta mnie – „Co myślimy zrobili z naszym zapałem, poświęceniem, z naszymi mitami?” Mówię – „pogubiliśmy, pokłóciliśmy, sprzedaliśmy, a najgorsze, że teraz nawet wstyd o tym mówić”.

Największy neon w mieście głosi: „Biuro poselskie posła na Sejm Tadeusza Maćkały. AWS”. Patrzę na ten neon i aż serce rośnie. Nie napisano, bo każdy w mieście wie, że Maćkała jest prezydentem miasta, że wszystko co się tu dzieje,

czy jest małe czy duże, odbywa się pod jego patronatem. Ludzie przyznają, że poseł dba o miasto. Ale to firmowanie każdej imprezy, jest maniakalne, wielu oburza lub śmieszy. Czasami poseł, prezydent, ma z tym firmowaniem kłopot. Na kilka dni przed moim przyjazdem odbywało się w Lubinie seminarium naukowe na temat antykoncepcji, zjechali fachowcy z całej Polski. I oczywiście poseł, prezydent seminarium patronował. Ale nagle wycofał się, jako, że stało się to w ostatniej chwili, w panice, to akt ten wypadł demonstracyjnie. Maćkała zagapił się, przeoczył, że temat jest ryzykowny. Radio Maryja i skrajne skrzydła AWS-u głoszą przeciez, że akty płciowe winny się odbywać po Bożemu, czyli bez wyrafinowanej antykoncepcji, a co najwyżej przy pomocy metod naturalnych. Na dodatek w Lubinie trwa wojna na noże między AWS-em a SLD, miasto jest podzielone i rozdrapywane przez te dwa ugrupowania, nic dziwnego, że na seminarium zwolennicy SLD zagrzeźmieli na prezydenta miasta. Takie to są dramaty w Lubinie.

Wiele nowych kwiatów kwitnie w Polsce, niektóre są trujące. Na dworcu w Ostrowcu Świętokrzyskim widziałem bardzo rasowych polskich faszystów. Nienagannie białe koszule, czerwone szelki, skórzane buty do pół łydki, czasami nalepki „Polska”, ogolone głowy. Grupa duża, kolorowa i kwitnąca siłą wspólnoty i pewnością siebie. Jakby ich powąchać, zapachniałoby latami 30-tymi. Starsze pokolenie patrzyło na nich ze szczerą zgrozą. Chyba słusznie. To, że czują się tak pewnie i bezpiecznie to znak, że hitleryzm, Oświęcim i wojna nie tylko przeszły do historii, że ich przesłanie jest martwe.

W pociągu rozmawiałem z emerytką, bardzo dziarską, palącą niestety równie energicznie papierosy. Rozgarnięta, lecz widzi wszystko ciemno. Nikomu nie ufa, jest lepiej, ale tylko niektórym, ona nie doczeka lepszej Polski. Pyta mnie czy słuchałem Jana Olszewskiego w telewizji, który miał mówić, że „trzeba Polskę do końca zdekomunizować”. Pyta ironicznie: „Jak to zrobić, skoro nie mamy bomby atomowej?” Sama pracowała na kolei przez kilkadziesiąt lat, wcześniej kolej budował jej ojciec. Oboje pracowali niezwykle ciężko. Nigdy nie była w partii. „Ale wszyscy w komunizmie

zyli, lepiej, gorzej i w tym ustroju budowali. Teraz mamy poczucie przegranego życia”, mówi.

Tłumaczę, że nie jestem bynajmniej zwolennikiem Olszewskiego, ale sądzę, że jemu chodzi o stronę moralną komunizmu, a nie fizyczną. Nie dodaję, że paradoksem jest, że w grupie Olszewskiego i w jego mutacjach, jest więcej myślenia komunistycznego niż tu tzw. postkomunistów. Dekomunizując musieliby więc zacząć od samolikwidacji. Ale starsza Pani swoje wie.

– „To ma pan stronę moralną, niech pan popatrzy na naszych polityków, jak ludzie AWS-u i SLD gryzą się o kości władzy. Dzisiaj nie ma już żadnej ideologii, są tylko pieniądze, gdzie ich zapach tam wszyscy biegną, jedynie o to chodzi. Mieszkam w małym miasteczku, u mnie też wszyscy powariowali na punkcie pieniędzy, już o niczym innym nie mówią. I tylko o tym myślą”.

To prawda, gdy mijam ludzi na ulicach polskich miast, słyszę, że zwykle mówią o pieniądzach. To okropne, ale gorzej, gdyby zabrakło tej pasji, bo owa namiętność jest wielkim motorem, często brzydkim, śmierdzącym, ale to motor napędowy rozwoju kraju.

SMECZ

Sprawy i troski

Niedobre obyczaje

Komuś opłaca się obrzucić mnie błotem dlatego, że żyłem z własnej pracy, a polityka ani kombatancki etos nie były mi potrzebne jako podpórki profesjonalizmu czy kompetencji. Na pierwszej stronie *Rzeczpospolitej* w dn. 9.04.98 br. znalazł się tekst pod tytułem „Zlecenia bez konkursu”. Na trzeciej stronie ten sam tekst nosił sugestywny tytuł: „Wolne ręce”, nad nim zaś: „Wielu zastanawia się, w jakim stopniu polityka pomaga Czesławowi Bieleckiemu w pracy architekta”. Jeśli ktoś miał tu wolną rękę, to dziennikarz, który dopasowywał argumenty do założonej z góry tezy. Jeszcze lżejszą rękę ma naczelny *Rzeczpospolitej*, tolerując nierzetelność swoich współpracowników.

Mój dorobek architektoniczny nie był nigdy tajemnicą. Ale niech każdy następny manipulant medialny nie powie, że nie mógł przeczytać poniższej – skróconej zresztą, aby nie być posądzonym o kryptoreklamę – listy:

Wygrane przez firmę DiM'84 konkursy i przetargi:

- Centrum Chopinowskie w Brochowie: I nagroda w konkursie realizacyjnym, 1987.
- Plan miejscowy Gliwic, wygrany przetarg, 1990.
- Rozbudowa Żydowskiego Instytutu Historycznego w Warszawie; wygrany konkurs ofert, 1992.
- Plan miejscowy Zielonki, wygrany przetarg, 1993.
- Centrum Młodzieżowe dla SOS – Wioski Dziecięce w Lublinie; wygrany konkurs realizacyjny, 1994.
- Plan urbanistyczny dla ul. Żołnierskiej w Rembertowie; wygrany przetarg, 1995.
- Ruch S.A. wygrany przetarg, 1996.
- Nowe budynki TVP w Warszawie; I nagroda w konkursie realizacyjnym, 1997.

Przyjęte oferty autorskich koncepcji DiM

- Studium programowe i koncepcja dla Prochem S.A., 1994.
- Studium programowo-przestrzenne rozbudowy Sejmu RP; umowa zawarta w 1996.
- Plan promocji inwestycji na 400-lecie stoleczności „Nowe idee dla Warszawy”, 1996.

Zaproszenia inwestorów skierowane do DiM

- Galeria Sztuki Współczesnej Zachęta, 1989.
- Jastrzębie Zdrój, 1990.
- Teatr Rozmaitości, 1990.
- Częstochowa, 1991.
- Dąbrowa Górnicza, 1993.
- Rzecznik Praw Obywatelskich, 1994.
- Wardyński i Wspólnicy, 1994.
- CityCom. 1995.
- Przebudowa wejścia do Restauracji Hawełka w Sejmie, styczeń 1997.

Niech mali ludzie nie liczą, że zdobędą sławę w procesie ze mną, tylko dlatego, że plują na większego – nie dam im tej szansy. Sam zaś wolę nie tracić czasu na spory z pismakami gotowymi złożyć każdy tekst pod dyktando. W roku przedwyborczym zdążyłem opublikować dwie książki: „Grę w miasto” – o architekturze (ujawniam, że dostała wyróżnienie wydawców) i „Plan akcji” – program dla centroprawicowego, koalicyjnego rządu. Wolę zabrać się za pisanie kolejnej – o sztuce polityki, niż wytaczać proces *Rzeczpospolitej*. Zamieszczę w niej fragment o grach i intrygach oraz obowiązkach osób publicznych. Zaliczam do nich zgodę na naruszanie dóbr osobistych przez media. Dopóki nieuczciwi dziennikarze nie wywrócą się na własnej służalczości wciąż opłaca się kłamać. Prawda jest wciąż w *Rzeczpospolitej* za słabą konkurencją.

Ten sam dziennikarz parę miesięcy temu podobnie manipulował publicznie dostępną wiedzą o mnie. W składanym przez posłów rejestrze korzyści otwierającym moją kadencję poselską przedstawiłem projekty architektoniczne i kontakty biznesowe, prace rozpoczęte i negocjowane kontrakty. Wpisałem też oczywiście projekty wykonywane dla Kancelarii Sejmu. W poufnej części deklaracji majątkowej wpisałem, że

jestem posiadaczem 5% udziałów w założonej przeze mnie w 1984 roku firmie Dom i Miasto. Jako poseł nie chciałem być w dwuznacznej choćby sytuacji i przekazałem 45% moich udziałów dyrektorowi zarządzającemu. Po 3 miesiącach opublikowano rejestry korzyści i wówczas *Rzeczpospolita* po raz pierwszy zaczęła „demaskować” mnie. Dowiedziałem się, że poseł Czesław Bielecki nie ujawnił, iż ma 5% udziału w firmie „Dom i Miasto”. Trudno, abym ujawniał jako korzyść to, co jest stratą (byłem przedtem 50% udziałowcem). *Rzeczpospolita* w sposób oczywisty naruszyła moje dobra osobiste, ponieważ stan majątkowy jest sprawą poufną obywateli dopóki nie naruszają prawa. W ten sposób przez kontrast do posła Tadeusza Mazowieckiego, który podał w rejestrze korzyści otrzymane w prezencie pióro Mont Blanc, znalazłem się wśród osób o niejasnej postawie etycznej.

Na szczęście te wszystkie manipulacje i insynuacje nie trafiły na słabego. Zaiste, gdy zakładałem w 1984 roku moją spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością Dom i Miasto – DiM'84 byłem poszukiwany listem gończym. Niemniej zarejestrowałem ją z trzema współnikami w sądzie. Nikomu z policji nie wpadło po prostu do głowy, że ktoś z fałszywym dowodem osobistym wyjmie prawdziwy, gdyż ma taką pasję do architektury, żeby zakładać z podziemia legalną firmę na powierzchni. Nie miałem ochoty na los zawodowego rewolucjonisty. Byłem wówczas, w orwellowskim 1984 roku przekonany, że komuna padnie i trzeba będzie budować nowe życie. Także własne. Już wtedy głosiłem hasło: wolę niższą niepodległość niż wyższą podległość.

Wiosną 1985 roku zostałem wraz z moją żoną, Marią Twardowską i częścią współpracowników podziemnego wydawnictwa CDN aresztowany. Byłem wówczas figurującym w rejestrze sądowym wiceprezesem firmy architektonicznej. Wkrótce mój współnik Marek Biskot zaczął budować dom w Michałowicach, który wspólnie zaprojektowaliśmy w podziemiu. Gdy po siedemnastu miesiącach wyszliśmy na wolność – jesienią 1986 roku – moja żona i ja przystąpiliśmy znów do projektu, który po zakończeniu realizacji otrzymał wyróżnienie SARP-u. Będąc w mokotowskim areszcie nie tylko pisałem i szmuglowałem teksty. Przesłałem także na wolność gryps z dwoma projektami na konkurs plakatu 40-lecia *Kultury* paryskiej. Zdobyłem I nagrodę i wyróżnienie. Utrzymanie pozycji w zawodzie uważam po latach za nie mniej ważne zwycięstwo nad policją polityczną gen. Kiszczaka niż

publikację w naszym wydawnictwie: Juliusza Mieroszewskiego, Stefana Wyszyńskiego, Jerzego Popiełuszki, Raymonda Arona, Leszka Kołakowskiego, Hanny Arendt czy Izajasza Berlina, Jana Nowaka Jeziorańskiego i wielu innych autorów.

Przyznaję skromnie, że nie byłem dość inteligentny, aby wpaść na to, że mój kapitał intelektualny, który inwestowałem dla dobra publicznego i osobistego (starannie oddzielając obie sfery i unikając konfliktu interesów), będzie w wolnej Polsce i wolnej prasie przedmiotem nieodpowiedzialnych napaści dzinnikarskich. Gdy po „ujawnieniu” owych 5% udziałów, które rzekomo ukryłem, wskazałem w liście do redaktora naczelnego na niestosowność takich obyczajów – nie otrzymałem prywatnie ani publicznie satysfakcji. Z góry uprzedzam – nie będą jej szukał. Spokojnie doczekam się upadku oszczerców i manipulatorów, którzy zapominają, że hucpa władzy kończy się zawsze tak samo: szybkim upadkiem i niesławą.

Zawsze uważałem, że trzeba być niezależnym materialnie, jeśli chce się być niezależnym (co nie znaczy niezdyscyplinowanym) politycznie. Na pewno znajdzie się trochę architektów niezadowolonych z tego, że moja twórczość architektoniczna nie musi być dekomunizowana, polityków – że nie zarabiałem na polityce i wreszcie dziennikarzy – że nie znajdują moich tekstów publicystycznych Macieja Poleskiego – Czesława Bieleckiego, pisanych na zlecenie czy dla wierszówki i etatu.

W Polsce, nawet wolnej i demokratycznej, można będzie bezkarnie każdego oczerniać dopóki dziennikarz będzie pisał po prostu kłamstwa, nie ukrywając zresztą (wobec współników: dyrektora mojej firmy i mojej żony Marii Twardowskiej), że szuka argumentów na dowód tezy, z którą przyszedł. Ten tekst traktuję jako przestrożę wobec wszystkich, którym zachciewa się mnie oczerniać, gdyż dziś odwaga tak staniała, a rozum już tak zdrożał. Niegdyś Jerzy Urban (gdy aresztowanego bronili mnie najpierw francuscy, a potem polscy architekci) twierdził, że nikt nie zna architekta Bieleckiego. Wtedy moja matka znalazła opinię Wiesława Górnickiego o mojej pierwszej pokonkursowej realizacji z 1975 roku – Kwatery Zgrupowania AK Żywiciel na Cmentarzu Wojskowym w Warszawie. Urban mógł więc przeczytać u kolegi po piórze, że ten anonimowy twórca (czyli ja) powinien dla tego jednego dzieła figurować w każdej encyklopedii historii sztuki. Tak bardzo poruszyła go wizja krzyży – sylwetek ludzkich na war-

szawskim bruku. Myślę, że od tego czasu coś zaprojektowałem i zbudowałem.

Czy Rzeczpospolita – niezależną i samorządną zbudujemy rękami ludzi małych i sprzedajnych? Albo też mentorów tych ludzi, chcących wzmocnić nieskuteczną władzę przez kontrolę nad mediami? Nie wytoczę procesu *Rzeczpospolitej*. Zasada, że z obrzucenia błotem zawsze coś zostanie nie może być uhonorowana. Następnym oszczercom dam jednak dwie przestrogi. Po pierwsze, gdy przyjdzie czas ujawnię – kiedy będzie to najmniej wygodne dla nich – tych którzy dali polecenie. Po drugie: wierzę w wolność prasy, nawet gdy popełnia błędy. Natomiast *Rzeczpospolitej* w cudzysłowie, ani *Rzeczpospolitej* bez cudzysłowu, nie opłaca się szerzenie przekonania, że wszyscy politycy nadużywają władzy. To nie służy jawności życia publicznego, lecz uderza w samą powagę słowa. To inflacja słowa niszczy istotę wolności prasy.

21.04.98 r.

Czesław BIELECKI

Sąsiedzi

Pod tryzubem

Staraniem redaktora Giedroycia zaprosił mnie „Filozofski Fund”, wcześniej współorganizator (obok Instytutu Filozofii i redakcji *Politycznej Dumki*) – ciekawego, choć jak się tu nie ukrywa, ciekawszego w zamiarze niż w werbalizacji ukraińsko-polskiego sympozjum.

Znamienne, że nie my ale Ukraińcy pierwsi tak rzeczowo uhonorowali 50-lecie pisma, które przez cały ten okres – po obu stronach daleki od gładkości, najeżony uprzedzeniami, niedomówieniami – pracowało nad poprawą naszego sąsiedztwa. Tymczasem nie w Warszawie, ale w Kijowie – dopiero w Kijowie – omawiano *casus* Juliusza Mieroszewskiego, jednego z najwybitniejszych polskich publicystów. Wolałabym nie sprawdzać, ilu to naszych dziennikarzy, nie tylko tych młodych, zna jego nazwisko.

Nie z przypadku najlepszą frekwencją cieszył się trzeci dzień obrad, sesja prowadzona pod hasłem „Ukraina i Polska. Historia i perspektywy dialogu między intelektualistami” (w tym znaczący referat Oleha Biłego o „Historycznej klęsce kulturowego mesjanizmu”. Fakt, prawie nie przyjmowany do wiadomości w Polsce.

Mając do wyboru historię i perspektywę – strona polska wolała trzymać się historii, i to traktowanej bardzo osobiście – „literacko”, jak na wieczorze autorskim. Gospodarze chyba mieli do nas cichy żal z powodu okazji, która znowu przeszła bokiem. Nie przemęczyliśmy się, szykując wystąpienia. Oczywiście nikt z organizatorów nie powiedział mi tego wprost, ale chyba znowu dało o sobie znać nasze wzmrożone samopoczucie intelektualne.

Przez lata, przez sowieckie lata intelektualści rosyjscy, litewscy, ukraińscy poprzez Polskę i język polski, docierali do wartości spoza – o ileż w ich wypadku szcześniejszej – żelaznej kurtyny. Warszawa była oknem na świat, drogowskazem, nie tylko przecież w kulturze. To się już zmieniło.

W *Politycznej Dumce*, szkic Włodzimierza Reprincewa o relacjach polsko-ukraińskich, szczęśliwie już nieporównywalnych z dawniejszymi, weszliśmy w fazę „konstruktywnego, pragmatycznego i wzajemnie opłacalnego rozwoju. Obiektywne, strategiczne, narodowe interesy obydwu państw korespondują ze sobą, wolne od deformujących wpływów z zewnątrz”. To dużo jak na początek, ale...

Tym razem kontakt z inną, szerszą Ukrainą. To już nie jest obolały od antypolskich i propolskich kompleksów Lwów, z neoficka przewrażliwiony i zajadły. To Kijów. Starcza odległości – nie w kilometrach, w historii – na wyczuwalnie inny klimat polityczny. Na zorientowanie się, jak wyolbrzymiliśmy Galicję, która z tutejszej perspektywy jest czym jest: nie za dużą i słabą gospodarczo prowincją jednego z największych obszarem krajów europejskich.

Dumka – jak chyba każde tej elitarnej rangi pismo – boryka się z kłopotami finansowymi. Bardzo ciekawy periodyk, skupiający intelektualistów przynajmniej formalnie nie związanych z żadną opcją polityczną, co akurat wydaje mi się mało możliwe w naszych ostrych czasach. Kontakt z tą redakcją bardzo pomaga w kulejącej jeszcze u nas orientacji, że mimo polityki wynaradawiającej i deformującej ocalała z czystek inteligencję ukraińską, ich kraj dysponuje ciekawymi umysłami, ma autentycznie intelektualne środowiska, co podkreślam z intencją – choć nie bez zażenowania. Nie powinno się pisać o oczywistościach, tylko jak tu nie pisać, kiedy stereotyp Ukraińca – fizycznie dorodnego, to na pewno, ale prostaka, ciemnego szowinisty, jak rzep trzyma się naszej wyobraźni.

Dla mnie najważniejsza jest odpowiedź na pytanie: Jak widzą swoje jutro Ukraińcy? Czy bliżej Rosji czy Polski?

– I tu i tam – brzmi odpowiedź usłyszana w Instytucie Socjologii.

Z Bystryckim i Reprincewem w kawiarni. Rozmowa o kondycji państwa, o rządzeniu. Obydwaj bardzo krytycznie

oceniają prezydenta. Za mało wiem, żeby się zgadzać czy nie zgadzać, fascynuje mnie sam fakt rozmowy publicznej i bezpiecznej. Przecież ja pamiętam to miasto z czasów, kiedy własny cień mógł donieść na człowieka.

W Polsce, znacznie lepiej (bo dłużej) obyteż z państwowością osadzoną w realiach politycznych i społecznych, trochę już – ale tylko trochę – obyteż z demokracją, wolność przede wszystkim tłumaczy się na niepodległość. U nich – częściej – na głód.

Rozpowszechnione – również u nas – przekonania, że Ukraińcy utrzymują przy życiu głównie wieś, nie można brać na serio. Lepiej czy gorzej radzą sobie i ci, którzy nie mają za miastem ani działek, ani krewnych. Szara strefa w ukraińskiej gospodarce jest nieograniczona, uniemożliwia doprowadzenie do równowagi wielu podstawowych dziedzin gospodarki.

Częściej niż z pensji, Ukraińcy utrzymują się z emerytur, stypendiów. Dopiero na trzecim miejscu – a to już ustalenie rozmijające się z powszechnym przekonaniem – dochody z pracy na własnym kawałku ziemi. Kapusta czy ziemniaki z działki docierają do garstki ludzi, ale ogół uparcie wierzy, że „to wielka łaska Boża mieć krewnych na wsi”.

Jak wynika z badań, prowadzonych latem 1992, co trzeci mieszkaniec miasta chętnie przeniósłby się na wieś. Zimą następnego roku – potwierdził tę gotowość co czwarty. Przymuszenie zainteresowanie spadło w rezultacie drastycznych kłopotów, z którymi boryka się rolnictwo. Ludzie niezbyt spieszą się do działań, które wymagają pieniędzy, zanim zaczną je przynosić. Za prywatyzacją rolnictwa jest niespełna połowa badanych. Wielu wręcz sprzeciwia się „ryn-kowi ziemi”. Pociuszające, że potencjalnymi kandydatami na farmerów bywają ludzie poniżej czterdziestki.

Ucieczka z miast osłabła, ale nie zanikła. Występuje na całej Ukrainie z wyjątkiem Tarnopola. Dlaczego akurat Tarnopola? Powód nie wyjaśniony. „Za wcześnie na socjologię” uśmiecha się Natalia.

Nowe nie wzbudza entuzjazmu. W Polsce ludzie też boją się kapitalizmu, ale mniej. Polska bieda jest mniejsza.

Jeszcze w roku 1994 sektor prywatny stanowił wszystkiego pięć procent całej ukraińskiej gospodarki, chociaż, po

decyzji rządu, prywatyzacja na dobre powinna była ruszyć już w sierpniu 1992. Prywatyzacja w tym czasie miała objąć drobną jeszcze, wycenioną co najwyżej na 10 miliardów dolarów część własności państwowej, a więc niczyjej w odczuciu wystarczająco powszechnym, by przyczyniło się do rozkładu Związku Sowieckiego.

Aż 49% respondentów chce, by duże przedsiębiorstwa pozostały własnością państwa. Niespełna 20% ludności domaga się ich prywatyzacji. Bardzo wielu Ukraińców w ogóle uchyliło się od odpowiedzi.

Badaniami zajmuje się Ośrodek Badawczy Demokratycznych Inicjatyw oraz Centrum Edukacyjne przy Instytucie Socjologii Narodowej Akademii Wiedzy w Kijowie (bardzo to skomplikowane, ale niech czytelnik zna źródła). Analizy podejmowane w szerokim programie „Społeczeństwo ukraińskie u progu XXI wieku” są rzetelne, przeprowadzane dwukrotnie – rok po roku – za każdym razem na blisko dwutysięcznej reprezentacji mieszkańców wszystkich regionów Ukrainy, od Lwowa po Krym. Co zaobserwowano porównując wyniki? Zwiększa się nostalgia za dawnym porządkiem. Na zasadzie „z dwojga złego” – ludzie opowiadają się za gospodarką sprzed pierestrojki.

Niepokojący szczegół. W odczuciu Ukraińców rozwój demokracji jest na ostatnim miejscu między najistotniejszymi warunkami poprawy.

Dużo takich dzwonek alarmowych w kraju, który dopiero co wyzwolił się od Rosji. *Niezawisimost...* może. Zwycięstwo? Z tym wolą być ostrożni. Niepodległość to zaledwie pierwszy krok. O usatysfakcjonowaniu wolnością pomówimy, gdy Ukraina doczeka się demokratycznego rządu, bo demokracji jeszcze u nas nie ma, zaistniała dopiero jej możliwość – powiada Bystryckij. Dodając: i państwa jeszcze nie ma. Jest prototyp.

Trzeźwo o sobie: nie mamy żadnych doświadczeń w państwowości. Ukraina była zdominowana przez Moskwę, wielkorządców z importu wspierała lokalna nomenklatura wątpliwej jakości. I jak myśleć o porządku społecznym w państwie, w którym (dane oficjalne) zarobki najzamożniejszych Ukraińców 35-krotnie przerastają dochód najbiedniejszych w mieście, a 47-krotnie – na wsi.

Po placu Kredytowym śmigają samochody. Straszny los przechodnia na zebrze. Pieszy ma uciekać przed kierowcą, pieszy od tego jest. Zebra, tutaj? Księżycowe pojęcie.

To się nie zmieniło. Zmieniła się dzielnica.

Nie potrafię odszukać drewnianych schodów, na które wychodziło się z opłotków Żytomierskiej. Zmizerowane czynszówki, pusty chaszczowaty pagór, parkany po niczych ogrodach, i z nienacka – o kilkanaście piętér niżej – panorama Dniepru, na odległym drugim brzegu przykrojona szpetnym blokowiskiem.

Stok w zaułkach za wąskich, za pochyłych na swoje ciężkie, czynszowe kamienice. Kiedyś była to strona niespokojnego slumsowego folkloru i knajackich tradycji. Stąd ostatnie pokolenia chałcziarzy przeszły za swoim pogrzebem 10 km do Babiego Jaru.

Nad slumsem ramię szubienicy, rozkołtysany dźwąg. Jakie to łatwe: burzyć. Nie ma tamtego Podółu. Prawie nie ma. Buldożer zgarnia mur i bierze się za ściany, szczypiorkowate, bo w zielony drobny rzucik na ostrożnym tle, nawet czyste, wyraźnie po niedawnym malowaniu.

Ruiny, gruz, rozbiórka, koniec czyjegoś świata, ale na skazanym murze reklama *Carlsberg Beer*. I gigantyczna plansza coca coli. I na plakacie panienka z przymrużonym okiem oblizuje wargi. „Najpierw mentos, potem całus”. To już ten nowy, skapitalizowany Kijów. Nieopodal – restauracja „Apołto” zaprasza na delektowanie się „najlepszą włoską kuchnią w mieście... świeże *frutti di mare*, dostawa co tydzień z Francji... *a clasical atmosphere...*” (jak się dodaje – koniecznie po zagranicznym – w anonsach. My też na to chorujemy.) Zrobiło mi się ciepło koło serca, gdy przeczytałam, że równie gatunkowa „Impressa” przy Sahajdacznego („5 minut drogi z Chreszczatiku w dół, na Podół”) serwuje drinki i zakąski od północy aż do odejścia ostatniego gościa.

No proszę, gościa się nie wyrzuca, na gościa się czeka... i do tego doszli? Może nawet nie ma już o najlepszej obiadowej porze przerw na obiad dla kelnerów? Rewolucja.

Z powodu takiego „pererywu” walczyłam kiedyś o swoje prawa w restauracji, głównie cudzoziemcom służącego, hotelu „Ukraina”. Wyleciałabym z hukiem, gdyby nie kelnerka, która wybroniła mnie od drugiej, bez ceregieli odpychającej

mnie od drzwi z uwagi na zbliżającą się porę przerwy. „Zostaw, ona moja!...” (bo jadłam raz przy jej stoliku). I opiekuńczo: „Chodź, słoneczko, ja pozwalam”. I bez pytania, co zamówię – talerz uchy, potem kotlet po kijowsku. I nawet nie na złość tamtej, bo w najlepsze dalej pytlowały.

Nie sądziłam, że wrócę na Podół kapitalistyczny. Gospodarze ulokowali mnie przy placu Kredytowym, na wprost od młodziwego, wykolorowanego „uzwisu” Andronikowskiego, z jaskrawą cerkwią św. Andrzeja na ostrej górcie. Tu Kijów trochę przypomina Płowdiw i tamtejsze Trimoncjum. Niby daleko od współwłaścicieli Czarnego Morza, ale na Ukrainie Bułgarów nie brakuje i wyobrażam sobie, że i tutaj, w starych domach kupieckich, obok przesadnie wypacykowanych gramofonów i lamp w połciach złocen, na tureckich rozległych otomanach, pyszniły się poduchy do ospałej bezczynności, do przesłodzonej gnuśnej siesty.

Dzielnica w liftingu, a po prowułkach chmary psów. Właśnie tak. Już nie stada. Chmary. Nie zagrożą człowiekowi. Przyuczone do niełaski i pokory, natychmiast schodzą z drogi. Patrzą, ale na nic nie liczą. Są tak głodne, że zlizują kurz. Niestety, i to bułgarski widok.

Mieszkam w Mohylansko-Kijowskiej Akademii, najstarszej uczelni wschodniej Słowiańszczyzny, nazwanej tak od założyciela. Metropolita Piotr Mohyla żył w XVI wieku, jego szkoła obok duchowieństwa po schyłek XVIII stulecia kształciła również ludzi świeckich. Uniwersytet Szewczenki jest większy, ale z mniejszymi tradycjami. Akademia, w Związku Sowieckim na długie lata przekształcona w Wyższą Szkołę Marynarki Wojennej, dzisiaj znowu kształci historyków, filozofów. Prowadzi kilka filologii, w tym polską. Można tu studiować ekonomię i politologię, socjologię oraz ekologię, trochę już respektowaną po katastrofie w Czernobylu.

Dobre, spokojne miejsce. Ten kątek Kijowa uporczywie kojarzy mi się z Wilnem. Kamienica – trzy drakońskie piętra, na których ostatni raz chyba świeciło się przed Wielką Październikową, bo żaden lokator nie pamięta żarówki nad schodami, ma swoje zalety. Nawet nie razi w zakolu Mohylańskiej, w stonowanej staroświeckiej scenerii białych murów i ciemnych kasztanów, nad jasną, szeroką, godzinami o

tej wakacyjnej porze roku pustą, nasłonecznioną przestrzenią dziedzińca, w którego głębi tkwi szerniały krzyż w wianku nieśmiertelników długo już martwych, sądząc po kolorze. Upatrzyłam sobie ławkę na wprost głównego budynku i co widzę. Fronton Akademii przyozdabia komiśna, jaskrawa mozaika. Wsparte sierpem i młotem, spowite w zwyczajowe kłosa, podpisane imieniem, ojcostwem i nazwiskiem dwie sentencje. Pierwsza: uczyć się, uczyć się, uczyć się. Druga, też leninowska: że partia to rozum, chwała i już nie mogę doczytać, co jeszcze trzeciego od partii dla epoki.

Dołem – antysowieckość, górą – po staremu? Nie znoszę nachalnej symboliki, a jednak, jednak...

U nas taka pozostałość nie do pomyślenia, studenci by ją zmiotli. Myślę, że i na zachodniej Ukrainie zostałyby z mozaiki kupa gruzu.

Ano tak, tyle że tu już nie zachodnia, a środkowa.

Po sześciu wolnych latach w stolicy państwa – wreszcie wolnego państwa – Ukraińców, oglądam nietknięte symbole sowieckiej państwowości. Pozostawiono tablice na budynkach parlamentu, rządu. Oszczędzono pomniki. Nie trzeba telepać się po Gródkach Podolskich, by wypatrzeć Lenina. Iljicz niezachwiany, spiżowy, wskazujący jedynie słuszny kierunek (jak w żarciku księdza Franciszka „prosto, towarzysze... prosto... i na lewo...”) tkwi w reprezentacyjnym punkcie miasta, na skrzyżowaniu Chreszczatyku z Bulwarem Szewczenki. Moja nowa znajoma, nauczycielka Ałła Debeluk broni honoru kijowian. Przedtem w mieście było nawet dwóch Leninów, tego spod poczty już wywieźli... Ja: Ale drugi został! Nie przeszkadza jej. – *A toj poki szczo stoit* – zgadza się pogodnie, chociaż działa w komisji „ukrainizującej” szkolnictwo drastycznie zrusyfikowane. Pobłaźliwy stosunek do Iljicza wykazuje również jej córka, Mirosława, studentka pierwszego roku cybernetyki (dostało się 175 osób, czyli połowa chętnych. Pierwszeństwo mieli „olimpijczycy”. Najpopularniejsza była filologia angielska, potem prawo, ekonomia).

Mirosława o sobie: Jak rozumiem demokrację? Powinny być różne partie, swoboda wypowiedzi... no i przede wszystkim niech nikt nie stoi za plecami, nie zapisuje co usłyszał...

Pamięta, że płakała, gdy tłum po raz pierwszy poniósł niebiesko-zółty sztandar spod sofijskiego soboru na

Chreszczatik. Setki ludzi płakały z radości. „Miałam 14 lat, już nie byłam dzieckiem. Co nas ochodził pomnik?”

Nie mogę się w tym wyznać, nie umiem się pogodzić. Biorę w obroty Igora, studenta ostatniego roku ekonomii, „genetycznego” inteligenta, w którego rodzinie system zapisał się dwiema egzekucjami na przestrzeni piętnastu lat. Pradziadka ze strony matki, głównego ekonomistę w Krasnodarskim Kraju, tytułowanego przez przyjaciół Piotrem Wielkim (miał na nazwisko Wielikij) rozstrzelano w 30-tych latach. Igor nie przeczytuje oskarżenia. Po co? Przecież już to zrobił wymieniając dekadę. W 30-tych latach... I więcej nie trzeba.

Dopóki Związek Sowiecki trwał – karano. Częściej lub nieco rzadziej, ciężiej lub trochę lżej, ale bezustannie. Szły dekady śmierci. W kolejnej – czyli już w 40-tych latach – zginął dziadek Igora ze strony ojca, rozstrzelany za to, że sam się nie zastrzelił. Podczas Wielkiej Ojczyźnianej, w okrażeniu, nie popełnił zalecanego samobójstwa, pozwolił wziąć się do niewoli.

Igor (jak na złość zgubiłam akurat jego nazwisko) jest nie tylko inteligentem. Jest inteligentny. No, myślę sobie, przynajmniej jemu nie trzeba tłumaczyć, co mam przeciwko „drogowskazowi” z Chreszczatyku. Pomyliłam się. Igorowi pomnik nie przeszkadza. Ani pomnik, ani inskrypcje na dachu Mohylańskiej. Serio? Oczywiście, że serio. Patrząc osłupiała. A chłopak z całą naturalnością „To nasza historia”.

Krzysztof Czyżewski w paryskiej *Kulturze* (6/97) podkreśla kapitalny, a niechętnie dziś zauważany pewnik. Otóż poprzedni system „...wprawdzie w sferze ideologii zwalczał tożsamość narodową, w praktyce jednak ugruntowywał dominację myślenia narodowo-państwowego”. Po mojemu to jeszcze bardziej pasuje do satelitów Związku Sowieckiego, przede wszystkim do Polski. „Moczarowizna” w 68-ym dała przykład kulminacyjny. Na Ukrainie myślenie „narodowe” wysupłane z folklorystycznej bibułki, znaczyło: rosyjskie.

Konstatacje Aleksandra Czyпки z Rosyjskiej Akademii Nauk publikowane w *Politycznej Dumce* odnoszą się do Rosji, ale równie mogą dotyczyć Ukrainy. Jak pisze: „Od 1993-go (...) antykomunizm i krytykę sowieckiego reżimu przyjmuje się jako oznaki krótkowzroczności politycznej. (...) Polityczny realista, Jelcyn, utrzymał wszystkie święta z czasów

komunizmu, nie wyłączając obchodów rocznicy Wielkiej Rewolucji Październikowej. Ostatnia decyzja Jelcyna w tej dziedzinie, rehabilitacja czerwonego sztandaru jako symbolu zwycięstwa ludzi sowieckich w II wojnie światowej, raz jeszcze poświadczyla jak silna jest tendencja do rehabilitacji wartości i symboli sowieckiej historii...” Z której to taktyki, dodaje autor, jak na ironię losu Jelcyn z Czernomyrdinem zdążyli się wycofać.

Zdaniem Czyпки „Wszystkie demokratyczne rewolucje we wschodniej Europie 1989 bazowały na idei odbudowy. Brały początek z ludzkiego pragnienia powrotu do narodowych korzeni, do historii, przerwanej przez komunizm. Dla kontrastu – pierestrojka i zmiany zainicjowane przez załamanie się Związku Sowieckiego w grudniu 1991 były kontynuacją komunistycznej historii państwa sowieckiego, wspierały się na symbolach i wartościach uznanych przez sowieckie społeczeństwo. Ten szczególnie fakt jest źródłem trudności w zrozumieniu sytuacji w postsowieckiej Rosji” – stwierdza autor. „Podobne, czy te same były tylko konsekwencje załamania się rosyjskiego totalitaryzmu: gwałtowny przypływ wolności, zniesienie cenzury politycznej (ja wolałabym mówić o instytucjonalnej – przyp. mój), wolność prasy, system wielopartyjny. Natomiast co do intencji zmiany, różnice są fundamentalne, mimo to nie dostrzegane na Zachodzie. Podczas gdy inne społeczności wschodnioeuropejskie były zainteresowane w powrocie do swojej narodowej tożsamości z okresu przedkomunistycznego, to Rosjanie jak gdyby chcieli – przynajmniej w pierwszym odruchu chcieli – odciąć się od kontynuacji, skreślić wszystko co obciążało naród”.

Igor jest pierwszym spotkanym przeze mnie Ukraińcem, który nie odczuwa biedy, przeciwnie. Łączy studia z nie najgorszą posadą w zagranicznej firmie. Lubi pieniądze, ale nie modli się do nich. Temu chłopcu potrzebna jest wiara. Pouczający kontakt. Chłopak nie zgadza się z nastrojami totalnego potępienia, z prostacką antysowieckością. Urodzony już w bardzo złagodzonych czasach, jakoś odsunął od siebie cienie rozstrzelanych przodków.

Dzisiaj młodzież jest zdezorientowana, mówi Igor. Ludzie boją się uczuć, maskują się narkotykami, szukają wyjścia w zbrodni. Totalna samotność. Dawniej była idea. Myśle-

liśmy podobnie, nie wybierając, nie znaleźmy wyboru, ale to miało sens. Teraz dowiadujemy się, że nasze życie było szare, zmudne, kajdaniarskie. Skąd mogliśmy wiedzieć? Człowiek wie, jeżeli porówna. Nie, ja nie odczuwałem niewoli.

Pamięta, jak zadzierał nosa, jaki był ważny i wspaniały w krawacie pioniera. Pamięta swoje dławiące przerażenie, czy nie wyrzucą go z organizacji, gdy ostrzeliwując ściany grochem, strącił portret Lenina.

I to nie był strach przed odpowiedzialnością, jeszcze nie. Po prostu miał osiem lat i po raz pierwszy wyobraził sobie samotność.

Tego orwellowskiego trzonu sprawy polscy autorzy raczej unikają, a w każdym razie lęklawie obchodzą się z tematem; w przeciwieństwie do Ukraińców. Jednak w swoim szkicu „Epoka postkomunistyczna” profesor filozofii, zamieszkały w Monachium Aleksander Zinowiew, wskazując na potrzebę rozróżnienia pomiędzy komunizmem jako ideologią, teorią, a komunizmem – jako sposobem organizacji społeczeństwa, pisze: „Przyjęto się uważać, że wszystko, co zaszło w trakcie minionej dekady w Związku Sowieckim i krajach bloku sowieckiego, dowodzi bankructwa tego systemu społecznego. Uważam, że takie podejście jest fałszywe.”

Jego imiennik z Rosyjskiej Akademii Nauk nazywa rzeczy po imieniu. „Ludzie nie byli głodni: mieli zatrudnienie. Ich podstawowe życiowe potrzeby były zaspokajane, i zagwarantowane (...) Brakowało praw i swobód demokratycznych, które propaganda zachodnia ogłosiła najwyższymi wartościami ludzkiej egzystencji. Początkowo, obywatelom krajów ekskomunistycznych wydawało się, że będą mogli (po zmianie systemu – przyp. mój) korzystać z tych dobrodziejstw, utrzymując wszystkie korzyści związane z dotychczasowym stanem posiadania. Jednakowoż z załamaniem się systemu komunistycznego stracili wszystko co posiadali wcześniej. Doświadczyli gospodarczego nieporządku, inflacji, upadku oświaty i kultury, ideologicznego chaosu, moralnej degradacji i wzrostu przestępczości. Głównych problemów dostarczyła troska o przetrwanie... W tych warunkach wspomniane walory demokracji po prostu straciły jakiegokolwiek praktyczne znaczenie.” Ten swój niezwykle interesujący wywód, spisany jeszcze w 1993 roku, Aleksander Czyppko kończy konkluzją, że epokę

postkomunistyczną równie dobrze można nazwać postdemokratyczną. Obydwa tytuły usprawiedliwione.

Komunizm, kapitalizm... Z badań zleconych przez Bank Światowy wynika, że połowa Ukraińców nie ma zdania, który ustrój gorszy, w drugiej – większość jednak wolałaby stare porządki (w sklepach mniejszy wybór za to ceny niższe). Pozostali godzą się z droższą rekompensowaną brakiem ograniczeń i kolejek.

Ukraina: czas adaptacji. Temperatura zmiany tak przyjemnie odczuwalna w gabinetach intelektualistów – i niewzruszona społeczna. Eseje, dysputy o epoce postkomunistycznej, i nieporuszone jeszcze złoża komunistycznych obciążeń i nonsensów w codzienności kraju. Państwa!

Ukraina, kliniczny przykład społeczeństwa zaskoczonego przez historię. Jeżeli w „demoludach”, czyli w krajach satelitarnych, jednak trzymany przez Rosję na znacznie dłuższej smyczy – i zaczynając od Polski – w luźniejszej obroży, przygotowanie do zmiany, przemyślana, a nie tylko emocjonalna jej potrzeba, okazały się wątpliwe, to czego wymagać od narodu poza incydentami nie znającego państwowości, zniewolonego w stopniu niewyobrażalnym dla Polaków?

19-letnia Marina Kuzniecowa jest Ukrainką nie tylko z urodzenia, ona poczuwa się do ukraińskości, ale muszę pamiętać, że niepodległość zastała nastolatkę, raczej zaciekawioną niż zainteresowaną zmianami. Tam u nich, w Zaporozżu, w Doniecku, trudno mówić o jednoznacznych reakcjach, wolność nie przyszła w atmosferze święta, właściwie to więcej było zaskoczenia niż radości. U wszystkich. Dopowiadam: u wszystkich niby Rosjan i prawie Ukraińców? Marina potwierdza. „Nastroje... Młodziem raczej chciała własnego państwa, na ogół tak. Z początku nie mogliśmy się połapać we wszystkim. Co do rodziców, u nas w domu głównym politykiem zawsze był ojciec, który uznał, że Ukraina może i powinna utrzymać zdobytą niepodległość więc matka przyjęła jego punkt widzenia. Cóż jeszcze... Tak znów często to do tematu nie wracali.”

Wyczuwa, że chciałabym usłyszeć znacznie więcej, chce mi pomóc, biedaczka jakby się usprawiedliwiała ze swojej nieuważnej młodości. „Ja się może urodziłam za późno.

Dłużej żyjąc w tamtym systemie z pewnością wiedziałabym więcej”. Na swoje szczęście nie wie.

Terror? Totalizm? Energicznie potrząsa głową. „Myśmy nie odczuwali”. Czy to możliwe? A łagry? Archipelag Gułag? „Jeszcze nie czytałam”.

Jest ze mną szczerą, chce pomóc, nie chce zmyślać. O łagrach dawniej nie słyszała. Łagry... Może były rozmowy w rodzinach, w których to się zdarzyło. Nie w jej domu. Nigdy. Szuka słów, żeby mnie przekonać. „Proszę pani, ludzie u nas nie czuli się zniewoleni, niech pani w to nie wierzy. Była wiara, na pewno: jedna, głęboka wiara w partię. Ludzie ślepo wierzyli. To pamiętam”.

Córka dyrektora spółki akcyjnej i dispeczarki w tym samym przedsiębiorstwie, studiuje *management*. A nie można by powiedzieć: *uprawlenie*? Zdaniem Mariny nie można, bo to nie to samo.

Ma posadę, zarabia 110 dolarów miesięcznie, dwukrotnie więcej niż jej matka, ale na rękę dostaje połowę. Podatki.

Oczywiście, że pomagają jej rodzice, przecież z tych 110 zostało 10, gdy kupiła dzinsy. Druga pensja poszła na buty z bazaru, czyli mimo wszystko tańsze niż w sklepie. Rzecz prosta, mówimy o butach, które można włożyć jadąc do Polski i nie narazić się na politowanie.

Nie ma łatwego życia. Czas wyliczony jak gotówka. Dzień między biurem i uniwersytetem. Powrót późnym wieczorem, nawet już się nie chce jeść kolacji tylko upaść na łóżko i spać... spać...

To u nas rozrasta się irytująca tendencja do wyrzucania z życiorysów żenującego – dzisiaj! – epizodu. U nich jeszcze się w to nie gra. Starzejąca się oficersza z Mariupola, studenci z Zaporozża, Kijowa, Odessy z całą naturalnością mówią o *idei*. Nie czuli się niewolnikami. Ja, z niedowierzaniem: nie przeszkadzało wam, że żyjecie w totalitaryzmie? Marina, też z niedowierzaniem: dlaczego – w totalitaryzmie? Myśmy tego tak nie odbierali.

System doskwierał jednostkom, które płaciły cenę tym dotkliwszą, że niezauważalną dla ogółu. I o tym trzeba mówić, jeśli się chce unaocznić prawdę, a przynajmniej część prawdy, osiągalną dla patrzących z boku. Jeśli się próbuje zrozumieć co rzeczywiście oznaczała tak lekko i przy naskór-

kowych okazjach anonsonowana w naszej publicystyce sowiezycznej społeczeństwa.

Była jedna wiara... Dla nich to nie znaczy źle, dla nich to nadal w porządku. Okna na świat otwarte, drzwi do świata uchylone, widzi się, porównuje, wyciąga wnioski – i znowu w jakimś najmniej spodziewanym momencie wraca deklaracja, która jak infekcja pełźnie za mną od Mościsk, od pierwszego dnia we Lwowie, którą powtarza się tym częściej, im głębiej na wschód, na południe kraju: było lepiej. Było z czego żyć, usłyszę w Zbarażu. Było w co wierzyć, dowiem się w Kijowie. Uporczywe, natrętne lepiej. Ze względu na talerz zupy i kawałek chleba. Ze względu na idee.

Wygodę jednej wiary reasumuje socjolog: *Rańsze liudi poczuwałysia kraszcze, tomu szczo kożen znał, jak czynity prawilno*. Według mnie – ma rację Aleksander Czypkó zauważając, że nie można się oprzeć porównaniu utopii marksistowskiej „z nowym, demokratycznym mesjanizmem”. Zachód bardzo się pospieszył identyfikując rozpad państwa sowieckiego z zaistnieniem demokracji i obywatelskiego społeczeństwa w Rosji. „Obalenie represyjnych mechanizmów komunistycznych było utożsamiane z finałem komunizmu jako systemu społecznego...” – pisze Rosjanin przyjmując, że takie rozumowanie dało podstawę romantycznym oczekiwaniom... stop. To brzmi zbyt znajomo. Jak się okazuje, nie tylko u nas liczone, że z przestrzeni postsowieckiej niejako automatycznie wyrośnie republika prezydencka wzorowana na Stanach Zjednoczonych.

Głębokość zakoczyła Rosję. Inteligencja rosyjska w żadnej mierze nie była jeszcze przygotowana do rewolucji antykomunistycznej... A która była – chciałoby się dodać. Czypkó wskazuje na przeszkody w przebudowie kraju, które stwarza właśnie inteligencja wychowana na dziesięcioleciach sowieckości. Mówimy o szczególnym społeczeństwie, inny świat. Przypominając nastroje posłuszeństwa, apatii społecznej, cichego godzenia się ze wszystkim co niesprawiedliwe, autor zauważa, że tak jak kiedyś „żadna zewnętrzna siła nie zmuszała Rosji do przyjęcia komunizmu. To był system wybrany (...) przez zwycięzców w wojnie domowej”, tak i współcześnie Rosjanie najzwyczajniej nie byli jeszcze przygotowani do takich lekcji historii, które wymogła na nich

gorbaczowowska głośność. Dekomunizację poprowadzoną metodą szokową, zatem wyidealizowany program prywatyzacji, zatem niekontrolowane poparcie dla postsowieckiego systemu parlamentarnego, uznano – również Zachód uznał – za wystarczające gwarancje autentyczności demokratycznych reform w Rosji.

Bardzo ciekawy szkic. Zdaniem autora „pierestrojka była to typowo rosyjska, carska reforma z wysoka”. Przedstawiając kolejne jej etapy Czytko konkluduje: „To w czym Zachód widział fundamentalny ruch demokratyczny w Rosji (...) było, bardziej w gruncie rzeczy (...) rewoltą przeciwko władzom i państwu, niż dążeniem do demokracji i praworządności”. Autor szkicu przypomina, że zarówno w samej Rosji jak i na Zachodzie zignorowano fakt, iż ludność jest głęboko zawiedziona demokratycznymi reformami nieskutecznymi w pięć lat po rozpoczęciu pierestrojki. „Ponieważ te reformy nie sprawiły, by życie stało się lepsze dla rosyjskich chłopów i robotników, Rosjanie w większości nie protestowali przeciwko zamachowi stanu w sierpniu 1991...” Ogólnym rozczarowaniem można wytłumaczyć tak szeroką zgodę na odejście od władzy Gorbaczowa. A wracając do zamachu stanu – kraj uznał sprawę za rozgrywkę sił moskiewskich – i tylko moskiewskich. Korzyści ani strat dla społeczeństwa w tej grze nie wypatrzone.

Nie tylko z przyczyn „organizacyjnych” (my jednak byliśmy państwem odrębnym, przy wszystkich zależnościach) ukraińskie wydostanie się z kolonializmu nie daje się porównać z ewenementem polskim. Zdaniem Zbigniewa Brzezińskiego żadne wewnętrzne procesy nie wpłynęły na wyzwolenie Ukrainy. Kto tak twierdzi, sieje mit. W *Politycznej Dumce* Brzeziński napisał: to państwo powstawało bez jakiegokolwiek oparcia o własną przeszłość. Nie było cienia precedensu. Żadnej teorii. Pustka. Gospodarze sądzą, że oczekiwania po obydwu brzegach – w dawnych państwach komunistycznych i tak samo na Zachodzie – były za wysokie, i raczej naiwne. Klimat nadziei na mannę z nieba, na powtórkę planu Marshalla, udzielił się i społeczeństwu.

Katapultą w niepodległość. Uwolnienie się od obcej dominacji – i co dalej?

Brzeziński widzi Ukrainę jako kraj, którego niepodległość

jest nadal zagrożona, dalszy bieg wypadków – jeszcze nieprzewidywalny.

W redakcyjnych panelach *Politycznej Dumki* bierze udział czołwka ukraińskich historyków, ekonomistów, socjologów. Ciekawy był „okrągły stół” na temat postkomunistycznej Ukrainy w poszukiwaniu trzeciej drogi. Jedno ze znamienych pytań: czy aby od komunistycznej totalitarnej Ukrainy nie przejdziemy do państwa neototalitarnej Ukrainy (naczelnik redaktor *Dumki*, Wołodimir Połochało). Jaki model socjalnego bezpieczeństwa i gospodarczej równowagi byłby lepszy, co wybierze Ukraina: czy oprze się – jak większość krajów Wspólnoty Europejskiej – na wzorcach wartości socjalistycznej, a nawet przy wszystkich wadach modelu, czy też będzie ciążyła ku systemowi kapitalistycznemu, wzorowanemu na Stanach Zjednoczonych? (Wasyl Tkaczenko, historyk).

Mówiąc o gospodarczej katastrofie, do której doprowadziły Ukrainę i poprzednie, i obecne rządy, przypomniano o swoistym kredowym kole: wprawdzie opinia publiczna jest przychylna rynkowej gospodarce, niemniej sytuacja, jak na razie, wygląda tak, że posiadacze własnego biznesu stanowią bardzo niski procent społeczeństwa, zaś 20-30 % dopiero nosi się z zamiarem otwarcia przedsiębiorstwa.

Zdaniem autorów *Dumki* wyobraźnia społeczna zatrzymała się na kapitalizmie sprzed rewolucji. Trzy czwarte ukraińskich robotników trwa w przekonaniu, że państwowa własność przejdzie w ręce garstki reprezentantów jakiejś społecznej wierzuszki, zaledwie co dziesiąta zakłada, że właścicielami stanie się większa część ludności. (Wołodimir Wołowycz, Serhij Makajaw, socjolog).

Dlaczego Ukraińcy tolerują władzę, której tak nie lubią? – zatytułował swój tekst Mykoła Horełow, ekonomista, politolog. „Przeciętny Ukrainiec polityką się nie interesuje. Może to reakcja na czasy, kiedy była ona aplikowana obywatelom inwazyjnie, wdzierała się jak pocisk w każde prywatne życie. Lata władzy sowieckiej zniszczyły fizycznie dziesiątki milionów najaktywniejszych grup społecznych i wprowadziły do genetycznego kodu pozostałych obywateli wirusa zrezygnowanego posłuszeństwa. Powstaje pytanie (pisze dalej Horełow) czy na Ukrainie, przy jej braku społeczeństwa oby-

watelskiego, jest możliwe odsunięcie od steru państwa skorumpowanej rządzącej elity?"

Ukraina 1997. Notuję ciekawe sprzeczzenie Brzezińskiego: głosują na postkomunistów, żeby nie głosować na nowobogackich.

Anna STROŃSKA

Ukraina po wyborach

Ukraińskie wybory do parlamentu nie przyniosły wydatnej zmiany w klimacie politycznym państwa. Sytuacja jest nadal pogmatwana, awantury – nie tyle międzypartyjne ale międzyklanowe – dalej dominują nad sprawami programowymi. A nad przepychankami zawisło nagle złowrogie widmo morderstw politycznych. W windzie kijowskiego domu mieszkalnego został zabity seria strzałów z pistoletu jeden z najwybitniejszych finansistów Ukrainy, były dyrektor Banku Narodowego, a ostatnio kierownik giełdy, Wadym Hetman. Wieść o tym morderstwie wstrząsnęła całą Ukrainą. Nie znaczy to, że dotychczas nie było zabójstw na zamówienie. Było tego dosyć, chociaż nie w tych rozmiarach, jak w Rosji. Ginęli od zamachów głównie przedsiębiorcy i dziennikarze. Chociaż obydwa zawody nie mają wiele wspólnego, ale jakiś wspólny wątek chyba istniał. Usuwano albo niewygodnych konkurentów albo zbyt wścibskich reporterów i redaktorów. Przed zabójstwem Hetmana był już podobny mord w ubiegłym roku. Wtedy zastrzelono liberalnego polityka i przedsiębiorcę Jewhena Szczebania w centrum ciężkiego przemysłu – Doniecka.

Wadym Hetman, którego inicjały widnieją pod ukraińskimi banknotami hrywny, był figurą niecodzienną. Pochodził z Połtawy, a zawodowe życie związane z gospodarką zaczynał w Umaniu i Zaporozżu. Od komunistycznego aparatu trzymał się stale z daleka, a po ogłoszeniu niepodległości zajął

się organizacją bankowości. Był jednym z pierwszych prezesów Banku Narodowego, a w parlamencie stał na czele komisji finansowej. Potężnej budowy, z grzywą siwych włosów i z niezależnymi poglądami, był wyjątkiem na tle ogólnej szarzyzny i przeciętności. W ostatnich wyborach przeciwstawił się energicznie ordynacji wyborczej łączącej prawo większościowe z proporcjonalnym. Zażądał wyłącznie zasady większościowej. Ale nie to przesądziło o jego śmierci.

Chyba chodziło o zniechęcenie zagranicznych bankierów do inwestycji na Ukrainie, bo mord odbył się krótko przed posiedzeniem kilkuset członków Europejskiego Banku Rozwoju w Kijowie. Jeżeli mordercom tylko o to chodziło, to plan się udał. Ale w życiu politycznym Ukrainy powstała ogromna luka. Teraz wszyscy się dziwią dlaczego nie chciał mieć ochrony. Może czuł się naprawdę hetmanem niezależnej myśli.

Wyniki głosowania w końcu marca widocznie nikomu nie pasują. Ani tym, którzy przeskoczyli czteroprocentową poprzeczkę, ani tym którzy zostali poniżej zapory. Komuniści, którzy nabierali najwięcej głosów, pomstują na inne partie lewicowe, a szczególnie na te, które im odebrały klientów spośród rzeszy weteranów i rencistów. Nie ziściły się sny o absolutnej większości. Stu jedenastu posłów wybranych głównie głosami starszego pokolenia i bezrobotnych w regionach ciężkiego przemysłu w Zagłębiu Donieckim – to dużo, ale na miarę ogółu 450-ciu deputowanych – za mało, aby narzucać swoją politykę Werchownej Radzie. Niezadowoleni są też i socjaliści i to z rozmaitych przyczyn. Po pierwsze nie zdobyli tylu mandatów jak sobie obiecywali, a komuniści, z którymi zawierali coś w rodzaju wspólnoty interesów zaczynają ich lekceważyć. Wypowiada im też posłuszeństwo Partia Chłopska, w istocie stronnictwo dyrektorów kołchozów, która zawarła z socjalistami wyborczy sojusz. Wierzga mała, ale agresywna Postępowa Partia Socjalistyczna pod władzą atrakcyjnej i wojowniczej Natalii Witrenko. Słowem ukraińska lewica nie stanowi jednolitej politycznej siły, ale może na podstawie opozycji przeciwko prezydentowi Kuczynie zmobilizować wraz z innymi ugrupowaniami równie wrogo nastawionymi wobec głowy państwa większość przy wyborach prezesa parlamentu. W ukraińskiej praktyce poli-

tycznej jest to kluczowa pozycja, o wiele ważniejsza i bardziej wpływowa niż na przykład stanowisko marszałka Sejmu w Polsce.

Na razie odbywają się zakulisowe targi i intrygi. Gra ta potrwa jeszcze trochę, tym bardziej, że wciąż jeszcze trwają przegrupowania w składzie frakcji partyjnych. Chodzi o to, że większość posłów uchwaliła nowy regulamin dla parlamentu, który zabrania tworzenia zjednoczeń poza istniejącymi stronnictwami politycznymi. Ale do Werchownej Rady weszło stu czternastu bezpartyjnych i cały szereg polityków, których partie nie pokonały czteroprocentowej zapory, ale ich liderzy weszli z okręgów jednomandatowych. Minimum dla utworzenia frakcji ustanowiono na liczbę osiemnastu członków. Niektórzy bezpartyjni zwrócili się ze skargą do Trybunału Konstytucyjnego. Ale większość z nich zaczęła się rozbiegać pośród istniejących grup partyjnych. Na skutek tego napęczniała niespodziewanie dotąd słaba frakcja „partii władzy” mianowicie Partia Ludowo-Demokratyczna, skrzętała z tego również Partia Socjaldemokratów i trochę – Ruch oraz Partia Zielonych.

Ale prawdziwy kac panuje pośród tych dwudziestu kilku partii i ugrupowań, które przegrały. Najłagodniej przeżyły klęskę tę stronnictwa na wschodzie Ukrainy, które propagowały nowy rusofilizm i silniejsze powiązania z Moskwą. Wielki galimatias panuje wśród demokratów i liberałów, którzy po raz pierwszy znaleźli się za murami parlamentu. Takich partii i partyjek jest cały tuzin. W ich szeregach kipi atmosfera złości. Baza partyjna oskarża kierownictwa stronnictw. Na najbliższych zjazdach partyjnych dojdzie do gwałtownych awantur i chyba do wymiany liderów.

Najostrzej przebiega debata na temat klęski wśród nacjonalistów. Tworząc koalicję trzech grup pod wspólnym mianem Narodowego Frontu, a w rzeczywistości pod kuratelą byłych banderowców z OUN, ich przywódcy propagowali fantastyczną koncepcję narodowej samowystarczalności w zupełnym oderwaniu od rzeczywistości i dostali za to kopniaka od wyborców. Ukraina Zachodnia czyli dawna Galicja i dawny Wołyń oraz Bukowina pozbyły się nacjonalistycznego przywództwa i przeszły na stronę Ruchu i rządowej Partii Ludowo-Demokratycznej. Na placu boju pozostała niezniszczalna widocznie przywódczyni banderowskiej OUN, a obecnie Kongresu Ukraińskich Nacjonalistów, Sława Stečko. Jako najstarszej przedstawicielce przypadł jej zaszczyt otwarcia

parlamentu. Cóż za paradoks. Nacjoniści zwalczyli niedgys parlamentaryzm, a teraz taka wolta.

Sytuacja przypomina syndrom polski z roku 1993, kiedy to większość stronnictw znalazła się poza Sejmem. Powtórzyło się to prawie dokładnie na Ukrainie. Siedem milionów wyborców czyli jedna trzecia głosujących oddała swe głosy na marne. I podobnie jak wówczas w Polsce odbywa się teraz publiczne i zakulisowe rozszczepianie włosa. I zgodnie z tradycyjną ukraińską niezgodą nikt – oprócz kilku publicystów – nie chce przyznać racji przywódcy Ruchu, Wiaczesławowi Czornowołowowi, który nawoływał do zjednoczenia wszystkich demokratów.

Bohdan OSADCZUK

POLONIKA BIAŁORUSKIE

W dniu 18-go maja 1998 Białoruski Związek Pisarzy zorganizował uroczystą prezentację książki wydanej z okazji 200-lecia urodzin Adama Mickiewicza pt. „Filomaci i filareci”. W prezentacji zabrali głos: Radzim Garecki – akademik Nacjonalnej Akademii Nauk, prezes Zjednoczenia Białorusinów Świata „Bačkauszczyna”; Nił Gilewicz – pisarz narodowy Białorusi; Witaut Kipiel-Maldzis, pisarz, dyrektor Centrum Skaryny; Tomasz Niegodzisz – dyrektor Instytutu Polskiego w Mińsku; Kastuś Cwirka – pisarz.

W dniu 21 maja w Borysowie odbyło się spotkanie nauczycieli języka polskiego i uczniów szkół, w których prowadzona jest nauka języka polskiego, z przedstawicielami Wydziału Konsularnego i Instytutu Polskiego.

W dniu 24 maja w Nowogródce odbył się finał Konkursu twórczości Adama Mickiewicza organizowanego przez Liceum Humanistyczne.

Kronika kulturalna

Moi polscy poeci*

Język polski nie jest moim językiem, tylko tym, który sobie wybrałem. Jeśli mówię, że „wybrałem” to dlatego, że na przykład rosyjskiego musiałem się po prostu nauczyć. Polskiego, na odwrót, nauczyłem się z własnego wyboru i tym się tłumaczy, że znam go lepiej niż rosyjski, na tyle dobrze, że mogłem go uczyć w Anglii. Zawdzięczam to polskiej poezji, która według antologii Alvareza „The Faber Book of Modern European Poetry” (1992) należy do najlepszych w Europie. Nie mam tu zamiaru chwaleń polskiej kultury, chciałbym tylko opowiedzieć o moim osobistym stosunku do polskiej poezji i o tych polskich poetach, których znałem, których tłumaczyłem głównie na węgierski, ale czasem też na angielski i których twórczość omawiałem w licznych esejach. Wiele lat temu napisałem monografię o Norwidzie i uchodzę w świecie za jego znawcę, ale tym razem, chcę mówić tylko o poetach XX wieku.

Pierwszym, którego poznałem, był Tadeusz Różewicz a stało się to w Budapeszcie, trudno uwierzyć jak dawno, bo w 1952 czy na początku 1953 roku. Mało kto z jego czytelników wie, że jako młody stypendysta spędził on rok na Węgrzech i nawet nauczył się trochę mówić po węgiersku, nie na tyle jednak, by się swobodnie tym językiem porozumiewać, ale wystarczająco, by zainteresować się moim krajem. Mówiłem już wtedy po polsku, choć jeszcze nie całkiem płynnie i właśnie wybierałem się do Polski jesienią 1953 na

stypendium, jakie otrzymałem od Węgierskiego Związku Pisarzy. Różewicz, gdy dowiedział się o tym w czasie naszego pierwszego, krótkiego spotkania, zaprosił mnie do siebie do Gliwic, gdzie wtedy mieszkał, zanim przeniósł się na stałe do Wrocławia. Gdy znalazłem się więc w Polsce, po kilku tygodniach, które spędziłem w Warszawie, wygodnie ulokowany w Bristolu, wybrałem się do Gliwic, które były wtedy ponurym miastem. Mieszkałem u Różewiczów, ale niewiele pamiętam z rozmów z panem Tadeuszem (starszym ode mnie o dobrych 13 lat), tyle tylko, że dał mi do przeczytania wybór poezji Norwida i że go mocno przyciskałem, by mi wytłumaczył niektóre niejasne wtedy fragmenty. (Norwid nie jest łatwym poetą i właściwie trzeba poznać specjalny „norwidowski” język, by go dobrze rozumieć.)

Pamiętam jeszcze, że parę dni później w Krakowie, Różewicz zabrał mnie do Biblioteki Jagiellońskiej i przedstawił Julianowi Przybosiowi, który był jej dyrektorem. Nic mi on wtedy nie mówił jako poeta, ale zauważyłem z jakim respektem Różewicz się do niego odnosił. Muszę przyznać, że Przyboś nigdy nie należał do moich ulubionych poetów, ale jako założyciel Krakowskiej Awangardy ma swoje miejsce w historii polskiej literatury i przez to zasługuje na uwagę.

Poetycki styl Różewicza, zbyt prosty, niemal minimalistyczny, także nie bardzo mnie pociągał, dopiero później nauczyłem się cenić go jako poetę i pisarza dramatycznego. Ale w tym samym czasie (1953!) był inny poeta, który zachwyił mnie swym dowcipem i urokiem.

Był nim Konstanty Ildefons Gałczyński, którego dopiero miałem poznać dzięki podstępowi, jakiego użyłem. Po przyjeździe do Warszawy poszedłem do Węgierskiego Instytutu Kultury i znalazłem tam stos egzemplarzy wydanej na Węgrzech antologii współczesnej poezji polskiej. Znałem ten raczej słaby wybór, zrobiony z silnym naciskiem na socjalistyczne aspekty, ale znalazły się tam dwa doskonałe wiersze Gałczyńskiego, jeden z nich „Żołnierze z Westerplatte”, bez wątpienia najlepszy antyfaszystowski czy patriotyczny wiersz w całej antologii. Chociaż podejrzewałem, że Gałczyński nie cieszył się jako poeta specjalnym uznaniem władz komunistycznych (za bardzo był na to cyganem, lub – jak Miłosz

* Tekst wygłoszony w Central European Society w Cambridge.

to później nazwał – dworskim błaznem, którego nie można brać zbyt poważnie) – mnie ten wiersz tak się spodobał, że Gałczyński był pierwszym polskim poetą, którego odwiedziłem, pod pretekstem, że chcę mu ofiarować – jeśli by tego nie miał – kopię węgierskiej antologii.

Gałczyński (jak sporo innych pisarzy) mieszkał w śródmieściu, kilka domów od ambasady brytyjskiej. Kamienica przy Alei Róż (albo – jak Gałczyński to nazywał – „aleja róż i słowików”) należała, zdaje się, do Ministerstwa Oświaty albo do Związku Pisarzy, w każdym razie była przeznaczona na mieszkania dla pisarzy, tak że poza Gałczyńskim mieszkali tam i inni (m.in. Broniewski i Leon Kruczkowski).

Z pewną tremą wchodziłem po schodach, ale od razu poznałem Gałczyńskiego, gdy tylko otworzyły się drzwi i stanął w nich niski mężczyzna o wielkiej głowie, który krótko zapytał: „Tak?”. Szybko podałem moje nazwisko i narodowość, dodając *captatio benevolentiae*: „Jest pan jedynym dziś w Polsce poetą”.

Tak to zaskoczyło pana Konstantego, że natychmiast zaprosił mnie do środka. Dostałem herbatę i poznałem jego wspaniałą żonę, piękną Natalię, a podczas jednej z następnych wizyt jego córkę, Kirę, studentkę rosyjskiej literatury na warszawskim uniwersytecie. Sam Gałczyński był również wielbicielem rosyjskiej kultury i to nie tylko literatury, jak się przekonałem w czasie którejś wizyty, gdy musiałem wysłuchać z nim całego „Eugeniusza Oniegina” Czajkowskiego.

Z naszych rozmów o literaturze dowiedziałem się, że Gałczyński był zafascynowany XVI-wiecznymi poetami, Reyem i Kochańskim, których – jak podkreślił autor „Zaczarowanej dorożki” – więcej obchodziło rzemiosło poetyckie niż polityka.

Nasza rozwijająca się przyjaźń została – niestety – przerwana jego nagłą śmiercią po ataku serca. Stało się to nad ranem, pewnej grudniowej niedzieli 1953 r. Gałczyński zaprosił mnie przedtem na herbatę właśnie na ten dzień i wstrząsnęła mną wiadomość o jego śmierci. Byłem na jego pogrzebie na Powązkach parę dni później. Trumnę niosło czterech mężczyzn, Zagórski, aktor Ładosz i dwóch innych. Gałczyński zmarł mając 48 lat i przez długi czas był najpopularniejszym w Polsce poetą.

Władysława Broniewskiego poznałem na jesieni tego samego roku. Pił już wtedy nałogowo i poradzono mi, bym dobrze uważał na jego zachowanie i gdy tylko zobaczę, że zaczyna być niespokojny i kręcić się, mam zaproponować toast, bo inaczej – jak mi powiedziano – „stary może być dla ciebie nieprzyjemny”. Posłuchałem rady, wielki socjalistyczny poeta polski (który zresztą wołał Jesienina od Majakowskiego) otworzył butelkę wyborowej, położył na stole marynowane grzyby i rozpoczęła się wielka pijatyka, w czasie której Broniewski zaśpiewał mi w nie najgorszej węgierszczyźnie pijacką piosenkę „Szép aszonynak kurizálók”, jakiej nauczył się w Legionach, gdy należały do austro-węgierskiej armii.

Broniewski był dziwną postacią: niezależny komunista o nieskazitelnej przeszłości legionowej i żołnierz w armii Andersa – bardzo polski fenomen.

Bóg jeden wie jak udało mi się znaleźć powrotną drogę do mego hotelu, bo wypiliśmy razem w ciągu wieczoru butelkę wódki. Myślę, że tylko moja młodość i dobre zdrowie uchroniły mnie od poważnego zatrucia alkoholowego. (Dowodem mojej wizyty u Broniewskiego jest egzemplarz jego „Wierszy zebranych” z dedykacją: „Tow(arzyszowi) Jerzemu Gömöri z przyjacielskim uściskiem dłoni. W. Broniewski, Warszawa, 26-X-53”).

Z początkiem grudnia 1953 odwiedziłem także Tuwima w jego mieszkaniu na Nowym Świecie i podziwiałem tam jego nadzwyczajną bibliotekę, ale prawie nie pamiętam o czym rozmawialiśmy. Parę tygodni później i on też już nie żył. Podobały mi się wtedy i dotąd podobają takie jego utwory, jak „Nieznane drzewo” z dźwięcznymi rymami i metafizycznym spojrzeniem. Gdy ćwierć wieku później przygotowywałem do druku wybór moich przekładów z polskiej poezji na węgierski, który ukazał się w Waszyngtonie, zatytułowałem go jak ten wiersz Tuwima: „Az ismeretlen fa”, czyli „Nieznane drzewo”.

Ostatnim Skamandrytą, którego poznałem i z którym dużo rozmawiałem był Antoni Słonimski. Po wojnie wrócił do Polski dopiero w 1951 r. i odgrywał tam znaczną rolę w walce polskich pisarzy z komunistycznym reżymem o zachowanie

wanie artystycznej niezależności. Z pewnych przyczyn, o których nie będę tu wspominał, poznałem go dopiero w 1969 r., czyli wtedy gdy zacząłem wykładać na uniwersytecie w Cambridge. Słonimski, który należał do pisarzy personalnie zaatakowanych przez Gomułkę po Marcu 1968 za ich protest przeciwko metodom policyjnym, stosowanym wobec studentów, był wtedy objęty częściowym zakazem druku. Wiedziałem o tym i gdy znalazłem się w Warszawie w grudniu 1969, spotkałem się z nim i zaproponowałem mu, (z aprobatą Lucjana Lewittera, wówczas profesora na Wydziale Studiów Słowiańskich w Cambridge), by wygłosił tam wykład. Słonimski był już wtedy po siedemdziesiątce, ale wciąż w dobrej formie i był zachwycony moją propozycją, która dawała mu możliwość spotkania dawnych przyjaciół w Londynie. Po różnych perypetiach (i cichej umowie, jaką zawarłem z prof. Seidlerem, ówczesnym dyrektorem Polskiego Instytutu Kultury w Londynie), polskie władze ustąpiły i dały Słonimskiemu wizę. Przyjechał do Cambridge i dał odczyt w Slavic Society. Mówił niezwykle krótko, z silnym akcentem, ale dzięki temu zaproszeniu miał okazję przyjemnego pobytu w Anglii, a ja byłem dumny, że mogłem pomóc jednemu z wybitnych przedstawicieli pokolenia, które po pierwszej wojnie światowej odmieniło polski poetycki język. Słonimski zmarł w 1970 po wypadku samochodowym.

Przed Słonimskim udało mi się poznać jeszcze jednego Skamandrytę – Kazimierza Wierzyńskiego. Stało się to po ogłoszeniu przeze mnie w *Kulturze* dłuższej recenzji z powieści Wojciecha Żukrowskiego „Kamienne tablice”. Pod pozorem miłosnej historii w środowisku węgierskiej dyplomacji, autor zrobił liczne uwagi pod adresem Węgier, które uznałem za powierzchowne lub wprowadzające w błąd. Wierzyńskiemu spodobała się moja krytyka i napisał mi, że chciałby się ze mną spotkać. Szybko odpowiedziałem i zostałem zaproszony przez Wierzyńskich na obiad w lutym 1968. Mieszkali w centrum Londynu, niedaleko Albert Hallu i byli czarującą parą. Pan Kazimierz musiał być za młodu bardzo pięknym mężczyzną i nawet na starość zachował przyjemną powierzchowność, i razem z żoną wydali mi się idealną starszą parą, rodzajem nowoczesnego Filemona i

Baucis. Rozmawialiśmy tego wieczoru na różne tematy, poczynając od współczesnej polskiej poezji do wspomnień Kazimierza o budapeszteńskich pisarzach, z których najlepiej znał poetę i prozaika Dezső Kosztolányi, bardzo przeze mnie cenionego. Wierzyński spotkał się z nim parę razy, nawet go odwiedził w jego mieszkaniu w Budzie, i powiedział coś, co zapamiętałem do dzisiaj: Czy to nie dziwne, że Francuzów można znać przez lata i nigdy nie być z nimi tak blisko jak z Węgrem, którego poznało się przed tygodniem?

Opuściłem Węgry w 1956 r. po „dziesięciu dniach, które wstrząsnęły światem”, jak jeden kronikarz nazwał Węgierską Rewolucję. Nie mam zamiaru zajmować się tutaj tym historycznym wydarzeniem, ani mówić o mojej w nim roli, wystarczy, że wspomnę, że byłem jednym z organizatorów studenckiego pochodu, który dał początek rewolucji z 23 października 1956. Jedynym powodem dla czego o tym wspominał, mówiąc o moich polskich powiązaniach, jest fakt, że nasza węgierska demonstracja była wyrazem poparcia dla demokratyzacji Polski i towarzyszyły jej polskie flagi i slogany takie jak „Polska wskazała nam drogę / wstąpmy na własny węgierski szlak!” O moich wtedy przeżyciach pisałem swego czasu i teksty te zostały ogłoszone w książce „Eseje w *Kulturze*”, opracowanej przez Leopolda Tyrmanda.

Obok tej wzmianki o polskiej inspiracji początków rewolucji węgierskiej, myślę, że warto tu wspomnieć o powstałej wtedy mojej wieloletniej przyjaźni z Wiktorem Woroszyńskim. Znałem go z Warszawy, ale tylko raz spotkaliśmy się tam. Kiedy młodzież walczyła z sowieckimi tankami na ulicach Budapesztu, Wiktor przyjechał z grupą polskich dziennikarzy, aby zobaczyć co się dzieje. Jego wrażenia, które ukazały się w krótkiej książce „Dziennik węgierski” – później klasyk polskiego samizdatu – były jedyną relacją naocznego świadka, nie pochodzącego z Zachodu, który przedstawił sytuację obiektywnie, choć z wyraźną sympatią dla Węgrów. Występuję w jego opowieści jako „młody student”, który oprowadza go po zburzonych ulicach Budapesztu parę dni po drugim rosyjskim najeździe i zakończeniu walki. Wiktor napisał wiele wierszy na temat Węgier i węgierskiej rewolucji, przetłumaczyłem większość z nich i cie-

szylem się, gdy w 1993 r. Woroszyński odwiedził wolne już Węgry i z rąk Prezydenta Republiki otrzymał medal imienia Imre Nagya.

W tym miejscu wspomnę jeszcze, że poeci z żadnego kraju nie zareagowali tak żywo i spontanicznie na wydarzenia węgierskie 1956 r. jak Polacy. Dzięki temu mogłem po 30 latach od tamtego czasu zebrać małą antologię tych wierszy i wydać ją w Londynie pod tytułem: „Polscy poeci o węgierskim Październiku”. W pierwszym wydaniu tej antologii (drugie, powiększone wydanie ukazało się 10 lat później) wśród doskonałych wierszy znalazły się utwory dwojga laureatów Nobla – Miłosza i Szymborskiej. Dla mnie jednak najpiękniejszy w tej książce jest wiersz Zbigniewa Herberta „Węgrom”, który ma swoją własną historię. Herbert był jednym z nielicznych polskich pisarzy, którzy nie dali się uwieść syrenim śpiewom władz komunistycznych, obiecujących im w 1945 r. pewne przywileje za współpracę. Wiersz „Węgrom”, napisany w 1956 r. mógł być ogłoszony dopiero parę miesięcy później, po usunięciu, na żądanie cenzora, tytułu i zastąpienie go, jak to się czasem robi, trzema gwiazdkami. Gdy poznałem Herberta w Paryżu w 1958 r. ofiarował mi swoją książkę „Hermes, pies i gwiazda”, w której wpisał nad tym wierszem właściwy tytuł, jaki oczywiście figuruje w późniejszych wydaniach.

WĘGROM

Stoimy na granicy

wyciągamy ręce

i wielki sznur z powietrza

wiążemy bracia dla was

z krzyku załamanego

z zaciśniętych pięści

wodlewa się dzwon i serce

milczące na trwogę

proszą ranne kamienie

prosi woda zabita

stoimy na granicy

stoimy na granicy

stoimy na granicy
nazwanej rozsądkiem

i w pożar się patrzymy

i śmierć podziwiamy.

Herbert jest jednym z moich ulubionych polskich poetów. Łączy nas podobne wykształcenie jakie dawała kontynentalna szkoła średnia z jej naciskiem na starożytnych klasyków i ironicznym spojrzeniem na historię, tak często niesprawiedliwą dla mniejszych narodów. Podziwiam jego moralną prawość i umiejętność łączenia narodowych i ogólnoludzkich problemów w jego precyzyjnie skonstruowanych i jednocześnie pełnych inwencji wierszach. Od 1958 roku spotykałem się z nim szereg razy w Polsce i gdzie indziej a w grudniu 1969 r. spędziłem noc u państwa Herbertów w Berlinie Zachodnim, gdzie wtedy mieszkali. Ze względu na zły stan zdrowia Herberta nasze stosunki w ostatnich latach ograniczają się do telefonicznych rozmów od czasu do czasu z nim lub jego żoną Kasią. Jeśli bym miał wymienić polskiego poetę, który najbardziej wpłynął na moją własną twórczość poetycką (piszę wiersze wyłącznie po węgiersku), Zbigniew Herbert byłby na pewno jednym z nich. Moje eseje na temat jego poezji ukazały się z pewnych powodów tylko w pismach kanadyjskich (*Mosaic, Canadian Slavic Review*).

O ile Herbert jest, według mnie, najlepszym poetą swego pokolenia (przy czym jego poezja doskonale daje się tłumaczyć, o czym świadczą przekłady na angielski Johna i Bogdana Carpenter), największym żyjącym polskim poetą jest prawdopodobnie Czesław Miłosz. Byłem zresztą tego zdania wiele lat przed otrzymaniem przez niego Nagrody Nobla w 1980 r., po przeczytaniu jego pierwszego po wojnie zbioru poezji pt. „Ocalenie”. Niektóre jego wiersze, napisane podczas niemieckiej okupacji i tuż po niej, należą do najważniejszych w twórczości tego nietypowego polskiego poety rodem z Litwy. Słyszałem o Miłoszu już w 1953 r., ale dostępna mi była wtedy tylko jego wczesna poezja. Po raz pierwszy spotkaliśmy się w lecie 1957 w Strasburgu, gdzie Komitet Wolnej Europy zorganizował kursy dla studentów z Wschodniej i Środkowej Europy, na które Miłosz był zaproszony jako wykładowca.

A ponieważ właśnie miałem rozpocząć pisanie pracy w Oxfordzie o współczesnej polskiej i węgierskiej poezji, zwróciłem się do niego o rady i tak rozpoczęła się nasza krótka, ale ożywiona korespondencja. Po sześciu latach, z oksfordzkim dyplomem w kieszeni, udało mi się otrzymać roczny kontrakt jako wykładowca na uniwersytecie Berkeley w Kalifornii. Wybrałem Berkeley, bo tam profesorem był Miłosz i chociaż nie było go w jesiennym semestrze 1963, po jego powrocie stałem się regularnym gościem w jego domu na Grizzly Peak Avenue (z pięknym widokiem na Zatokę San Francisco) i uczęszczałem na jego wykłady o współczesnej polskiej literaturze. Miały one swobodny nastrój, Miłosz mówił interesująco o swoich znajomych pisarzach, opowiadał anegdoty o Iwaszkiewiczu, o Andrzejewskim, różne historie, które nie znalazły się w jego „The History of Polish Literature” jaką wydał parę lat później.

W poezji Miłosza interesujące jest wahanie w wyborze dwóch postaw. Jedną z nich jest rola narodowego wieszczka przekazana polskiej poezji przez Mickiewicza, rola duchowego przywódcy i (albo) społecznego rewolucjonisty. Druga postawa, bliższa pojęciom, przyjętym na Zachodzie, widzi poetę jako rzecznika estetycznych wartości, jako prywatnego człowieka, który rozważa wieczne ludzkie problemy. Chociaż twórczość dojrzałego Miłosza ma wyraźną tendencję zupełnego oderwania się od tradycyjnej „polskiej postawy” (do tego stopnia, że usunął niektóre popularne i może trochę sentymentalne wiersze ze swojego angielskiego zbioru „Collected Poems” (1988) – ja osobiście jestem zafascynowany właśnie tymi wierszami, w których ten poeta, o silnym poczuciu historii, czy może „bity przez historię”, nie waha się dotrzeć do podstawowych założeń swej twórczości. Oto jeden z takich wierszy, który razem z moim współtłumaczem Clive'em Wilmerem, wybraliśmy do przekładu.

NOTATNIK: BRZEGI LEMANU

Buki czerwone, topole świecące

I strome świerki za mgłą października.

W dolinie dymi jezioro. Już śnieg

Leży na grzbietach gór po drugiej stronie.

*Z życia zostaje co? Jedynie światło
Przed którym oczy mrużą się w słoneczny
Czas takiej pory. Mówi się: to jest
I umiejętność żadna ani dar
Sięgnąć nie mogą poza to, co jest
A niepotrzebna pamięć traci siłę.*

*Jablecznik pachnie z beczek. Proboszcz miesza
Wapno łopatą przed budynkiem szkoły.*

*Mój syn tam biegnie ścieżką. Chłopcy niosą
Worki zebranych na zboczu kasztanów.*

*Jeśli zapomnę ciebie, Jeruzalem,
Niech, mówi prorok, uschnie mi prawica.*

*Podziemne drżenie wstrząsa tym, co jest.
Pękają góry i łamią się lasy.*

*Przez to, co było i przez to, co będzie
Dotknięte, pada w popiół to, co jest.*

*Czysty, gwałtowny, wre na nowo świat
I nie ustaje pamięć ni dążenie.*

*Jesienne nieba, w dzieciństwie te same
W wieku dojrzałym i w starości, wam
Nie będę się przyglądać. Krajobrazy*

*Łagodnym ciepłem serca nam karmiące,
Jakaż trucizna w was, że nieme usta,
Ręce splecione na piersi i wzrok*

*Jak sennych zwierząt. A kto w tym, co jest
Znajduje spokój, ład i moment wieczny
Mija bez śladu. Godzisz się co jest*

*Niszczy i z ruchu podjąć moment wieczny
Jak blask na wodach czarnej rzeki? Tak.*

1953

Ile razy jestem w Polsce staram się uniknąć centralnej Warszawy, wolę inne miasta, na przykład Kraków, gdzie zawsze miałem wielu, nie tylko literackich, przyjaciół. Z poetów poznałem najpierw Tadeusza Nowaka i Tadeusza Śliwiaka, dwóch bardzo różnych, choć jednak miłych Tadeuszów. Nowak, który pochodził ze wsi i w swej poezji i prozie stwo-

rzył cudowny świat chłopskiej mitologii, zaludniony przez świętych, anioły, muzykantów, był pierwszym tłumaczem moich wierszy na polski (z mojej surowej wersji) i po paru latach powiedział mi, że to dzięki mnie zainteresował się współczesną poezją węgierską, którą później bardzo dobrze tłumaczył na polski. Śliwiak znowu, który w 1958 r. założył neo-awangardowe pismo *Zebra*, poświęcone kulturze, w jednym z pierwszych numerów wydrukował mój list z Oksfordu i mój wiersz w swoim tłumaczeniu. Niestety obaj, Nowak i Śliwiak umarli stusunkowo młodo.

Lubiłem także i odwiedzałem gdy tylko mogłem Halinę Poświatowską, uroczą poetkę z Częstochowy, tragicznie przedwcześnie zmarłą. Przeszła ona skomplikowaną operację serca w Stanach Zjednoczonych i potem przez jakiś czas studiowała w Smith College. Poznałem ją w Nowym Jorku w 1960 roku i ostatni raz widziałem przed jej ostatnią, nieudaną operacją serca w Polsce w 1967 r.

Inna poetka, z którą się przyjaźniłem to Ewa Lipska. Chciał rzadko pisała wyraźnie opozycyjne wiersze, raz gdy cenzor usunął z jej zbioru jeden wiersz („Król”), czego polscy czytelnicy mogli byli wtedy nie zauważyć, przysłała mi go, natychmiast przetłumaczyłem na węgierski i zamieściłem w mojej waszyngtońskiej antologii. (Parę lat temu ukazał się bardzo dobry zbiór jej wierszy w angielskim przekładzie.)

Wisławę Szymborską także spotykałem szereg razy, przeważnie u mego krakowskiego przyjaciela, pisarza Leszka Elektorowicza. Nie mogę powiedzieć, bym ją dobrze znał i przed 1996 r. przetłumaczyłem tylko kilka jej wierszy choć zawsze podziwiałem jej niezwykły talent poruszania filozoficznych problemów w jej poezji tak, by były zrozumiałe dla przeciętnego czytelnika i nie nudziły go.

Wiele lat przed Nagrodą Nobla przetłumaczyłem jednak na węgierski jej wiersz „Kot w pustym mieszkaniu” o kocie, który nie może sobie poradzić z ludzką śmiercią i nieobecnością. Wiersz ten doskonale przetłumaczyli na angielski Barańczak i Claire Cavanagh.

Stanisław Barańczak i tzw. Nowa Fala, która powstała w latach 1968-70 najpierw w Poznaniu i Krakowie i w końcu przeniosła się na Zachód, dokąd Barańczak i Zagajewski emigrowali z Polski. Zagajewskiego poznałem wcześniej, w latach 70-tych, jeszcze gdy był żonaty, mieszkał w Krakowie i zaczął być znany jako krytyk i poeta.

W 1980 r. opracowałem razem z Richardem Burns'em wielojęzyczną antologię wierszy o Mandelsztamie i jego żonie Nadzieździe i zamieściłem w niej trzy polskie wiersze, w tym jeden Zagajewskiego. Ten piękny wiersz daje pojęcie o twórczości tego utalentowanego poety.

W ENCYKLOPEDII ZNOWU ZABRAKŁO MIEJSCA

*W encyklopedii znowu zabrakło miejsca
dla Osipa Mandelsztama znów jest
bezdolny ciągle tak trudno o mieszkanie
zameldować się w Moskwie to prawie
niemożliwe przyzywa go Kaukaz huczy
Azji niski las te dni jeszcze nie nadeszły
kto inny kamyki zbiera z czarnomorskich plaż
wciąż trwa nierówne śledztwo choć mundur
nowy ma krój i ciągle inny kragłogłowy
krawiec w ukłonach kąpie się
Zamykasz książkę huk wystrzału i biały
papierowy kurz łaskocze w nos jest wieczór
łaciński pada śnieg nikt już nie przyjdzie dziś
pora snu lecz gdy zapuka do twych cienkich drzwi
otwórz mu*

Stanisław Barańczak, cudowne dziecko współczesnej polskiej poezji – poeta i krytyk i znakomity tłumacz angielskiej poezji na język polski i polskiej na angielski. Profesor Barańczak z Harvardu! Gdy go poznałem, mieszkał jeszcze w Poznaniu i był stosunkowo mało znany. Stracił właśnie pracę na uniwersytecie i władze odmówiły mu wizy na wyjazd do Ameryki, dokąd dostał zaproszenie. Ucieszył się z poznania mnie i z mojego przekładu na węgierski paru jego świetnych

wierszy, w których demaskował zafałszowanie polskiego życia i prasy. (Miał nawet wtedy ochotę, przyznając, że na krótko, by nauczyć się węgierskiego, co wydaje mi się nadludzkim wysiłkiem dla przeciętnego Polaka!)

Pokolenie Barańczaka było ostatnim – w każdym razie dla mnie – które odnowiło polski język poetycki i chociaż z zainteresowaniem czytałem młodszych poetów, np. Polkowskiego i Maja, nie mogę wzbudzić w sobie takiego entuzjazmu jak dla burzycieli rutyny z 1968 r.

Ponad 40 lat poznawałem i tłumaczyłem polską poezję i myślę, że teraz mam prawo czytać na nowo to co już znam, zamiast odkrywać nowe talenty i zastanawiać się nad nimi.

Cambridge

George GÖMÖRI

IV WARSZTATY ARTYSTYCZNE IM. JÓZEFA CZAPSKIEGO

Z inicjatywy Polskiego Funduszu Humanitarnego i pod jego patronatem, we wrześniu 1998 r. odbędą się w Lailly-en-Val (Francja) czwarte Warsztaty Artystyczne im. Józefa Czapskiego. Warsztaty te pomyślane są jako pomoc dla wyróżniających się artystów środowiska krakowskiego. Zajęcia plenerowe odbywać się będą w miejscu, w którym Józef Czapski wielokrotnie przebywał i malował.

Organizowane Warsztaty służyć mają:

- utrwalaniu pamięci Artysty,
- pogłębianiu znajomości Jego twórczości i działalności,
- poznawaniu kultury francuskiej, z którą tak bardzo był związany,
- spotkaniom z artystami polskimi żyjącymi we Francji,
- pogłębianiu więzi polsko-francuskich poprzez sztukę.

Zwracamy się do przyjaciół i miłośników twórczości Józefa Czapskiego z prośbą o pomoc finansową w realizacji tego przedsięwzięcia i uczczenia w ten sposób Jego pamięci. Dary prosimy przysyłać na adres:

Fonds Humanitaire Polonais
24, rue de la Mairie
45740 Lailly-en-Val (Francja)

Redakcja *Kultury* przekazuje na koszt „Warsztatów” 5.000 F.

KOMUNIKAT NR 5 ZARZĄDU FUNDACJI „POLSKA KATEDRA W UNIwersytecie JERUZOLIMSKIM”*

1. Dotacja budżetowa

Decyzją Sejmu w budżecie na 1998 r. zapisano dotację 600 tys. zł (ok. 170 tys. dolarów) na rzecz Katedry Historii i Kultury Polskiej w Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie. Uzyskanie tej sumy stwarza realne podstawy dla rozpoczęcia działalności Katedry w roku akademickim 1998/1999. Po załatwieniu niezbędnych formalności przez resorty odpowiedzialne za wykorzystanie dotacji (Ministerstwo Edukacji Narodowej, Ministerstwo Kultury i Sztuki) zostanie ona przekazana na konto Fundacji.

2. Wpłaty na rzecz Fundacji

W okresie, jaki upłynął od przygotowania Komunikatu Nr 4, tj. od 14.11.1997 następujące osoby dokonały wpłat na rzecz Fundacji:

- senator Władysław Bartoszewski (Warszawa) – 500 zł
- p. Donata Eska (Warszawa) – 1000 USD
- prof. Daniel Grinberg (Warszawa) – 50 zł
- p. Bolesław Laszewski (Nowy Jork) – 100 USD
- p. Krzysztof Martens (Rzeszów) – 197 zł
- p. Estera Migdałska (Warszawa) – 100 zł

* Adres: Biblioteka Narodowa, Al. Niepodległości 213, pokój 3000, 00-573 Warszawa, tel. (48-22) 608-22-33, fax (48-22) 25-52-51.

- pracownicy Katedry Kultury Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego, w tym: – prof.prof.: M. Hopfinger, A. Mencwel, Z. Osiński, R. Sulima, M. Szpakowska, R. Taborski – po 100 zł
- prof. S. Siewierski – 50 zł
- dr dr: J. Bocheńska-Kołodzyńska, L. Kolankiewicz, A. Mikołajko – po 50 zł
- mgr P. Rodak – 50 zł
- mgr M. Wieczorek – 40 zł
- mgr mgr: I. Kurz, R. Sankowski, M. Niemojewski – po 30 zł
- dr G. Godlewski – 20 zł
- mgr mgr: A. Chałupnik, M. Czubaj, A. Kędzierska-Zadros, B. Pasmonik, M. Wójtowski, M. Zimniak, K. Zadros – po 20 zł
- mgr mgr: M. Kanabrodzki, B. Zaczykiewicz – po 10 zł

Wszystkim ofiarodawcom składamy serdeczne podziękowanie.

W Komunikacie Nr 4 pominęliśmy informację, że wpłata 250 CAD została dokonana przez p. Bena Weidera z Kanady dla uczczenia pamięci zmarłego w 1997 r. Jana Romanowskiego.

3. Stan konta Fundacji

Wg stanu na 5.04.1998 Fundacja ma obecnie na koncie złotówkowym 220 tys. zł (z czego 186 tys. stanowi lokatę terminową) i 1200 USD (wszystkie sumy w zaokrągleniu). Biorąc pod uwagę omówioną w pkt. 1 dotację budżetową oraz kwotę 50 tys. USD przekazaną na rzecz Fundacji bezpośrednio do Uniwersytetu Hebrajskiego przez p. Stevena Schwarza (patrz Komunikat Nr 4) aktywa Fundacji stanowią łącznie równowartość ok. 285 tys. USD.

4. Porozumienie pomiędzy Fundacją a Uniwersytetem

Zarząd Fundacji przygotował obszerny projekt porozumienia pomiędzy Fundacją a Uniwersytetem Hebrajskim w Jerozolimie w sprawie warunków powołania i działalności Katedry Historii i Kultury Polskiej. W końcu maja odbędą się w tej sprawie dwustronne rozmowy. Po ostatecznym uzgodnieniu treści porozumienia przedstawimy je w kolejnym komunikacie.

5. Kandydaci na wykładowców i program Katedry

Zarząd i Rada Fundacji pracują nad stworzeniem listy kandydatów na wykładowców w Katedrze Historii i Kultury Polskiej Uniwersytetu Hebrajskiego. Istnieje liczna grupa osób zainteresowanych pracą w Katedrze i posiadających odpowiednie kwalifikacje. Umożliwia to stworzenie listy wykładowców na kilka najbliższych lat. Równocześnie trwają – w uzgodnieniu z kandydatami – prace nad programem działalności Katedry. O dotychczasowych wynikach tych prac poinformujemy państwa po uzgodnieniu treści porozumienia z Uniwersytetem Hebrajskim i ustaleniu terminu rozpoczęcia działalności Katedry.

6. Prośba o wpłaty na rzecz Fundacji

Najbliższym zadaniem Fundacji jest zgromadzenie sumy ok. 20 tys. dolarów brakującej jeszcze do zyskania pełnej kwoty zobowiązań strony polskiej, wynoszących 300 tys. dolarów oraz przeznaczonych na pokrycie bieżących wydatków Fundacji. Uzyskanie tej kwoty nie oznacza zaprzestania działalności Fundacji. Zgodnie z §9 statutu ma ona m.in.:

- przyznawać nagrody i stypendia
- brać udział w organizacji konferencji i seminariów
- brać udział w organizacji pobytów w Polsce badaczy izraelskich zajmujących się historią Polski i jej kultury
- brać udział w działalności propagatorskiej, informacyjnej i wydawniczej w zakresie jej celów
- brać udział we wzbogacaniu księgozbioru Katedry.

Zwracamy się do wszystkich zainteresowanych utworzeniem i działalnością Katedry Historii i Kultury Polskiej w Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie o dokonywanie wpłat na konto:

Fundacja „Polska Katedra w Uniwersytecie Jerozolimskim”
Bank Handlowy S.A., IV Oddział w Warszawie
Nr konta złotówkowego: 10301058-00867401
Nr konta dewizowego (dolary USA): 10301058-00867402
Nr konta dewizowego (franki francuskie): 10301058-00867403

Przewodniczący Rady Fundacji
prof. Andrzej Wyczański

Prezes Zarządu Fundacji
Prof. Jan Dawgiałło

Warszawa, dn. 15.04.1998

Ci, co odeszli**Zbigniew Byrski**

Urodzony w roku 1913 w Warszawie miał życie bardzo burzliwe i urozmaicone. Od 1933 roku związany z ruchem komunistycznym w Polsce współredagował tygodniki *Na przelaj* i *Z daleka i z bliska*, następnie w Cieszynie tygodnik *Głosy i odgłosy*, będący po *Dwutygodniku Literackim* legalnym organem KPP. Wojnę Byrski spędził w Warszawie pracując dla Podziemia. W okresie PRL-u był wicekonsulem i konsulem w Chicago i w Detroit. W 1952 roku pracował w Polskim Radiu w audycji „Muzyka i aktualności”. W 1956 r. został korespondentem Polskiego Radia, TV i Agencji Robotniczej w Zachodniej Afryce, a następnie, w tym samym charakterze, w Afryce Wschodniej. W roku 1969 wybrał wolność w Stanach Zjednoczonych. Pracował w amerykańskich związkach zawodowych do roku 1984, tj. do przejścia na emeryturę.

W latach stanu wojennego współpracował z pismami niepodległościowymi: *Solidarność Walcząca* i *Poza układem*. Przez szereg lat prowadził w *Kulturze* rubrykę „Kronika amerykańska”. Pisał również artykuły dotyczące problematyki społecznej. Współpracując z *Kulturą* brał czynny udział w akcjach pomocy krajowi jako przedstawiciel amerykańskich związków zawodowych. W roku 1983 otrzymał Nagrodę Przyjaźni i Współpracy *Kultury*.

Zmarł w Nowym Jorku 28 marca 1998 r.

Dr Józef de Krasieński

Zmarł 3 kwietnia 1998 r. w Calgary (Kanada) w wieku 84 lat. Był emerytowanym profesorem Wydziału Mechanicznego Uniwersytetu w Calgary, specjalistą w dziedzinach aeronautyki i hydrodynamiki.

W czasie 2-giej wojny światowej był pilotem w 301-szym polskim Dywizjonie Bombowym. W czasie jednej z misji bombowych nad Zagłębiem Ruhry jego samolot został wielokrotnie trafiony pociskami z niemieckiego nocnego myśliwca. Sam otrzymał postrzał w okolice nerek, ale mimo to na jednym pracującym silniku zdołał z wysokości lotu 300 metrów szczęśliwie doprowadzić swojego wellingtona z całą ranną załogą do Anglii. Był odznaczony krzyżem *Virtuti Militari* i brytyjskim *Distinguished Flying Cross* (DFC). Nieżyjący już gen. Witold Urbanowicz, jeden z d-ców 303-ego Polskiego Dywizjonu poświęcił przygodom wojennym dr. Krasieńskiego cały rozdział w jednej ze swoich książek pt. „Myśliwcy”.

Dr Józef de Krasiński

Notatki Redaktora

Komisja Europejska nie przyznała nam 34 milionów ECU ponieważ wnioski polskie stwierdzające na co te pieniądze mają być zużyte i w jaki sposób – zostały źle przygotowane. Odpowiedzialność za to ponosi minister Ryszard Czarnecki, szef Komitetu Integracji Europejskiej. Kilka dni przed tym p. Czarnecki domagał się aby te pieniądze były w dyspozycji KIE i złożył *votum separatum* gdy rząd zdecydował, że mają być one w gestii wicepremiera Balcerowicza. Rozumowanie Czarneckiego jest proste: Balcerowicz nie jest dla niego ministrem finansów, ale przede wszystkim szefem Unii Wolności, a więc taka decyzja byłaby finansowym wzmocnieniem Unii. Widocznie dla p. Czarneckiego państwo składa się jedynie z folwarków partyjnych. Mimo burzy, jaką wywołała nieudolność KIE, włos z głowy p. Czarneckiego nie spadnie, gdyż prezes ZChN spokojnie oświadczył, że ewentualna dymisja Czarneckiego, który w rządzie reprezentuje ZChN, będzie zerwaniem koalicji. Premier zdymisjonował więc... zastępcę p. Czarneckiego...

Duże zaniedbania. Przykładem jest umowa polsko-rosyjska z maja 1995 r., która miała przywrócić na ogromnym rosyjskim rynku obecność polskich książek, zwłaszcza tych, których dawniej nie dopuszczała cenzura, a obecnie nie dopuszcza komercja. W Polsce książki rosyjskie na szczęście wychodzą. Nikt jednak nie dba o to, żeby skłonić rosyjską stronę do respektowania i finansowania umowy. Rosyjscy tłumacze polskiej literatury są w Rosji bez chleba, a jest wśród nich wielu znakomitych. Jednym z najpilniejszych zadań stojących przed Ministerstwem Kultury byłoby ożywienie tej umowy i zaproszenie do Polski rosyjskich tłumaczy, żeby odświeżyć kontakty i pokazać nowości wydawnicze.

Duże zaniepokojenie wywołało ostatnie oświadczenie bp. Pieronka: „że należy rozmawiać (z rządem) na temat tajemnicy lekarskiej, ponieważ niektóre przepisy państwowe utrudniają prace trybunałów kościelnych”.

25-go maja w związku z uruchomieniem trzech pociągów do Berlina, Kolonii i Krynicy urządzono uroczysty ich chrzest na Dworcu Warszawa Centralna z przemówieniami, księdzem, kropidłem, przecinaniem wstęgi i chórami. Zamiast tych uroczystości byłoby lepiej, żeby zarząd kolei zajął się innymi sprawami, a mianowicie dlaczego zamyka się lokalne linie kolejowe i ogranicza ilość i szybkość pociągów na innych trasach.

Polska nierządem stoi. W Warszawie miała miejsce demonstracja Solidarności Śląsko-Dąbrowskiej protestująca przeciwko brakowi polityki prorodzinnej, co było w programie wyborczym AWS. Demonstrację prowadził sam Marian Krzaklewski, przywódca Solidarności i przewodniczący Klubu AWS, ugrupowania, które obecnie jest w rządzie. Najsmutniejsze, że udział Krzaklewskiego w manifestacji nie wywołał żadnej reakcji wśród demonstrantów ani w opinii publicznej.

Rząd przyjął projekt ustawy o przejęciu kompetencji Komitetu Obrony Kraju. Biorąc pod uwagę kryzys panujący w kierownictwie MON-u, tj. „koalicyjny” konflikt między ministrem Onyszkiewiczem a wiceministrem Szeremietiewem i sytuację w wojsku, miejmy nadzieję, że prezydent Kwaśniewski zawetuje tę ustawę.

Reasumując, można by zacytować znany wiersz, Gałczyńskiego:

*Chcieliście Polski no to ją macie
skumbrie w tomacie, skumbrie w tomacie, pstrąg.*

REDAKTOR

Duże zapobiegawczo wywołało ostatnie odwołanie pp. Pironka: „że należy rozważyć (z tym) na temat tajemnicy lekarskiej, ponieważ niektóre przepisy prawne uznają prace trybunów koczowniczych”.

Notatki Redakcyjne

Książki

Czy zemsta ofiar?

„Zemsta ofiar. Niemcy w polskich obozach w latach 1944-1950” – taki tytuł nosi książka, która ukazała się w połowie stycznia w berlińskim wydawnictwie Rowohlt i która uzupełnia białe plamy w powojennej historii polsko-niemieckiego pogranicza. Jej autorką jest Helga Hirsch, korespondentka tygodnika Die Zeit w Warszawie w latach 1989-1995. Helga Hirsch (rocznik 1948) mieszka w Berlinie i pracuje jako wolny dziennikarz. W roku 1995 uzyskała dostęp do dokumentów obozów w pracy dla niemieckich cywilów w Potulicach, Jaworznie i Świętochłowicach oraz rozmawiała z ich wieloma byłymi więźniami. Według oficjalnego stanowiska stalinowskiej PRL oraz ulbrichtowskiej NRD Niemcom (w większości kobietom, dzieciom i starcom z tzw. Volksliste 2) należała się zasłużona kara. W RFN temat ten jako politycznie niewygodny był skwapliwie przemilczany, by nie powstało posądzenie o celowe relatywizowanie niemieckiej winy. Bezprawie należy jednak nazwać bezprawiem – twierdzi Helga Hirsch, która w oparciu o wydaną książkę przystąpi wkrótce do realizacji filmu dokumentalnego. 2 kwietnia Polski Instytut Kultury w Berlinie – placówka Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP – zaprosił Helgę Hirsch do zaprezentowania książki oraz szeregu innych osób do dyskusji nad nią.

Podczas spotkania w Polskim Instytucie Kultury, z którego okien widać słynną wieżę telewizyjną oraz spizowy pomnik nierozłącznej pary: Marksa i Engelsa, w końcu nie rozstrzygnięto, czy tytuł omawianej tego wieczoru książki Helgi Hirsch* jest tylko interesująco prowokacyjny, jak

* objaśnienia znajdują się na końcu tekstu.

twierdził Kazimierz Wójcicki, czy też zupełnie nie do zaakceptowania, jak uważał dr Wanja W. Ronge. Obaj byli zgodni co do tego, że tytuł „Zemsta ofiar” jest nadmiernym uproszczeniem. Nie jedynym zresztą. Z tego też powodu – pomimo podkreślonej przez Kazimierza Wójcickiego sympatii do Autorki oraz wielu lat zażyłej znajomości, nie da się przełknąć także jeszcze większego uproszczenia, zaanonowanego już na skrzydełku obwoluty, a rozwiniętego w historyczno-publicystycznej części książki:

„W obozach zostały zamienione role: wielu Polaków, którzy siedzieli w nich jako ofiary okupacji niemieckiej, zgłaszało się z nastaniem czasów polskich do straży obozowej. Dręczeni zamieniali się w dręczycieli. Włącznie z regulaminem obozowym przejęła komunistyczna Polska wzorzec narodowosocjalistyczny. I chociaż nie miała miejsca żadna systematyczna zagłada, jak w czasie reżimu narodowosocjalistycznego, to jednak Niemcy także byli bici, dręczeni i gwałceni. Zginęły ich dziesiątki tysięcy” – przeczytać można na obwolucie. Obu wymienionym dyskutantom nie udało się – pomimo rzetelnych prób – przekonać licznie zgromadzonej, mieszanej, choć głównie niemieckiej publiczności, jak dalece złożona była ówczesna polityczna rzeczywistość Polski, co to znaczyło w praktyce być zależnym od Moskwy i znosić dyktat NKWD. Fakty te nie były znane jeszcze do niedawna samej Autorce, która przypominając swój polityczny rodowód przyznała się, że przez długi czas była „ślepa na lewe oko”.

Helga Hirsch wyjaśniła, że powód, dla którego zajęła się tym tematem, nie ma nic wspólnego ze sprawami niemieckimi lub polskimi, lecz bierze się wyłącznie z jej biografii. „Jako uczestnik pokolenia 68 byłam komunistką, tzn. członkiem Komunistycznej Partii Niemiec. I kiedy pojechałam do Polski w 1978 roku, to – mogę się dziś tego wstydzić albo nie – bardzo wielu rzeczy nie wiedziałam. Miałam w związku z tym nawet pewne poczucie winy. Na szczęście nasza KPD nie zdobyła władzy i dzięki temu udało mi się nie dokonać żadnych politycznych błędów, ale muszę przyznać, że byłam już uczulona na ten mechanizm, który obowiązywał we wschodniej Europie po roku 1945: że mianowicie cel uświęca środki. Dopiero po powrocie z Polski zaczęłam czytać literaturę łagrową i omówienia okresu stalinizmu. Z tego poczucia winy, za to, że nie wiedziałam tego, co powinnam była wiedzieć, pozostał we mnie cierń. I kiedy w 1995 roku ukazała się w Niemczech książka Johna Sacka

„Oko za oko” (o obozie dla internowanych cywilów niemieckich w Świętochłowicach i negatywnej roli Salomona Morela – p. red.) mój cień znów zaczął mnie uwierać. Znowu dowiedziałam się czegoś, czego nie wiedziałam, a co powinnam była wiedzieć i co wiedziałabym, gdybym tylko tego chciała. A nie wiedziałam z powodów, o których wspominał pan Topf”.

Prowadzący spotkanie Hartmut Topf, zagajając już na samym początku przyznał, że pokolenie roku 68 w Niemczech, a ściślej jego lepsza część (*die gute Linke*) z zasady nie chciało zajmować się zaszłościami między Polakami i Niemcami, Niemcami i Czechami, wojennym pokłosiem: zbrodniami, naruszeniami praw człowieka, cierpieniami niewinnych cywilów lub ich dzieci. „Był to dla nas temat tabu przez całe lata. Pana Herberta Hupkę z jego ziomkostwami traktowaliśmy z dystansem. Nie chcieliśmy słuchać tego, co mówią, bo ich wypowiedzi były zawsze instrumentalizowane przez politykę konserwatywną, a my szukaliśmy zbliżenia, dialogu, nawet jeżeli ceną za to miałyby być zbyt taktowne przemilczanie bolesnych faktów z historii”.

Helga Hirsch – jak twierdzi – była zaskoczona oporami, z jakimi udostępniano jej w polskich archiwach wgląd w dokumenty z tamtego okresu. Twierdzi, że choć solidarność opozycja nie miała problemów z rozliczeniami okresu stalinowskiego w odniesieniu do reżimu sowieckiego, to wobec zaszłości polsko-niemieckich społeczeństwo polskie nadal cierpi na ideologiczne kompleksy. Innego zdania był Kazimierz Wóycicki, któremu z racji zajmowania się stosunkami polsko-niemieckimi często zdarza się uczestniczyć w różnego rodzaju spotkaniach w Polsce, gdzie temat wypędzenia jest bardzo żywy: „Często sam jestem zaskoczony, jak dalece temat ten został przepracowany i jak spontanicznie jest podczas takich okazji poruszany. Szczególnie na terenach dawniej należących do Niemiec, gdzie mieszkańcy poszukują dzisiaj swojej, nie narodowej, lecz regionalnej tożsamości. A do niej należy także cały spadek poniemiecki, w tym tamten okres naszej wspólnej historii. Naturalnie – powiedział on – niektórzy czują się urażeni w swoim pojmowaniu mitu bohaterskiego Polaka, ale generalnie spotykam się z zainteresowaniem i zrozumieniem”. Temat ten – podkreślił K. Wóycicki – ze względu na specyficzną pojmowaną *political correctness* stanowi tabu wyłącznie w Niemczech. Przykładem tego może być choćby odmowa drukowania fragmentów książki

Helgi Hirsch przez jej do niedawna macierzysty tygodnik *Die Zeit*.

Dr Wanja W. Ronge, socjolog, i – podobnie jak Helga Hirsch – uczestnik studenckiej rewolty roku 68, któremu tematyka wypędzenia w przeciwieństwie do Autorki była znana od najwcześniejszych lat (mieszkał wówczas na Śląsku) przypomniał, że wydarzenia te ze zdecydowanie różnych względów stanowiły oficjalnie polityczne tabu zarówno w Polsce, jak i w NRD oraz RFN. W Niemczech Zachodnich alianci cofnęli obowiązujący zakaz organizowania się wypędzonych w ziomkostwach dopiero po ogłoszeniu „zimnej wojny”. Ziomkostwa okazały się wówczas użyteczne jako instrument przeciwko stalinowskiej polityce ekspansji. Wzajemna niechęć, poczucie krzywdy i odgórnie sterowana nieufność do Niemców w sprawie granic przełamane zostały stopniowo poczynając od listu biskupów polskich w 1965 roku i późniejszego padnięcia na kolana kanclerza Willi Brandta w Warszawie. Tym bardziej jest rozczarowany faktem, że w książce wydanej w tym roku, jej autorka wyciąga jako swoją tezę argument lansowany w latach 50-tych przez Waltera Ulbrichta, że granica na Odrze i Nysie oraz utrata Prus i Śląska są ceną, jaką musiały zapłacić Niemcy za przegraną wojnę, a nie traktuje tego jako politycznej konsekwencji wynikłej z pertraktacji aliantów ze Stalinem. Istniejąca od lat w wielu językach literatura historyczna powiedziała na ten temat już – zdawałoby się – wystarczająco dużo, by nie spłaszcać zagadnienia polskich obozów pracy do kwestii zasłużonej zemsty, a zagadnienia nowych granic Polski do dawno planowanej zdobyczy wojennej.

Helga Hirsch – jak podkreśliła – nie miała zamiaru dokonywać rewizji historii ani wszczynać od nowa dyskusji nad sprawą granicy na Odrze i Nysie. Jej celem było jedynie przedstawienie na przykładzie wybranych ludzkich losów skomplikowanych i bolesnych stosunków polsko-niemieckich w okresie tuż-powojennym na obszarach włączonych do Polski. Fakt, że przed Trybunałem Międzynarodowym w Hadze stają dziś oskarżeni o przestępstwa wojenne nie tylko Serbowie, lecz także bośniaccy muzułmanie uznani do niedawna jedynie za ofiary wojny w byłej Jugosławii, stwarza nadzieję, że i sprawiedliwość ma także w Polsce działać wstecz. Odczytany przez nią na potwierdzenie tych słów obszerny fragment jednego z reportaży wyraźnie odcisnął się na nastroju zgromadzonego audytorium.

Zaniepokojenie dr Ronge wzbudziło szczególnie zdanie ze str. 191 książki H. Hirsch, gdzie Autorka pomimo wcześniejszych zapewnień o niestawianiu znaku równości pomiędzy reżimem narodowosocjalistycznym w Niemczech i komunistycznym w Polsce pisze: *Die polnische Volksmacht hatte nach eben denselben Prinzipien 'polonisiert' wie Hitler 'eingedeutscht' hatte – nur unter umgekehrten Vorzeichen* (Podkr. J.W.) („Władza ludowa 'polonizowała' dokładnie według tych samych zasad, według których Hitler 'zniemczał' tyle, że z przeciwnymi oznaczeniami”). Na dowód, jak dalece jest to nieprawdziwe stwierdzenie, dr Ronge przytoczył wyjątki z rozporządzenia H. Himmlera, komisarza III Rzeszy do spraw umacniania niemieckości pt. „O traktowaniu obcych ludów na Wschodzie” z maja 1940, skąd m.in. dowiadujemy się, że lud polski miał mieć odtąd prawo do wykształcenia obejmującego zaledwie cztery klasy szkoły powszechnej i do umiejętności prostego liczenia do pięciuset. Przypomniał także, że pomimo stalinowskiego terroru ustawodawstwo polskie już wówczas przewidywało kary za złe traktowanie więźniów, czego nie można powiedzieć o ustawodawstwie niemieckim z okresu III Rzeszy.

Z łuzyckiego Cottbus przyjechał dr Gustav Bekker, który – jako tzw. świadek Historii sugestywnie opowiadał nie tyle o swoich przeżyciach z czasu powojennego internowania w polskim obozie pracy (jako 10-letniego chłopca internowano go razem z matką i siostrą w obozie w Potulicach; obie obozu nie przeżyły), co o swoich odwiedzinach w Potulicach po 50 z okładem latach. Nawiązał on bliski i serdeczny kontakt z prezesem Stowarzyszenia Byłych Więźniów Obozu Pracy w Potulicach (z czasów hitlerowskich), dzięki czemu przyjęty został przez lokalne władze oraz uzyskał pomoc miejscowego kościoła w celu postawienia zmarłym więźniom niemieckim obelisku na działce cmentarnej byłego obozu (gdzie po dziś dzień znajduje się więzienie). „Założyliśmy towarzystwo byłych potuliczian. Nie pytaliśmy żadnych ziomkostw o zgodę, a i nasza lokalna administracja nie wierzyła, żeby mogło nam się nasze zamierzenie udać. To pokazuje tylko, jak fałszywie ocenia się u nas to, co się dzieje w Polsce i stosunek Polaków do nas, Niemców” – powiedział Gustav Bekker.

Spotkanie zakończyło się po niecałych dwóch godzinach i dzięki sprawności prowadzącego nie zamieniło się ono w spodziewaną dyskusję, choć w powietrzu czuć było atmosferę napięcia i sama publiczność ledwo trzymała się w ryzach.

Niewątpliwie dobrze się stało, że ten bezdyskusyjny temat sprowokowany przez dyskusyjną książkę został podjęty właśnie przez stronę polską. Otwiera to nowe możliwości dialogu, pod warunkiem, że do rozmowy dopuści się wszystkich zainteresowanych, a nie tylko „ekspertów” i że porzuci się tyleż „odświętne” co mechaniczne metody realizowania polsko-niemieckiej przyjaźni.

Joanna WIÓRKIEWICZ

W spotkaniu uczestniczyli: Helga Hirsch, publicystka, autorka książki „Zemsta ofiar”; Kazimierz Wóycicki, publicysta, specjalista d/s stosunków polsko-niemieckich, dyrektor Polskiego Instytutu Kultury w Duseldorfie; dr Wanja W. Ronge, socjolog kultury, tłumacz i literat; Hartmut Topf, dziennikarz radiowy, znawca tematyki polskiej, moderator wieczoru; dr Gustav Bekker z Cottbus, naoczny świadek, założyciel niemieckiego Stowarzyszenia Byłych Więźniów Obozu Pracy w Potulicach.

„Nie masz już, nie masz w Polsce żydowskich miasteczek...”

Bezpośrednim impulsem do powstania najnowszej książki Ewy Hoffman: „Shtetl: The History of a Small Town and an Extinguished World” (Secker & Warburg, 1998), był dokumentalny serial telewizyjny pod tym samym tytułem („Shtetl”), autorstwa Mariana Marzyńskiego, zaprezentowany publiczności amerykańskiej w kwietniu 1996 r. przez kompanię telewizyjną WGBH. Serial wzbudził żywą kontrowersję, której echa długo jeszcze rozlegały się w amerykańskiej prasie polonijnej.

Film Marzyńskiego próbował, jak się zdaje, powtórzyć „formułę” i przypuszczalnie międzynarodowy sukces wcześniejszego, głośnego filmu Lanzmana „Shoah” i tak jak on, zdaniem niektórych, sprzeniewierzył się zasadzie dokumental-

nego obiektywizmu (podejrzewam, że to jest powód dla którego nie został dotąd pokazany przez brytyjską BBC).

Tak więc, paradoksalnie, na posiewie złego serialu (ściślej: na bazie tego samego materiału dokumentacyjnego) wzrosła wspaniała książka (sytuacja ta mogłaby dać asumpt do refleksji dotyczących domniemanej różnicy opiniotwórczej siły oddziaływania tych dwóch gatunków mass mediów, ale to już inna sprawa).

Najbardziej godną podziwu cechą książki Ewy Hoffman (jeśli nie liczyć samej już odwagi cywilnej wstąpienia na „zaminowane pole” burzliwego i pełnego gorzkich resentmentów ze strony obu uczestników dialogu polsko-żydowskiego, dialogu, który przypomina raczej rozgorączkowaną kłótnię małżeńską niż racjonalną dyskusję) poza wysokimi – jak już przyzwyczailiśmy się oczekiwać od tej autorki – walorami jej elegancko elokwentnej prozy, jest jej zdecydowana odmowa przyłączenia się do którejkolwiek z wojujących stron, jej niemal bezprzykładny obiektywizm. Zasada się on w nieustannym wysiłku kierowania uwagi czytelnika na niepokojącą wieloznaczność obrazu rzeczywistości, której bezstronny ogląd wydaje się dziś, po tragedii Holocaustu, prawie niemożliwy.

Może najbardziej szkodliwym dziedzictwem „czasu pogardy” jest to, że w zaciętrzewieniu wzajemnych urazów i oskarżeń pomiędzy dwoma narodami, które były głównymi ofiarami nazistowskiego ludobójstwa, prawdziwi winni, „skwapliwi oprawcy Hitlera” (aby zapożyczyć tytułu sławnej książki Goldhagena) uchodzą cało, jakby oczyszczeni z winy i ciężar oskarżenia za zbrodnie ludobójstwa niepostrzeżenie przesuwa się na Polaków. Nie dalej jak parę dni temu popularny dziennik brytyjski *Daily Telegraph* przyniósł artykuł o osobie żydowskiego pochodzenia, która w 1936 r. szukała azylu w Wielkiej Brytanii przed „prześladawcami nazistowskimi w Polsce” (*sic!*), a powtórzony dwukrotnie w brytyjskiej TV film dokumentalny o Annie Frank mówił o deportacji Żydów holenderskich do „polskich obozów koncentracyjnych” (pomimo protestów Zjednoczenia Polaków w Wielkiej Brytanii to określenie użyte było ponownie!)

Ewa Hoffman jest osobą szczególnie predestynowaną do zabrania głosu w tej dyskusji. Jako polska Żydówka, lub, inaczej, Polka pochodzenia żydowskiego (warto się zastanowić, czy są to dokładne ekwiwalenty semantyczne), która wszakże przeżyła swoje dorosłe życie na Zachodzie, ma na te sprawy

jakby potrójną perspektywę, w czym można się spodziewać gwarancji bezstronności.

Przypomina nam ona, bardzo na czasie, jak doszło do tego stanu rzeczy w czasach zimnej wojny, gdy „zdenazyfikowane” Niemcy Zachodnie stały się pełnoprawnym członkiem demokratycznej rodziny narodów, podczas gdy Polska, za żelazną kurtyną, zastygła w świadomości Zachodu w betonowy jak stalinowskie bloki mieszkalne i równie jak one niezróżnicowany monolit, który Żydom kojarzył się tylko negatywnie jako miejsce kaźni (część narracyjna książki kończy się uwagą Jacka Rubina, niegdyś mieszkańca Brańska, dziś obywatela Baltimore, USA: „Jak mogłem zostać w miejscu, gdzie ziemia przesiąknięta jest krwią?”).

Jako osoba trenowana w sztuce psychoanalizy, Hoffman wie dobrze o zjawisku, które w żargonie zawodowym nazywa się *transference of guilt* (przeniesienie winy na osobę postronną). Czasem osoba oskarżana jest winna na zasadzie *guilt by association* (wina poprzez bycie z czymś związanym, nawet przypadkowo). Ewa cytuje wywiad z jedną z osób, które przeżyły wojnę dzięki polskiej pomocy. W konkluzji ta osoba mówi: „Teraz widzi Pani, dlaczego nienawidzę Polaków” (używając obraźliwego w angielskożyźnym wyrażenia *Polacks*). Autorka dodaje: „Nie padło tam słowo o nienawiści do Niemców”.

Ta bolesna przepaść pomiędzy dwoma różnymi wersjami czasu Zagłady, jakie przechowały się w selektywnej, jak zawsze, ludzkiej pamięci, pogłębiła się niepokojąco przez pięć dekad komunistycznej polityki przymusowej amnezji, w której problem Żydów i ich historii był tematem tabu. Dopiero po 1989 r. powstały warunki do obecnej, nieco gorączkowej, jakby w poczuciu potrzeby nadrobienia straconego czasu, rewizji historii nowożytnej Polski w ogóle, a roli w niej Żydów w szczególności.

Jedną z pierwszych prób odrobienia tych zaległości (lub, wedle określenia autorów, „zaszłości”) w powojennej historiografii polskiej na temat tych spraw, jest wydana w r. 1993 (wśród około 500 innych publikacji przygotowanych na 50-tą rocznicę powstania w getcie warszawskim) i ambitnie zamierzona książka o charakterze encyklopedycznym pt. „Polin: Kultura Żydów polskich w XX w.”. Oboje autorzy, średniego pokolenia, Rafał Żebrowski i Zofia Borzymińska, są pracownikami zasłużonego na tym polu Żydowskiego Instytutu Historycznego w Warszawie, największego w Polsce

instytutu badawczego zajmującego się tą problematyką. W chwili obecnej, zajęci są przygotowaniem do publikacji monumentalnie zakrojonego „Słownika Judaistycznego” i szukają pilnie sponsorów, którzy pozwoliliby książce wyjść w bogatej szacie ilustracyjnej jak na to zasługuje. (Zainteresowanych prosimy o kontakt za pośrednictwem *Kultury*).

Wracając, po tej dygresji, do książki Ewy Hoffman: tytułowy Shtetl, o którym traktuje książka to Brańsk, miasteczko w bliskości Białegostoku, 80 km na wschód od Warszawy. Warto pamiętać, że Białystok miał w okresie międzywojennym ponad 50% ludności żydowskiej, a cały region około 17% (w porównaniu ze średnią krajową, jaka wynosiła w latach największej jej koncentracji 13,5%).

Historia tego miasteczka, dla której głównym materiałem źródłowym był zbiór dokumentów zebranych w 1947 r. w książkę pt. „Brańsk: Pomnik Poległym” (lub, w formie w jakiej odwołuje się do niej autorka: „Yizkor Book: Księga Pamięci”), staje się dla Ewy Hoffman czymś w rodzaju *case-study*. To małe miasteczko na wschodnich kresach Polski, jakich było tak wiele, że stworzyły swoją własną mitologię, służy autorce jako mikrokosmos, na którego dziejach śledzi losy społeczności żydowskiej w Polsce na przestrzeni wieków.

A ta historia liczy sobie co najmniej 600 lat bliskiego i przez większość tego czasu stosunkowo harmonijnego współżycia, zanim została tak brutalnie przerwana przez Holocaust, aby ostatecznie dobiec kresu w paroksyzmie wydarzeń 1968 r. (Autorka odnotowuje znaki odradzania się zainteresowania kulturą żydowską w obecnej Polsce).

Ewa Hoffman, raczej nowatorsko, widzi tę historię jako „długi eksperyment wielokulturowości *avant la lettre*”. Podobnie jak znany historyk brytyjski Norman Davies, w swojej „Historii Europy” (wychodzącej na dniach w polskim tłumaczeniu), proponuje Hoffman przewartościowanie historii Polski w ocenie Zachodu: postrzegana na zewnątrz jako kraj zacofany i zapóźniony cywilizacyjnie, wielokulturowa Rzeczpospolita wielu narodów była w rzeczywistości pionierem w wielkim eksperymencie historyczno-społecznym, którego wartość doceniamy w pełni dopiero dzisiaj, kiedy sprawa współżycia społeczności wieloetnicznych nabiera tak ogromnego znaczenia w naszych czasach.

„Ten wielokulturowy eksperyment był rzadko poprawny lub całkowicie udany, ale nie może też w żadnym wypadku być oceniany negatywnie, zwłaszcza teraz, kiedy mamy nie-

dawne doświadczenia wskazujące, jak trudne pozostają takie eksperymenty do dziś dnia” (str. 11).

Hoffman przypomina, że Żydzi w Polsce mieli przez ponad dwieście lat (1550-1764), unikalnie w historii diaspory żydowskiej, swój własny parlament, *Vaad Arba Aratzot*, który cieszył się całkowitą niezależnością prawodawczą. Jest niejako aksjomatyczne, że historia Żydów na terenach polskich stanowiła odzwierciedlenie losów państwa gościnnego. Prosperowali, kiedy ono prosperowało, cierpieli razem z Polakami w czasach zaborów i popowstaniowych represji; gwałtowny wybuch energii twórczej, jaki naznaczył historię Rzeczypospolitej w okresie dwudziestolecia międzywojennego, znalazł swoje zwierciadlane odbicie w bezprecedensowym rozkwicie kultury żydowskiej na ziemiach polskich w tymże samym okresie.

Ten to właśnie okres jest, paradoksalnie, przedmiotem najgorętszych sporów. Częściowo w wyniku Wielkiej Depresji lat 20-tych, a częściowo w następstwie normalnych procesów industrializacji i wzrastającej presji demograficznej, następną dekada stała się okresem zaostrzającego się współzawodnictwa na arenie ekonomicznej, a wraz z nim wzmagającej się retoryki nacjonalistycznej z coraz wyraźniejszymi akcentami antysemitycznymi po r. 1935. Jednakże nawet w okresie największego nasilenia nastrojów antysemitycznych, nie zabrzmiała nigdy w Polsce nuta biologicznego rasizmu, odnotowuje sprawiedliwie autorka.

Ale przecież w ocenie *longue durée* stosunków polsko-żydowskich o coś innego chodzi. Na całej przestrzeni ich trwania, pomimo wspólnoty losów było coś, co autorka nazywa „izolacją duchową”. Dwie żyjące obok siebie wspólnoty, ocierały się o siebie na każdym kroku, ale mimo to pozostały nieprzenikalne dla siebie nawzajem. Najbardziej wstrząsającym tego świadectwem jest dla mnie wyznaczenie Raphaela Scharfa w jego autobiografii: „Co Mnie i Tobie Polsko...” (Fundacja Judaica, 1996), że młody inteligent żydowskiego pochodzenia, wychowany w mieszczącej rodzinie w Krakowie, nigdy nie był gościem w polskim domu!

Może właśnie to poczucie odrębności spowodowało – medytuje autorka w epilogu swojej książki – że niektórzy Polacy mogli z obojętnością patrzeć na cierpienia Żydów w czasie wojny i że trzeba było więcej niż zwykłego odruchu solidarności, aby w sytuacji ekstremalnej, jaką była okupacja, z narażeniem własnego życia, nieść pomoc komuś, kto był

postrzegany jako OBCY, a więc ktoś, czyja inność nie pozwala się z nim identyfikować.

A zatem, jeśli gorzka lekcja historii ma nie pójść w zapomnienie, dzieje stosunków polsko-żydowskich mogą nas wiele nauczyć o „możliwościach” a zarazem niebezpieczeństwach, jakie tkwią w relacjach międzykulturowych; o sytuacjach, w których jest możliwe powściągnąć (etniczne) przesady, jak także tych, które muszą doprowadzić do tego, że uczucia zbiorowe przybiorą brzydką postać, o bodźcach politycznych, jakie prowadzą do wybuchu aktów przemocy i warunkach, jakie mogą powstrzymać wrogość” (str. 255).

Może najpewniejszą (czy jednak możliwą do osiągnięcia?) receptą na harmonijne współzycie wielokulturowej społeczności byłoby to, co, niestety, niezupełnie się udało w polsko-żydowskim eksperymencie: „pogodzić szacunek dla różnicy z poczuciem wspólnoty przynależności”.

Co nie znaczy, że nie mamy ważnego i nagłego obowiązku próbować dalej.

Teresa HALIKOWSKA-SMITH

Wolna trybuna

Próba zrozumienia

Po ośmiu latach pobytu w kraju arabskim i pracy na arabskim uniwersytecie, zastanawiam się, jak dalece mogę moim europejskim umysłem przeniknąć mroki świata arabskiego islamu. Mówiąc „mroki”, nie mam na myśli „ciemnoty” – lecz tajemnicę. Islam jest bowiem religią nader hermetyczną, mało dostępną europejskiemu myśleniu, zamkniętą w swoim własnym kręgu arabskości; sama kultura arabska zaś jest w tej chwili kulturą opartą na islamie i to pomimo faktu, że przecież nie każdy Arab jest muzułmaninem.

W świecie muzułmańskim, rozciągającym się na przestrzeni Północnej Afryki, krajów Lewantu, Półwyspu Arabskiego, Iraku, Iranu oraz w dużej części krajów niearabskich: w granicach Pakistanu, Afganistanu, Indonezji i Malezji – bez zrozumienia religii nie sposób zrozumieć pewnych modeli zachowań tak w sferze politycznej czy społecznej, jak i najzupełniej prywatnej. Odnosi się to w szczególności do krajów zachodnich wybrzeży Zatoki Perskiej.

O trzeciej czternaście nad ranem, jeszcze przed świtem, budzi mnie *fajr*, muzułmańska pobudka, bezmelodyjny śpiew muezzina z pobliskiego meczetu, który przypomina o obowiązku porannej modlitwy („Modlitwa jest lepsza niż sen”). Nie mogę dalej spać, wstaję po cichu, aby nie zbudzić rodziny, zaparzam herbatę, biorę do ręki książkę. Książka nosi tytuł „Islam” i podtytuł „A Westerner's guide from business and the law to social customs and family life”. Napisana kilkanaście lat temu przez Anglika, D.S. Roberta, kilkakrotnie wznawiana, odznacza się stosunkowym obiektywizmem w przedstawianiu zagadnień związanych z religią islamu i świa-

tem arabskim oraz znajomością litery i ducha Koranu, świętej księgi muzułmanów. W pierwszym zdaniu wprowadzenia autor zaznacza, iż dla przeciętnego umysłu zachodniego świat islamu wydaje się kompletnie niezrozumiały. Postawy w nim dominujące są w oczach Europejczyka pełne bigoterii, nieskłonne do kompromisów, sztywne i nieracjonalne. Działania – jawią się jako niesłuchanie arbitralne, twarde, bezwzględne.

W ciągu czternastu wieków od powstania religii islamskiej, była ona i jest widziana, nie bez powodu, w kategoriach zagrożenia, rywalizacji, niebezpieczeństwa dla świata chrześcijańskiego. W roku 1998/1419 widzenie tej religii przez Zachód nie zmieniło się specjalnie. Za tę negatywną percepcję orientalnego islamu przez Zachód nie da się jednakże winić wyłącznie jednej ze stron. Wina leży w odmienności doktryny islamu, skrajnie różniącej się od europejskiego sposobu pojmowania etyki i logiki.

Po długim okresie egzystencji o minimalnym znaczeniu historycznym dla reszty świata, islam przeżywa wzrost popularności i zaczyna, po raz pierwszy od stuleci, znowu odgrywać pewną rolę w Europie, już nie na skutek podbojów mieczem, a zwykłego przyrostu ludności i intensywnej emigracji z krajów muzułmańskich na Zachód. Przyczyny tej emigracji sięgają jeszcze czasów kolonialnych i pozostałych po niej układów politycznych zwłaszcza w Afryce Północnej, na Bliskim Wschodzie czy na przykład w Pakistanie, skąd co-rocennie zjeżdżają do Anglii tysiące muzułmanów. W rezultacie na terenie Wielkiej Brytanii znajduje się obecnie ponad 1800 meczetów, a bogate naftowymi dolarami państwa Zatoki Perskiej wykupują albo nowe place pod ich budowę, albo już stojące budynki z zamiarem przekształcenia ich w kolejne świątynie dla wyznawców Allaha. Budzi to zrozumiały niechęć dużej części społeczeństwa angielskiego, rodzą się konflikty i, wbrew deklarowanej tolerancji wyznaniowej, poważne bariery rasowo-religijne. Podobna sytuacja istnieje we Francji, usiłującej uporać się z napływem Algierczyków i w Niemczech, dokąd zjeżdżają imigranci tureccy, irańscy i kurdyjscy.

Nie sposób nie zauważyć, że islam jest religią prężną, agresywną, aktywnie werbującą nowych wyznawców. Z kolei

chrześcijaństwo, zwłaszcza na Zachodzie, przechodzi obecnie okres zastoju – z nadzieją na odrodzenie – gdy patrzeć na ten proces optymistycznie, lub – bez nadziei – na powrót do dawnego znaczenia, gdyby zaryzykować spojrzenie przez czarne okulary pesymizmu.

Wobec tolerancji wielu niekatolickich kościołów chrześcijańskich, graniczącej z zaprzeczeniem własnych fundamentów moralnych i filozoficznych, coraz więcej ich wyznawców zdaje się przekonywać do jednoznacznego widzenia świata, jakie proponuje na przykład Papież. Oto po ostatnich decyzjach Kościoła Anglikańskiego o dopuszczeniu kobiet do kapłaństwa, nastąpiło w jego obrębie wiele nawróceń na katolicyzm. Z drugiej natomiast strony niektórzy chrześcijanie odwracają się od generalnie „letniego” chrześcijaństwa w stronę religii gorącej, żarliwej, antyliberalnej, irracjonalnej, autokratycznej, o nieuleczalnych skłonnościach do fanatyzmu – w stronę islamu.

Islam, w przeciwieństwie do opartego o zasadę wolnego wyboru chrześcijaństwa, przyjmuje za swoją podstawę stu-procentowe poddanie i posłuszeństwo Koranowi, który jest zapisem słów Allaha objawionych Mohammedowi. Posłuszeństwo należy się także religijnym autorytetom, mędrcom, którzy dogłębnie poznali ów zapis. Islam nie dopuszcza zwątpienia, błędzenia, zadawania pytań. Widzenie świata według islamu jest czarno-białe. Wszystkie odpowiedzi na pytania nękaające współczesnego człowieka znaleźć można w świętej księdze Koranu.

Koran jest wyrocznią jedyną i ostateczną. Dla człowieka Zachodu sprawa nie będzie tutaj taka prosta. Przede wszystkim, tłumaczenia Koranu na inne języki są z natury rzeczy podejrzane i traktowane nieufnie przez islamskich uczonych. Prawdy zawarte w świętej księdze muzułmanów zostały objawione w języku arabskim i tylko w tym języku powinny być czytane i interpretowane. Założmy jednak, że Europejczyk poradzi sobie z językiem arabskim i przeczyta Koran w oryginale. Dla zrozumienia Koranu, czy choćby ułatwienia jego interpretacji nie da się zastosować żadna ze znanych mu struktur narracyjnych, żaden ze znanych porządków filozoficznych. Koran można czytać od początku do końca, od końca do początku lub zaczynając lekturę od środka – a

zaden z tych sposobów odczytania Księgi nie będzie miał wpływu na sens jej głównego przesłania. Koran nie płynie linearnym strumieniem logicznej narracji, rozlewa się natomiast jak ocean wód niemożliwych do rozumowego ogarnięcia. „W znaczeniu fundamentalnym Koran nie posiada początku ani końca...” Już sam ten fakt szalenie utrudnia zrozumienie Koranu i zaakceptowanie go przez człowieka Zachodu. Koran można tylko w całości przyjąć albo go w całości odrzucić, nie ma drogi pośredniej. Nie można go też interpretować w sposób logiczny, rozumowy, otwarty – należy wyuczyć się jego fragmentów (lub nawet całości) na pamięć, a oświecenie da się osiągnąć przez regularną recytację, nie zaś przez indywidualny wysiłek intelektu.

Innym faktem, równie obcym kulturowo Europie, jest totalność islamu, który jest systemem sięgającym po kontrolę całości życia człowieka. Religia dyktuje prawo, status kobiet, a nawet wyznacza politykę zagraniczną i wewnętrzną wielu ortodoksyjnych krajów muzułmańskich. Religia narzuca porządek socjalny, decyduje o ilości żon, jakie może poślubić mężczyzna, a także o tym, którą ręką należy spożywać jedzenie, a którą obmywać się po załatwieniu czynności fizjologicznych.

Wiara wyznawcy islamu opiera się na jak najgłębszym przekonaniu, że dosłownie każdy aspekt życia jest zdeteminowany wolą Allaha, która rządzi absolutnie wszystkim od początków wszechświata przez całą wieczność. Od tej woli nie ma ucieczki. Wobec woli Allaha nie istnieje wolna wola człowieka, a każdy jego indywidualny wysiłek może zostać wolą Boską unicestwiony.

Stojąc wobec tej totalności bez granic, początku i końca, wiara muzułmańska dla utrzymania jednak jakiejś struktury oparła się na konkretnym fundamencie tak zwanych Pięciu Filarów Islamu. Filary owe wyznaczają podstawowe obowiązki wiernego wobec Boga, którego arabskim imieniem jest Allah. Najwyższa Istota. Pierwszym (*shahada*) jest recytacja *credo* islamu: „Nie ma innego Boga oprócz Allaha, a Mohammed jest Jego Prorokiem”.

Drugim filarem (*salat*) jest obowiązek oddawania czci Allahowi poprzez modlitwę. Muzułmanie modlą się pięć razy dziennie: o świcie (*sunrise*), w południe (*dhuhr*), po połud-

niu (*asr*), o zachodzie słońca (*maghrib*) i wieczorem (*isha*). Do modlitwy nawołuje *muezzin* z wieży meczetu zwanej minaretem. Przed modlitwą należy dopełnić przepisanych przez Koran ablucji opłukując z brudu i kurzu dłoń, twarz i stopy. Sama modlitwa jest zrytualizowana i składa się między innymi z recytacji wersetów Koranu. Obowiązku modlitwy najlepiej jest dopełnić w zgromadzeniu w meczecie, ale dopuszczalne jest odmówienie jej indywidualnie, stąd niezrządki w krajach muzułmańskich widok na przykład studentów modlących się w kącie klasy lub podróżnych w specjalnych pomieszczeniach na lotniskach itp.

Trzeci filar islamu stanowi obowiązek jałmużny dla ubogich (*zakat*). Każdy wierny zobligowany jest do oddania potrzebującym pewnej części swoich dochodów, zwykle ich jednej czterdziestej. W wielu krajach islamskich, nie istnieją formalne nakazy jałmużny, choć na przykład w Arabii Saudyjskiej pobiera się ją jako rodzaj podatku.

Czwarty filar (*sawm*) to obowiązek postu w czasie świętego miesiąca Ramadanu. Koran nakazuje powstrzymanie się od pokarmów, napojów i przyjemności cielesnych każdego dnia tego miesiąca od wschodu do zachodu słońca. Niektórzy, jak podróżni, kobiety ciężarne, chorzy, starcy i dzieci są spod tego nakazu wyłączeni.

Ostatnim filarem islamu jest *hajj* czyli obowiązek odbycia przynajmniej raz w życiu pielgrzymki do Mekki, świętego miejsca religii muzułmańskiej, gdzie znajduje się *Kaaba*, Czarny Kamień, świątynia wedle tradycji ustanowiona jeszcze przez Abrahama. Prorok islamu zakazał wstępu do Mekki niewiernym, zakaz ten rozciągnięto następnie i na Medynę, drugie święte miejsce religii muzułmańskiej.

Islam jest więc zespołem przepisanych przez Koran obowiązków, przy których wypełnianiu nie jest konieczne zaangażowanie emocjonalne. (Pojęcie miłości bliźniego na przykład nie istnieje w tej religii). Wypełniający te obowiązki należą do muzułmańskiej rodziny, są braćmi i siostrami w wierze. Ten esencjonalnie praktyczny charakter islamu, sztywna, chciałoby się powiedzieć – pustynna prostota jego przepisów, będzie obecna we wszelkich działaniach muzułmanów, poczynając od trywialnych kwestii domowych, a kończąc na sprawach międzynarodowych. Ta na pozór metaforyczna

„pustynność” stanowi istotną cechę religii muzułmańskiej, która wywodzi się z surowych obszarów Półwyspu Arabskiego, gdzie do czasów odkrycia złóż ropy naftowej życie toczyło się w niesłychanym znoju i nędzy. Egzystencję regulowała tu wysokość słońca – stąd pięciokrotna modlitwa wyznaczająca rytm dnia. Pustka i szarość mało malowniczej Pustyni Arabskiej nie sprzyjały metafizycznym dywagacjom i próżnym rozmyśleniom. Surowa nuda krajobrazu i ponure realia życia codziennego prymitywnych beduińskich plemion naznaczyły jak piętnem powstałą tu religię islamu.

Magdalena ROSTRON

POLSKA – WSCHODNI SASIEDZI

23.4.98

Forum Europy Środkowo-Wschodniej przy Fundacji im. Stefana Batorego zorganizowało seminarium „Rumunia po roku 1989”, w którym wzięli udział czołowi przedstawiciele rumuńskiego życia politycznego i kulturalnego. ■ Michał Jagiełło, b. wiceminister kultury i sztuki, wygrał konkurs na stanowisko dyrektora Biblioteki Narodowej w Warszawie.

26.4.98

Zakład Polskiej Literatury Współczesnej i Zakład Filologii Ukraińskiej Uniwersytetu im. Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie organizują międzynarodową konferencję naukową w 10-tą rocznicę śmierci Józefa Łobodowskiego. Tematem konferencji będzie „Józef Łobodowski – rzecznik dialogu polsko-ukraińskiego”.

4.5.98

Prezydent Aleksander Kwaśniewski odznaczył Leszka Kołakowskiego Orderem Orła Białego ■ Zmarł w Warszawie w wieku 74 lat prof. Józef Werle, członek rzeczywisty Polskiej Akademii Nauk, wieloletni wiceprezydent Międzynarodowej Unii Fizyki Czystej i Stosowanej.

5.5.98

Zmarł w Warszawie w wieku 68 lat prof. Donat Tylman, wybitny przedstawiciel polskiej ortopedii.

8.5.98

Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne wydały podręcznik „Historia Litwy” (*Lituvos istorija*) opracowany przez dr. Bronisława Makowskiego. Jest to pierwszy podręcznik w Polsce obejmujący całe dzieje Litwy, uwzględniający najnowszy dorobek historiografii polskiej, litewskiej i częściowo białoruskiej. Przedstawia on również historię „małej ojczyzny”, którą dla Litwinów w Polsce jest Suwalszczyzna. Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne zamierzają również wydać tę pracę w języku polskim. Należy mieć nadzieję, że wkrótce ukażą się analogiczne podręczniki dotyczące Białorusi, Ukrainy i Rosji.

13.5.98

Arcybiskup Sawa został metropolitą Warszawy i całej Polski Kościoła prawosławnego – po zmarłym metropolicie Bazylim.

20.5.98

Dzwony gdańskiego Ratusza z powodu zepsucia mechanizmu nie

funkcjonowały od 6 lat. Mają znów zagrać w roku 2000. Problem: dzwony wygrywały dźwięki „Roty” Marii Konopnickiej. Nie sądzimy by ta melodia była dzisiaj aktualna i odpowiednia.

6.6.98

Zespołowi Szkół Rolniczych w Jabłoni nadano imię Augusta Zamoyskiego, wybitnego rzeźbiarza, w którego skonfiskowanym pałacu mieści się szkoła.

ZACHÓD

23-24.4.98

Sekcje polska i francuska UNESCO, z udziałem m.in. Stacji PAN, zorganizowały kolokwium „Les scientifiques du futur: des femmes et des hommes”, na którym obecna była młodzież z 33 państw świata, w tym 26 uczniów z Polski. Na zaproszenie Polaków udział w imprezie wzięli Ukraińcy, Białorusini, Litwini. Kolokwium zakończył koncert Tomasza Wojaka w Ambasadzie Polskiej w Paryżu.

24.4.98

Zmarła w Londynie w wieku 98 lat Halina Czarnocka, kapitan AK, kierowniczką Studium Polski Podziemnej w Londynie.

27-28.4.98

Za sprawą Uniwersytetu Piotra i Marii Curie w Paryżu i przy współdziałaniu Stacji PAN w Paryżu, odbyło się III kolokwium naukowe, na którym omówiono wyniki badań naukowych w zakresie wybranych działów chemii, a uzyskanych w ramach polsko-francuskiej współpracy naukowej. Z Polski przyjechało 28 naukowców z Krakowa, Łodzi, Warszawy, Wrocławia.

29-30.4.98

Uniwersytet Piotra i Marii Curie, przy współdziałaniu Stacji PAN, zorganizowały „Journée Pierre et Marie Curie” poświęcone głównie życiu i działalności Marii Skłodowskiej-Curie. Wygłoszono 12 referatów. Z Polski udział wzięło 20 naukowców, piastujących jednocześnie wysokie funkcje w PAN i w rządzie. Z tej okazji odbył się w Stacji PAN koncert Lilii Boyadjeovej, pianistki pochodzenia bułgarskiego. W programie: F. Chopin i S.V. Rachmaninow.

2-3.5.98

Europejskie Towarzystwo Polimerów, przy współdziałaniu Stacji PAN, zorganizowało spotkanie robocze przedstawicieli państw europejskich. Spotkanie poświęcone było omówieniu współpracy w zakresie badań naukowych i edukacji w Europie.

5.5.98

Piotr Daszkiewicz z Musée National d'Histoire Naturelle w Paryżu, wygłosił w Stacji PAN odczyt „La Maison Verreau et les naturalistes polonais du XIXe siècle à Paris”.

6.5.98

Instytut Polski w Paryżu wraz z Institut d'Etudes Slaves zorganizował wieczór dyskusyjny na temat „Les artistes et les écrivains de l'Europe centrale et orientale et leurs contacts avec la France au XXe siècle.”

7.5.98

Zmarł w Londynie w wieku 92 lat Stefan Soboniewski. Przed wojną starosta kaliski. Wieloletni prezes Federacji Światowej SPK oraz w Wielkiej Brytanii. B. prezes Polskiej Fundacji Kulturalnej.

13.5.98

Studenci polscy z uniwersytetu Paris IV-Sorbonne wystawili sztukę Witolda Gombrowicza „Yvonne, princesse de Bourgogne”. Sztuka została wyreżyserowana przez A. Grudzińską i M. Glódek. Sztuka była wystawiana w Centre Universitaire du Grand Palais.

15.5.98

W Bibliotece Polskiej w Paryżu staraniem Towarzystwa Historyczno-Literackiego odbył się odczyt prof. Andrzeja Stelmachowskiego, prezesa Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” na temat „Perspektywy rozwoju Polonii”.

19.5.98

Centre de Civilisation Polonaise uniwersytetu Paris IV-Sorbonne zorganizował odczyt prof. Uniwersytetu Warszawskiego, Kazimierza Sabika, na temat „Le théâtre de cour en Europe au XVIIe siècle (Italie, Espagne et Pologne)”.

20.5.98

W Instytucie Polskim w Paryżu Teatr Śląski im. St. Wyspiańskiego z Katowic wystawił spektakl poetycki Wisławy Szymborskiej „Znaki szczególne”. Wystąpili: Violetta Smolińska, Maria Stokowska, Krystyna Wiśniewska, Agnieszka Wróblewska, Bogdan Tosza – reżyseria, Marek Braun – scenografia, wybór wierszy Elżbieta Tosza.

25.5.98

W Instytucie Polskim w Paryżu odbyło się spotkanie z polskimi poetami z Wilna: Henrykiem Mazulem i Wojciechem Piotrowiczem.

26.5.98

Na paryskim ementarzu Montparnasse ambasador RP Stefan Meller, redaktor *Kultury* Jerzy Giedroyc i ambasador Ukrainy Anatolij Zlenko złożyli kwiaty na grobie Atamana Semena Petlury w rocznicę jego tragicznej śmierci w 1926 r. ■ W Instytucie Kultury Polskiej w Londynie była zorganizowana wystawa prac Władysława Szomańskiego, grafika użytkowego i projektanta. Zmarły ponad rok temu Władysław Szomański należał do najbardziej dynamicznych osobowości twórczych w powojennym środowisku polskim w Londynie. ■ Z początkiem lipca br. zostanie otwarty Klub Radia Wolna Europa w Warszawie przy ulicy Nowogrodzkiej 56. Będzie to kawiarnia, restauracja, miejsce spotkań emigracji, czytelnia prasy i książek polskich, wydawanych na Zachodzie.

28.5.98

W Stacji Naukowej PAN w Paryżu prof. Sławomir Kalembka z Uniwersytetu Toruńskiego wygłosił odczyt na temat „Les Polonais dans les révolutions européennes du Printemps des Peuples (1848-1849)”. ■

4.6.98

Instytut Polski w Paryżu wraz z Centre du Dialogue zorganizował spotkanie z pisarzem i reżyserem filmowym Tadeuszem Konwickim. Wprowadzenie Heleny Włodarczyk, prof. Uniwersytetu Paris IV. ■

5.6.98

W Centre du Dialogue (23, rue Surcouf 75007 Paris) prof. Jerzy Łukaszewski, były ambasador RP w Paryżu, wygłosił odczyt na temat „Francja a Europa”.

15.6.98

Instytut Polski w Paryżu przy współudziale Stacji Naukowej PAN organizuje odczyt historyka Andrzeja Paczkowskiego pt. „La crise polonaise 1980-82 vue à travers les sources récentes”. Odczyt odbędzie się w Stacji PAN (74, rue Lauriston, 75016 Paris).

Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze,

Z uwagą przeczytałem w *Kulturze* nr 11/1997 szkic Jana Widackiego o stosunkach polsko-litewskich. Chciałbym dorzucić trochę własnych obserwacji.

Kilka „folklorystycznych” uwag o postrzeganiu na Wileńszczyźnie samej postaci byłego ambasadora RP. Wśród polonusów krążyła w pewnym okresie „Ballada o ambasadorze i czterdziestu renegatach”. Bywała nawet bez zażenowania czytana publicznie i przekazywana w odpisach. Jeden z nich zdobyłem (nb. w szkole!). Jak mówi owa „pieśń gminna”, napisana ponoć przez anonimowego „kresowiaka z Warszawy” – „ambasador Widacki do niszczenia polskości zawsze chętny i chwacki”. I tak dalej – w dziesięciu zwrotekach obrzucało się błotem najwyższego przedstawiciela RP. Bez żadnych zahamowań.

Problemem dla niektórych kręgów Wilna było i jest bowiem to, co zawarł J. Widacki w szkicu: że miał on swoje zdanie na wiele spraw i nie zawsze pokrywało się ono z opinią liderów wileńskich Polaków. Ale nie tylko ich. W swoim archiwum znalazłem np. rezolucję – przyjętą jakiś czas temu przez jedno z krajowych stowarzyszeń kresowych – będącą *de facto* wnioskiem o odwołanie ambasadora J. Widackiego. M.in. z powodu „negatywnego stosunku do przedstawicieli Związku Polaków na Litwie”, „do jedynej polskiej partii politycznej – Akcji Wyborczej Polaków”, „do Uniwersytetu Polskiego w Wilnie” itd.

A propos tej ostatniej sprawy. Pewien naukowiec, specjalista „od Wilna”, tamże zresztą przed wojną urodzony (a więc na pewno lokalny patriota, jak najlepiej życzący swojemu miastu), wydał charakterystyczną opinię. Powiedział mi w czasie dorocznego spotkania literatów pn. Maj nad Wilią (organizowanego głównie przez dwutygodnik Romualda Mieczkowskiego *Znad Wilii*), iż pomysł z Uniwersytetem Polskim w Wilnie jest bez sensu. Po co, dla kogo?! – stwierdził. Żeby budować getto ludzi gorzej wykształconych? Jest przecież uniwersytet państwowy z katedrą polonistyki, jest pedagogiczny, także z tego rodzaju katedrą, można wreszcie studiować w Polsce. Kim ten uniwersytet będzie robiony? Przecież nie ma kadry. To nie ma sensu.

Podobnie jest w innych dziedzinach. Polacy „są wierni tradycji”, nie zauważają natomiast, że realia zmieniły się. Dobrym przykładem jest komercyjne „Radio znad Wilii” (na wzór

polskiego RMF FM czy ZET), którego słucha się chyba w każdej taksówce, niezależnie od tego kto ją prowadzi: Litwin, Rosjanin. Radio jest „szybkie”, bezpośrednie, komunikatywne. Jednak bywa, że patriotycznie nastawiony Polak wileński demonstracyjnie wyłącza „te amerykanizmy”. Polski zespół jazzowy, rockowy, byłby chyba uznany za objaw europejskości, co jest określeniem nieomal obraźliwym. Może dlatego, że mało nad Wilią tego rodzaju polskich śladów, czy takich akcentów jak sklep i kawiarnia „Alina” państwa Genowefy i Aleksandra Popławskich, jak Polska Galeria Artystyczna Wandy i Romualda Mieczkowskich, jak teźże pary pismo kulturalno-literackie *Znad Wilii* oraz prywatna księgarnia Stanisława Korczyńskiego niedaleko Ostrej Bramy. To raczej wyjątki, choć w stolicy Litwy mieszka około 100 tys. Polaków. Jeżeli więc już pojawiają się jacyś „inni” to trafiają do ballady o czterdziestu renegatach:

„Perfidne Okińczyce, renegackie Czoboty
to dobrzy wykonawcy Widackiego roboty (...)
Siemionowicz i Płokszo – ci dwaj polscy posłowie
nie rodakom lecz Litwinom zawsze służyć gotowi (...)

Polskie piekło – jak widać nie zna granic.

Eugeniusz KURZAWA
Wilkanowo koło Zielonej Góry

26.04.1998

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Eksplozja przestępczości w Polsce, jej rozmiar i zagrożenia dla państwa, wydają się w Warszawie nie wywoływać szczególnych emocji, zarówno w ośrodkach decydenckich, jak opiniotwórczych. Według oficjalnych prognoz (np. artykuł „Policja też się boi” w *Polityce* nr 9 z bieżącego roku) obecna fatalna sytuacja bezpieczeństwa ma się jeszcze pogarszać. Nie widać zresztą w dalszym ciągu jakiejś logicznej koncepcji dającej nadzieję bliskiej poprawy (dlaczego? Przecież są wysoko opłacani ludzie odpowiedzialni za ten stan rzeczy, począwszy od posłów do Sejmu).

W Polsce podkreśla się chętnie wzrost przestępczości jako części problemu europejskiego. Pierwszorzędne znaczenie ma w tym kontekście porównywanie Polski z innymi krajami europejskimi, w szczególności byłego bloku wschodniego. Porównania i statystyki dotyczące bezpieczeństwa wewnętrznego w zasadzie zniknęły z polskich czasopism. Z informacji przenikających z mediów europejskich Polska prezentuje się z dużym wyprzedzeniem najmniej korzystnie (np. statystyka przesłana Panu poprzednio w kopii listu do Rządu Polskiego dotycząca kradzieży samochodów turystom niemieckim).

Skalę zlodziejstwa w Polsce dokumentuje artykuł w nr 7 *Gazety*

Olsztyńskiej (z 12.01 br.) pt. „Składaki po ostródzku”, dotyczący wykrytej sprawy rejestracji 4.200 (!) skradzionych i nieoclonionych samochodów. Liczba ta obejmuje niewielki wycinek całości od momentu wszczęcia śledztwa w 1996 r. i, jak podkreśla prokurator, jest to tylko wierzchołek góry lodowej. Trudno wyobrazić sobie tę górę lodową w skali Polski. Jak to możliwe, że uprawianie tego procederu jest możliwe na skalę przemysłową? Kopię wspomnianego artykułu przesyłam w liście.

Podróżowanie po Polsce samochodem, szczególnie z zagranicznymi numerami rejestracyjnymi, staje się coraz bardziej uciążliwe. Pozostawiając auto nawet na kilka minut poza parkingiem strzeżonym trzeba mieć świadomość, że się go tam po powrocie już nie zastanie. W takim przypadku wysiłek przygotowań i planowania – często rezultat wielu tygodni pracy – idzie na marne. Bywa, że pilnujący parkingów strzeżonych odmawiają wjazdu niektórym bardziej chodliwym modelom samochodów w obawie o własne zdrowie i życie. Sam nie odważyłbym się pojechać do Polski autem nowszym niż pięcioletnie, zbyt duży stres związany z pilnowaniem pojazdu.

O tym, że turyści zagraniczni przestają wybierać Polskę jako miejsce spędzenia urlopu, pisałem w poprzednim liście. W roku bieżącym odczujemy to dotkliwiej, niż w poprzednim. Straty Polski z tego tytułu wydają się w Warszawie nikogo zbytnio nie interesować. Za turystyką podąży z pewnością biznes.

Brak bezpieczeństwa wewnętrznego dezorganizuje pracę i podwyższa jej koszty. Będzie to miało bez wątpienia wpływ na zainteresowanie Polską inwestorów poszukujących zawsze najbardziej optymalnych warunków dla inwestowanego kapitału. Trudno wyobrazić sobie, aby w rokowaniach o przyjęcie do Unii Europejskiej skala przestępczości była bez znaczenia. Okres ochronny i sympatia wynikająca z przemian ustrojowych kończą się i Polska oceniana będzie jedynie na podstawie liczb i statystyk.

Małą nadzieję poprawy niesie mająca wejść w życie decentralizacja administracji. Być może w lokalnej inicjatywie będzie więcej determinacji w zwalczaniu tych szkodliwych wypaczeń. Przykładem może okazać się projekt w Olsztynie opublikowany w *Gazecie Olsztyńskiej* (kopia w załączeniu), gdzie planuje się utworzenie oddziału specjalnego do zwalczania przestępczości zorganizowanej. Sukcesy w tej dziedzinie są Polsce pilnie potrzebne.

Z wyrazami poważania

Zbigniew PANEK

Szanowny Panie Redaktorze,

Znakomity wynalazek faksu ułatwił życie nie tylko jego użytkownikom, lecz także chochlikowi drukarskiemu: zyskał on napęd elektroniczny. W rezultacie, czytelnik mojego wstępu do

opowiadania Babla „Dziwięciu ich było” (*Kultura* nr 4/607) dowiaduje się, że bohaterem znanej (i tłumaczonej przez nie-odżałowanego Viktora Woroszyłskiego) noweli tegoż Babla był szwadronowy Trupow, podczas gdy zwał się on jedynie Trunow. W tekście opowiadania polski jeńiec nie „spojrzał” lecz „podniósł na Gołowa spokojne oczy...”. Inne drobiazgi przemilczę aby chochlika nie kusić.

Łączę wyrazy czci

Jerzy POMIANOWSKI

SPROSTOWANIE

W numerze majowym (5/608) *Kultury* zamieściłem tekst pt. „Ciało i pamięć”. W zdaniu na str. 52 wskutek mojej nieuwagi wypadły z maszynopisu dwa słowa. Zamiast „był Żydem” powinno być „z pochodzenia Żydem”.

Uważam za konieczne sprostowanie tak istotnego błędu.

Paryż, 20 maja 1998

Kazimierz BRANDYS

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawatu pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

Maciej F.; Polska: – Pana przekłady raz jeszcze utwierdzają w przekonaniu, że nawet najlepsza znajomość języków obcych nie jest wystarczającą gwarancją jakości tłumaczenia. Zaś wierności dla „treści i ducha” oryginału nie da się ograniczyć do gołosłowności. Przekonać do poezji może tylko poezja dobra.

Janusz A.K., Polska – Wiersze Pana, w zasadzie sprawne, nużą niepotrzebnymi dopowiedzeniami, stawianiem kropek nad „i”.

KSIĄŻKI POLSKIE

ORAZ POLSKI DOTYCZĄCE

DAWNE I NOWE

W DOKONANYM PRZEZ SIEBIE WYBORZE

POLECA

ANDRZEJ DOBOSZ W SWOJEJ KSIĘGARNI

7, rue de la Bûcherie 75005 Paris

Telefon 01 40 51 76 40

Fax 01 40 51 78 32

Metro: Maubert-Mutualité

Autobusy: 24, 47, 63, 86, 87

od wtorku do soboty od godziny 10 do 19

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA KATALOGI

POLNISCHE BUCHHANDLUNG

KSIĘGARNIA POLSKA

Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria

Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater

Tel. i fax: (1) 52 63 114

Konta pocztowe

Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556

Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.

Bezpłatne katalogi na żądanie.

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

Tom 498

ANNA SUPRUNIUK – MIROSLAW A. SUPRUNIUK

BIBLIOGRAFIA

„KULTURA” (1988-1996)

„ZESZYTY HISTORYCZNE” (1988-1996)

DZIAŁALNOŚĆ WYDAWNICZA (1988-1996)

Str. 464

Cena F. 200,00

Tom 502 – ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT

STO DWUDZIESTY TRZECI

zawiera opracowania: B. Nitschke: *Polacy wobec Niemców. – Odpowiedzialność Niemców za zbrodnie wojenne*; M. Radomski: *Sprawa pozbawienia prawa wykładu docenta UJ, dra Włodzimierza Kubijowicza w czerwcu 1939 roku*; K. Rutkowski: *W stronę poezji czynnej. Adam Mickiewicz w Collège de France*; Adam Mickiewicz: *Wykłady literatury słowiańskiej*; A. Grzywacz: *Relacja płk. dypl. Andrzeja Mareckiego dla Komisji Badawczej do spraw Przyczyn Kłeski Wrześniowej*; J.J. Milewski: *Polsko-białoruskie komisje podręcznikowe*; A. Suchcitz: *Jeszcze o ochotnicze PWSK Ligii Żółkiewskiej*; J. Lewandowski: *Gen. Sikorski a Zagłada*; LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240

Cena F. 90,00

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE

91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 2^{ème} trimestre 1998.

Akredytowany korespondent *Kultury* w Rosji:

Mariusz Wilk, Primorskaja 15, Archangelskoj obl.,
164409 SOŁOWKI

Skład komputerowy: MacWire Diffusion.

Imprimé en France.



KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte – Telefon 01-39-62-19-04

Fax: 01-39-62-57-52

PRZEDSTAWICIELSTWA

Egz. poj.

Prenumerata

1/2-roczna roczna

Ceny na rok 1998

AFRYKA POŁUDNIOWA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRALIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Fl h 20,00	Fl h 110,00	Fl h 210,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv. Tel. i fax: (3) 5606311	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches, 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 789-8260, fax: (613) 789-1051; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, tel.: 545-2115	\$ can.13,00	\$ can.75,00	\$ can.140,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessstr. 39/41, D 80328 München, tel.: (089) 54-21-80; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, I, tel.: 0221/24-61-60	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
NORWEGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 27, rue de la Fontenette, 1227 Carouge/GE. Tel.: 343-05-84	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
SZWECJA: Wojciech Luterek, Regnstigen 14-6 Tr., 169-60 SOLNA. Tel. (08) 83-13-33.	Sk 85,00	Skr 450,00	Skr. 850,00
U.S.A.: Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH. 44109, tel.: (216) 351-8219; POLONIA Bookstore, 4738N Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60630, tel. (773) 481-6968; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, CA 94306-1541. Tel. (650) 325-5590 & (650) 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 333, West 38th Street, New York, N.Y., 10018, tel.: (212) 594-2266	\$ US 11,00	\$ US 60,00	\$ US 116,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (171) 370-2210	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: (06) 77-20-15-58	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

W krajach nie wymienionych prenumerata roczna – F. 600; półroczna – F. 320.
Przesyłka pojedynczego numeru – F 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE – C.C.P. PARIS 18-228-56 W (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy)

Nowości wydawnicze

Tom 503 – ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT

STO DWUDZIESTY CZWARTY

zawiera opracowania: B. Baczeko: *Niepokój historyka* (François Furet i problemy Rewolucji Francuskiej); A. Kolańczuk: *Generałowie polscy w Armii Ukraińskiej Republiki Ludowej 1917-1920*; oraz *Generałowie Ukraińskiej Republiki Ludowej internowani w Polsce*; B. Puchalska: *Było to tak... Rozmowy z Juliuszem Hibnerem* (Wspomnienia generała J. Hibnera są dokumentem jedynym w swoim rodzaju ze względu na osobę autora: uczestnika Brygad Międzynarodowych w czasie wojny domowej w Hiszpanii, oficera Pierwszego Korpusu gen. Berlinga, odznaczonego Orderem Bohatera ZSRR po bitwie pod Lenino, a po wojnie dowódcy wojsk wewnętrznych, który umiał wystąpić przeciwko Związkowi Sowieckiemu, gdy w październiku 1956 roku groziła Polsce interwencja zbrojna); J.R. Krzyżanowski: *Jak robiliśmy encyklopedię*; E. Halicz: *Polska w oczach Niemców*; T. Wyrwa: *Sandomierski pułk Armii Krajowej*; Z. Nicman: *Książka o Brześciu nad Bugiem*; A. Kamieniecki: *Pomnik Stanisława Mikołajczyka*; Z.S. Siemaszko: *Mieczysław Pruszyński o 1920 roku*; M. Siekierski: *Polskie zbiory Instytutu Hoovera*; A. Sehn: *Król Polski Abraham Prochownik*; P. Daszkiewicz: *Rzeczpospolita w korespondencji sir Josepha Banksa* oraz LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240

Cena F. 90,00